









11 1.416.161

# JASNOWIDZĄCA

PRZEZ

KSAWEREGO DE MONTÉPIN

WOLNY PRZEKŁAD

Heleny z hr. Russockich Wilczyńskiej.

---

GRODEK.

Nakładem i drukiem J. Czaińskiego

1889.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020642691



II 11416.101



1998 k 246/29 a

Książek nie niszczyć

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

### I.

#### Na Galerach.

Było to w czas jakiś po rewolucyi lipcowej roku 1830... Lud paryski wyrzucił dynastję z Bożej łaski, zamienił Lilje Bourbonów, na Koguta galijskiego, wynosząc na tron francuski Orleanów.

Dotąd, ani wielka stolica, ani reszta Francyi, nie odetchnęła całkowicie i nie opamiętała się zupełnie, po przebytej gorączce, po wzruszeniach i niepokojach, nieodłącznych od podobnych katastrof politycznych. Oczy wszystkich patrzyły w przyszłość, ogół pytał się zafrasowany, czy też tron nowy spoczywa na trwalszych podwalinach, niż ów tron starożytny, który zdawał się stać tak silnie, a zapadł się i zniknął z powierzchni w trzy dni niespełna.

W owej epoce, nie istniały jeszcze owe dzienniki niezliczone, któremi obecnie prasa świat cały zasypuje.

Zaledwie kiedy niekiedy Moniteur, organ rządowy, wychodzący w dość małym formacie, wspomniawszy nawiasem, poświęcając zaledwie kilka wierszów w szpaltach dziennika, o Sądach Przysięgłych, jeżeli tamże rozgrywał się jaki proces

sensacyjny, a sprawa podniecała w najwyższym stopniu ciekawość Paryżanów.

W pierwszych zresztą miesiącach po rewolucyi, uwaga publiczności przeciętnej, zwracała się w inną stronę. Tylko sprawy i procesa polityczne, doprowadzały tłum do szału niemal.

Ten tedy zbieg wypadków, był powodem co łatwo zrozumieć, że dramat rozgrywający się w sali sądowej, a który stanowi podstawę pierwszej części naszej powieści, najprawdziwszej, przeszedł prawie nieopstrzeżenie, mimo okoliczności i szczegółów wielce tajemniczych i nader zaciekawiających. Dla przyczyn wyżej przytoczonych trudno by było odszukać ślad owego procesu, i rozpraw sądowych w tej sprawie, w dziennikach bardzo nielicznych z owej epoki.

Poszukiwania gorliwe, uwieńczone skutkiem najpomysłniejszym, w tajnym archiwum policyjnym, wprowadziły nas na trop tego dramatu. Wydał nam się niesłychanie ciekawym i do głębi wzruszającym. Zapoznawszy się dokładnie z jego najdrobniejszymi szczegółami, opisaliśmy go w formie powieści, zmieniając li nazwiska osób grających w nim role główne, a to z powodu, że niektórzy, opisani przez nas, żyją dotąd.

W roku 1830, jak i za naszych czasów, przedmieście Marais, było częścią Paryża, najcichszą i najmniej zaludnioną, ulica zaś Pas-de-la-Mule mogła uchodzić za najspokojniejszą i najmniej uczęszczaną, w tym zakątku i tak wiecznie ponurym i milczącym. A jednak był on kiedyś zamieszkały przez samą najwyższą arystokrację, i miał swoją



epokę najświetniejszą. Sic transit gloria mundi!...

Mniej więcej w samym centrum ulicy, którą wyżej wymieniliśmy, istniał w r. 1830 dom bardzo stary, później rozebrany, tak samo jak domy sąsiednie, aby zrobić miejsce olbrzymim zabudowaniom fabrycznym.

Dom ten, wyglądający bardzo lichy, mimo iż jego facyata była niegdyś zbudowana z kamienia ciosowego, poczerńiałego ze starości. Miał on dwa piątra, i nie był bardzo głęboki od dziedzińca.

Na dole były dwa okna od frontu, zakratowane grubymi sztabami żelaznymi, i bramka, przez którą wchodziło się po trzech stopniach kamiennych, mocno nadwerężonych, przez obuwie podkute z dziesięciu pokoleń, do długich a wąskich sieni. Na końcu były schody, prowadzące na pierwsze i drugie piętro. W domu nie było odźwiernego.

Drzwi boczne wybite w murze, po lewej ręce, stanowiły wejście prosto ze sieni, do pomieszczenia dolnego. Wzdłuż całego pierwszego piątra, liczącego tylko trzy okien, biegł balkon dość szeroki, otoczony balustradą żelazną, wyrabianą misternie, według mody ówczesnej, ale niemiłosiernie przez rdzę zjedzoną. Ten balkon zdradzał, że dom dziś tak zaniedbany, musiał niegdyś należeć do ludzi co najmniej zamożnych, i ze sfer wyższych.

W chwili w której rozpoczynamy naszą powieść, szyłd nie wielki, przybity nad jednym z dwóch okien frontowych na dole, nosił napis:

L a r i d o n tandeciarz

sprzedaje i kupuje towar nowy i przenoszony. — Płaci gotówką kartki zastawnicze z Mont-de-Piété, lub wykupuje z tamąd przedmioty zastawione, według życzenia i woli osób interesowanych.

Nieliczni przechodnie, depczący po nierównym bruku ponurej ulicy, rzucali spojrzenie ciekawe w głąb składu tandetnego i spostrzegali, ile im dozwoliły sztaby żelazne w oknach, stos dziwny i potworny, przedmiotów najmniej z sobą licujących, tworzących chaos nierozplątany i oszołomiający.

Rzeczy kosztowne, a przynajmniej przeznaczone aby je znawca prawdziwy ocenił według wartości, jakoto: przedmioty z porcelany chińskiej, Vieux-Saxe i Vieux-Sèvre, meble en Boule i w stylu Renaissance, gipiury weneckie i flamandzkie, obrazy ze starej szkoły włoskiej, hiszpańskiej i francuskiej, leżały w pyle, pomieszane ze starami lachmanami, z narzędziami rozmaitemi, ze zwojami grubej baji, lub płótna zgrzebnego, z żelazniem połamanem i zardzewiałem, z brudną, cuchnącą i grubą bielizną, z bronią w stanie oplakany, z gitarami i skrzypcami ze strunami pozrywanymi, i z tysiącem innych gratów i rupieci, których wyliczanie za dużo by nam miejsca zabrało.

Laridon handlował wszystkim; miał przynajmniej wszystko w swojej norze, co na jedno nie wychodzi, bo nader rzadko zjawiał się u niego jaki nabywca.

— Z czego on żyje? — pytali się czasem najbliżsi sąsiedzi, zdziwieni tą wielką próżnią w ma-

gazynie tandeciarskim, i tem osamotnieniem Laridon'a.

Nie łatwo było odpowiedzieć na to pytanie dość niedyskretne; faktem było jednak, że źle czy dobrze, tandeciarz żył jakoś i nie nikomu nie był dłużny. Trzeba dodać, że jeżeli mu ktoś proponował jakieś kupno, skoro nabytek zdawał mu się korzystnym, znajdował zawsze w głębi ogromnej kieszeni, pieniądze potrzebne; płacąc gotówką i bez zwłoki.

Laridon wystarczał sam sobie. Nie trzymał ani chłopaka do usługi, ani kucharki. Zdawał się człowiekiem zgodnym i łagodnego usposobienia. Tylko ciekawskich nienawidził. Raz, czy dwa, w ciągu czterech lat, odkąd mieszkał w tym domu, kilka osób, z owej kategorii wściubów, nos wszędzie wtykających, gdzie ich najmniej potrzeba, ośmielili się badać go na punkcie interesów, i jak mu też idzie handelek? Odprawił ich z niczem, ma się rozumieć, w dodatku tak szorstko i niegrzecznie, że ich odpadła otucha raz na zawsze, do podobnych zaczepiek.

Wkrótce zapoznamy się bliżej z tandeciarzem, a wtedy dowiemy się dokładnie, co zaczął być, i czem się zatrudniał, oprócz handlu, służącego mu li za płaszczyk.

Tymczasem, pójdziemy po schodach, prowadzących na pierwsze piętro.

Wzdłuż balkonu, dwa mocne haki żelazne przytrzymywały długą deskę starannie wyheblowaną i na czarno polakierowaną. Na tle ciemnem, wpadały w oko duże litery barwy jasnej, tworząc napis następujący:

Jan Vaubaron Mechanik, Snycerz i Giser.

Z poza szyb, u trzech okien wyglądały firanki grube perkalowe, ale śnieżnej czystości.

Wejdziemy niebawem, wraz z naszymi łaskawymi czytelnikami, do pomieszkania Jana Vaubarona.

Mieszkanie na drugim piątrze czekało daremnie na lokatora. Dotąd stało pustką, co wskazywała kartka najmu na dole powieszona.

Dwie, czy trzy bardzo ubogie wyrobnice, gniedziły się jak mogły, w lichych izdebkach na poddaszu, wychodząc do dnia na robotę, a wracając dopiero późnym wieczorem.

Gdyby kogoś wzięła fantazyja zatrzymania się chwilę na pustej ulicy, naprzeciw domu przez nas opisanego, byłby zobaczył na prawo kamieniczkę niepokazną, w której mieszkało kilka partyj z klasy średniej; ludzi ubogich, z którymi nie będziemy nie mieli do czynienia. Po lewej stronie było wręcz przeciwnie.

Mur na trzy metry wysoki, utrzymany najstarszemu, z szeroką bramą wjazdową na środku, z piękną kamienną armaturą u góry, otaczał dziedzińiec bardzo obszerny.

W głębi dziedzińca, z dwoma pawilonami po bokach, w których mieściły się oficyny, stajnie i wozownie, wznosił się gmach imponujący, budowany za Ludwika XV przez poborcę jeneralnego, którego nazwisko wypadło nam z pamięci.

Pałac był zamieszkały w całości przez nowego nabywcę, starego kawalera, który rzadko kiedy wychodził, nikogo u siebie nie przyjmował, a o któ-

rym ciekawość podniecona sąsiadów najbliższych mogła li zebrać wieści niepewne i niedokładne.

Tyle tylko się dowiedziano, że stary kawaler nazywał się (a przynajmniej tak się казал nazywać) baron de Viriville. Przypuszczano, iż musiał być gdzieś bankierem, i zebrawszy znaczny majątek, spoczął na laurach, nie wdając się więcej w żadne interesa. I to nie było tajemem nikomu, iż trzymał służbę wcale nie liczną, zadawalniając się jednym lokajczykiem, stangretem i starą kucharką.

O tem jednak wiedziano na pewno, że owa kucharka Urszula Renaud, ma mieć wpływ wielki na pana samego, i trzęsie po prostu całym domem.

Skoro przejdziemy się po mieszkaniu tandeciarza i mechanika Vaubaron'a, musimy natychmiast przekroczyć bramę pałacu, bo tam odegrały się główne sceny prologu, w dramacie przez nas opisanym.

Działo to się w drugiej połowie miesiąca września w roku 1830, a w dzień tak gorący, jakby wśród kanikuly.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, przez długie jednak godziny zalewało Paryż promieniami płomienistemi, niby olów roztopiony. Gorąco buchało z ulic jak z pieca, a bruk był niemal do białości rozpalony. Wietrzyk najłżejszy nie ochładzał upału ubezwładniającego i odbierającego niemal przytomność.

Wejdzmy po schodach najprzód do mieszkania Vaubaron'a. Drzwi otworzywszy do wnętrza jego pracowni, uderzy nas obraz nader smutny, jeden

z tych, który zdolny lzy wycisnąć nawet z ocz suchych zwyczajnie; wzruszyć serce choćby najmniej litościwe.

Pierwsza izba dość przestronna, w której stał li stół na biało lakierowany i kilka krzeseł obitych czarną materyą z włosienia, musiała służyć jednocześnie za przedpokój i salkę jadalną; łączyła się zaś z drugą, przeznaczoną do spania, z dwoma oknami; tam chwilowo były zgromadzone trzy osoby, stanowiące rodzinę Vaubaron'a.

Pokój ten, mimo iż nie można w nim było dopatrzeć niczego zbyt kownego, schludniej wyglądał niż pierwsza izba, i zdawał się na pierwszy rzut oka dość nawet zapelniony.

Było tu dość sprzętów, ale jak nędznych! jak ubogich!

Łóżko w głębi pod ścianą było prostym tapczanem, zbitym z kilku desek sosnowych, jakim pogardzają nawet najbiedniejsi wyrobnicy; długa jednak kotara z perkaliku jasnego osłaniała nędzne posłanie.

Obok tapczana stało łóżeczko dziecięce, z łożyny plecione. Trochę dalej był rzucony siennik na podłogę z desek, ale aż połyskująca, tak była czysto wymyta.

Pomiędzy oknami stał warsztat ślusarski, pełen narzędzi najrozmaitszych. Światło z dwóch okien padało nań prostopadle, czyste i jasne.

Na kominku nie było nic prócz wazonika fajansowego, w którym wiodły do reszty w odrobinie mętnej wody, biedne polne kwiatki, zerwane na kilka dni przedtem.

Na środku pokoju, na małym gierydonie leżała duża księga, uderzająca całą swoją niezwykłą powierzechownością.

Była to Biblia kalwińska, drukowana na welinie, przy schyłku wieku siedemnastego. Ta księga oprawna w czarny marokini, miała rogi i dwie klamry srebrne, roboty nader misternej. Srebro tak z latami poczerniało, iż można je było wziąć za żelazo po prostu. Brzegi były niegdyś czerwone, dziś mocno wypłowiały. Na wierzchu była tarcza herbowa wyślaczana, ozdobiona u góry koroną margrabiowską.

## II.

Trzy tedy osoby, zastaliśmy w pokoju sypialnym.

Sam Jan Vaubaron, siedział przed warsztatem, polerując na tokadle kawałek stali, stanowiącej część jakiegoś modelu maszyny, który tworzył właśnie. Chwilowo jednak ręka mechanika spoczywała nieruchoma na warsztacie.

Oczy miał w dół spuszczone, głowę zwiesił na piersi; zapadł widocznie w zadumę głęboką, a bardzo smutną.

Vaubaron, ubrany w pantaloney z grubego płótna szarego, i w koszuli czyściuteńkiej, z kołnierzem szeroko wyłożonym, miał lat dwadzieścia i sześć, był wzrostu słusznego, budowy ciała nadzwyczaj silnej, i kształtnej. W ogóle był to mężczyzna piękny, co się zowie!

Nic w nim nie zdradzało człowieka z gminu, rzemieślnika, przeznaczonego, aby z pracy ręcznej,

żywił siebie i swoją rodzinę. Wszystko w nim raczej wskazywało, to coś, rasą dotąd nazywanego. Małe ręce i nogi, twarz o rysach szlachealnych, słowem: cała postać niesłychanie dystygnowana.

Profil miał pociągły, o liniach klasycznie pięknych, cerę matowo bladą. Nad czołem szerokiem, wypukłym, jakie miewają tylko ludzie genjalni, wily się bujne, ciemne włosy, naturalnie falujące, tworząc z przodu pięć załomów. Duże oczy ciemne, szafirowe, błyszczały energią i wolą niezłomną, ożywiając twarz, okoloną brodą miękką i falującą, a tak samo jak włosy barwy prawie czarnej. Jego postać wyniosła i szerokie ramiona, były jakby stworzone do zbroi rycerskiej, z epoki średniowiecznej. Ręce chociaż poczerniały w pracy bez odczehnienia i w ciągłej styczności z metalami, zachowały delikatność kształtów iście patrycyuszowską.

Mimo iż strój jego był tak skromny, nędzny prawie, Jan Vaubaron jednoczył w sobie, w oczach znawcy prawdziwego, typ coraz rzadszy, typ rycerza czystej krwi. Bluza wyrobnika, którą czasem przybierał, wyglądała na nim jakby przebranie. Na co musimy nacisk położyć, tak samo jak zwróci-liśmy uwagę naszych czytelników, na dystynkcyę wrodzoną w tym młodym człowieku, to na wyraz dobroci, łagodności i czułości niemal kobiecej, co się czytało, co było wyryte, co jaśniało w jego pięknych oczach i słodkim uśmiechu.

Twarz Vaubaron'a nie mogła zwodzić. W tem ciele, tak pełnem męskiej siły, tak pięknem, musiała mieszkać dusza wzniosła, serce złote, inteligencya



nadzwyczajna. Mechanik wydawał się trochę starszy, niż był rzeczywiście.

Zmarszczki drobne przecinały jego czoło wspinałe, jak z marmuru wykute, pod powiekami była sina obwódka, w ust załomie, można się było domyśleć myśli gorzkich i trapiących.

W duszy Vaubaron'a, nurtowała jedna z tych boleści niezgłębionych, pod których ciężarem uginają się ramiona i najsilniejsze, a serce najdzielniejsze wpada w zwątpienie.

I my zapoznamy się wkrótce z tą wielką boleścią.

Szmer dał się słyszeć w pokoju, niby westchnienie przez pół stłumione.

Jan podniósł głowę spartą dotąd na ręce, ruchem tak szybkim, jakby tknięty iskrą elektryczną.

Oczy mu błysnęły, a wzrok pełen trwogi i najwyższej troskliwości, zwrócił się ku łóżku, wstał i z lekka rozsunał firanki.

Na łóżku spoczywała kobieta zaledwie dwudziesto-letnia, której twarzyczka cudowna nosiła to piętno ponure i rozpaczliwe, zdradzające, że żywotność jest podkopana, że dni, godziny nieledwie są już policzone.

Wyobraźmy sobie na zmiętej poduszce tonącą w falach włosów złocistych główkę z twarzyczką bledziutką, z oczami przymkniętymi, o rysach tak delikatnych, tak anielskich, jakie umiał li nadawać Rafael Sancio swoim *Madonnom*. Długie a jak jedwab miękkie rzęsy rzucały cień na policzki białości przezroczyściej niby liść kamelii, krwiste jednak

wypieki na środku każdego policzka, owe róże grobu, jak je lud prosty nazywa, wywierały straszne wrażenie. Są to niestety! zwiastuny fatalne, nieublagane, zapowiadające, iż śmierć dotknęła się palcem lodowatym młodziutkiej ofiary, i wkrótce przyjdzie ją zabrać jak swoją.

Usta były sine i gorączką spalone.

Jedno ramie, zwisające wzdłuż łóżka, było chude straszliwie. Ręka wązka, z długimi cienutkimi paluszkami, była już prawie przeźroczysta. Obrączka ślubna, teraz nadto obszerna, miała tuż-tuż zlecić z palca na podłogę.

Kobieta jasnowłosa spała zresztą snem głębokim i na pozór dość spokojnym. Oddech lekki a równy podnosił jej pierś nieznacznie. Przez sen zatem i całkiem bezwiednie westchnienie jej się wyrwało.

Jeden rzut oka wystarczył Janowi, żeby się o tem wszystkiem przekonać, cośmy poprzednio opisali; przesunął dłoń z wolna po czole potem zroszonym, a drganie kurezowe w ustach, wywołane śmiertelnym niepokojem, zaczynało ustawać. Wzrok jego, spoczywający chwilę na kobiecie uspionej z czułością niewypowiedzianą, przeniósł się naprzeciw na duże karło, na pół zmorszalą skórą obite, na którym spoczywał śliczny cherubinek, dziewczynka około lat sześciu, jak matka jasnowłosa, w postawie przez pół siedzącej, z główką przez poręcz karła przewieszoną.

Żadne słowa, żaden opis nie mógłby przedstawić dokładnie, jaki czar, jaki urok wiał od tej małej, wiotkiej istotki, podobnej trochę do ojca trochę do

matki, wzięwszy z każdego to, co było w nim najpiękniejsze.

I to dziecko nie zdawało trzymać się ziemi nadto silnie. Nie było w niej wcale a wcale owej bujnej jędrności, która zdaje się tryskać wszystkimi porami u niektórych dzieciaków. Delikatność jej kształtów była niemal przerażająca. I u niej pod oczami była szeroka sina obwódka. Krople potu wystąpiły na czoło tuż pod gęstymi włosami, barwy popielatej, i spływały zwolna po skroniach jak perłowa macieja przezroczystych.

Jej sen nie był tak spokojny jak u jej matki. Gorączka dotąd niezdecydowana napędzała chwilami krew do bladej twarzyczki. Jej powieki przymknięte drgały nerwowo, jakby się miały natychmiast podnieść i otworzyć. Rzuty gwałtowne wstrząsały kiedy niekiedy tem ciałkiem, tak drobnem, tak eterycznem, jak owe aniolki niemal bezcielesne, których robili mnóstwo rzeźbiarze średniowieczni, ozdabiając temi chudemi postaciami oltarze kościelne. Ich wiara gorąca i pierwotna, dziecinnie naiwna, nie mogła sobie inaczej uzmysłwić duchów nadziemskich.

Dziecię cierpiało, to było niewątpliwem.

Łza wielka, ciężka i gorzka, jedna z tych, co to wytryskują z serca rozdartego, niby krew z rany głębokiej, zawisła na rzesach mechanika, i stoczyła się po twarzy.

— Boże mój! Boże miłosierny! — szepnął glucho, ocierając łzy wierzchem ręki — Boże! miej litość nademną!... Wszak widzisz że upadam... daj mi odwagę, której mi brak!... dodaj mi siłę, które mnie

zupełnie opuszczają!...

Dziecko drgnęło. Główka dotąd na poduszce oparta, zsunęła się na twardą poręcz karla. Otworzyła oczeta, a jej drobne rączki, odgarnęły włosy wilgotne, na czoło opadające...

Jan zbliżył się do niej.

Ukląkł przed karlem, dotknął się ustami rozpalonej twarzyczki, ujął w dłoń jej obie rączki, złożył jej główkę na swojej piersi bolem drgającej, i szepnął jej na uszko, tej dziecinie najmilszej, słodko się do niego uśmiechającej, cichuteńko aby nie przerwać snu młodej kobiecie:

— Blanko! moje drogie maleństwo!... czy ciebie co boli?

— Boli tatusiu... — dziecię odpowiedziało słabym głosem.

— A gdzie cię boli aniolku?

— Wszędzie...

— Czy masz gorączkę?

— Nie wiem tatusiu...

— Abym ci mógł ulżyć w cierpieniu, muszę wiedzieć, co ci jest... Powiedz że mi czego doświadczasz, moje maleństwo najdroższe... powiedz mi wszystko dokładnie...

— Kiedyż ja nie umiem tego powiedzieć tátu...

— Spróbuj tylko dziecię... już ja cię zrozumiem, bądź pewna!

— Zdaje mi się, że mi główka okropnie cięży... niby cięższa niż całe ciało... Gdy nią ruszam, tak mnie bardzo boli...

— A dalej co?

— Coś mnie tak dusi, jakby mnie kto zamknął do szuflady naprzykład: aż nie mogę oddychać... a pokój duży przecie i okna pootwierane...

— Czegoż jeszcze doświadczasz?

— Gorąco mi, tak gorąco, jak gdybym biegła po słońcu w samo południe, bez kapelusika; a co mi mama bardzo ostro zakazuje... Nóżki mam jakby połamane, jakbym Bóg wie gdzie latała, a wiesz przecie dobrze tatusiu, że*m się stąd od trzech dni krokiem nie ruszała. Spałam trochę, ale to mi nie nie pomogło... Nawet przez sen czułam, jak mnie coś dusi...*

Vaubaron nie nie odpowiedział. Powstał z kłęczek, umaczał w świeżej wodzie koniec ręcznika, i otarł dziecka czoło i resztę twarzy. Potem nadzwyczaj zręcznie i szybko, ułożył w wachlarz jakąś starą gazetę, i zaczął chłodzić swoje biedne małeństwo.

Blanka zaczęła się uśmiechać uradowana, i cała twarzyczka aż pokraśniała:

— Przyjemnie ci? — spytał ojciec żywo.

— Jeszcze jak tatusiu!... a tak mnie to bawi!... Oh!... bardzo... bardzo!...

I twarz blada mechanika, zarumieniła się z radości.

— Tatku? — dziecię zaszczębiotało — jak się nazywa to, co trzymasz w ręczce?

— Wachlarz, dziecię.

— Czyś ty go wymyślił?

— Nie, kochanie... prawie wszystkie kobiety mają wachlarze, by się chłodzić podczas wielkiego upału, a to, com ja zrobił na przedce z papieru robi się

najeźściej z kości słoniowej, z perłowej macicy, okleja się atlasem, ozdabia pięknymi malowidłami, piórami i koronkami, czasem złotem lub srebrem...

— Czy tamte piękne wachlarze, lepiej chłódzą, niż twój?

— Nie sądze...

— No to daj mi ten!

— A potrafiśz nim się wachlować?

— Doskonale!... Patrz tylko, tatusiu!...

Dziecię ujęło wachlarz w prawą rączkę, i dzięki kokieteryi wrodzonej córkom Ewy niemal od kołyski, zaczęła nim poruszać z gracyą Hiszpanki, co najmniej piętnastoletniej.

Ojciec patrzył na nią z podziwem, prawie z ubóstwieniem.

— Tatku!... uściskaj mnie — rzekła dziewczeczka pieszczotliwie.

Nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć.

Gdy ją cisnął do piersi z czułością:

— A pamiętasz tatusiu, coś mi obiecał — spełnęła mu do ucha.

— Cóż takiego?

— Śliczną lalunię, którą sam zrobisz, piękniejszą niż te wszystkie u kupców za oknami... ma sama się ruszać... chodzić, jak prawdziwa panienka...

— Prawda, prawda!... nie zapomniałem o niej dziecie...

— I zawsze mi ją zrobić obiecujesz?

— Więcej niż kiedykolwiek!

— Jakiś ty dobry tatusiu! — klasnęła w rączki.

— Będzie zatem sama chodziła?

— Będzie mogła chodzić, siadać, otwierać i zamykać oczy, poruszać nóżkami i rączkami...

— Co za szczęście! A będzie ona mówiła, tatusiu?

— Może... ale tego nie jestem pewny moje drogie dziecko. Dotąd nie wymyśliłem sposobu, żeby kazać mówić lalkom. Kto wie zresztą, czy kiedyś i tego nie potrafię.

Dziecię, nie posiadając się z radości, zarzuciło mu rączkę na szyję.

### III.

— Cicho, Blanko! cicho! obudzisz mamę! — ojciec starał się powstrzymać dziecko od zbyt głośnych objawów uciechy.

— Nie śpię już mój drogi — odezwał się słaby głosik z łóżka.

Biedna chora zbudziła się była przed chwilą i wpatrywała się w męża i w swoją dziewczkę z miłością i czułością bez granic.

Jan skoczył do niej i w czoło pocałował.

— Lepiej ci, nieprawdaż? — spytał głosem drżącym od wzruszenia.

— Nie tylko mi lepiej — uśmiechnęła się czarująco — ale zdaje mi się, że już całkiem zdrowa... Spałam snem spokojnym i pokrzepiającym... Czuję się wzmocnioną i tak dzielną, że spróbuję wstać trochę... Jestem pewna, że potrafię chodzić doskonale...

— Żebyś się tylko nadto nie utrudziła?...

— Kiedyż ci powiadam, że siły w zupełności

odzyskała... zresztą zaraz sam osądzisz... Muszę przecie kiedyś wyzdrowieć, bo już mi na prawdę brakuje cierpliwości!... Żebyś wiedział, jak ja się tem martwię, wiazać jak ty biedaku musisz sam się wszystkiem zajmować... takie drobiazgi domowe wcale do mężczyzn nie należą!... Ty masz coś ważniejszego do roboty, oh! rzeczy o wiele pożyteczniejsze!... Nieraz miałam ochotę zlorzeczyć lekarzowi, że mnie prędzej na nogi nie stawia!...

— Lekarz robił, co mógł, moja Marto najdroższa!...

— Wierzę... wierzę... To człowiek pelen wiedzy i dobroci, ale nie rozumiał, nie mógł zrozumieć, jak moje zdrowie potrzebne tobie i naszemu dziecku... Kobiety bogate mogą leczyć się całemi miesiącami; nie przez to nie cierpi i nie ustaje w maszynie domowej; ale w takiej biedzie jak nasza, trzeba chorobę prędko wypędzać!... W latach dwudziestu tyle się ma sił do życia... to musi być przecież łatwo się wyleczyć... Wierz mi, natura u mnie więcej zdziałała niż cała wiedza lekarska, skoro od tygodnia lekarz mi nic nie zapisuje a czuję się jednak prawie wyleczoną...

Te słowa powinny by były ucieszyć Jana i natchnąć go pełną otuchą, twarz jego przecież nie wyrażała ufności tak zupełnej, jaką odczuwała młoda kobieta.

Mimowolnie wzrok jego śledził z niepokojem owe dwie plamy krwawe, odbijające straszliwie od trupiej bladeści lic chorej; oczy mu łzami zachodziły, westchnienia stłumione gwałtem się wyrwały z piersi ścieśnionej.



Wiedział on aż nadto dobrze, jak częste są podobne uludy u suchotników; z jaką chęcią namiętna czepiają się życia, w chwili, kiedy ono dogasa.

Pewność Marty olbrzymia, jej wiara niczem nie zachwiana w bliskie wyleczenie, przestraszały go, zamiast pocieszać.

Widział w tem jeden więcej symptom przerażający; truchlał na myśl o zbliżającej się katastrofie.

Zdziwiona jego milczeniem, młoda kobieta popatrzyła bacznie na męża:

— Boże mój! — zawołała strwożona. — Bożemój! ty płaczesz?

— To z nadmiaru radości! — szepnął nieszczęśliwy, nie mogąc dłużej łez powstrzymać!

— Tak, to co innego! — uśmiechnęła się słodko. A wiesz, mój najdroższy, żeś mi nie lada strachu napędził?... Ale teraz jestem całkiem uspokojona... Wypłacz się, wypłacz, mój biedaku!... Nie kryj się ze łzami przedemną... Słodkie takie łzy, które radość wyciska, a twój anioł-stróż pozbiera je jako dowód twojej wdzięczności dla Boga... Mogłeś mię utracić, a oto masz mię nazad... Jaki ten Bóg dobry!...

Nie nie mogło być dla Jana bardziej serce rozdzierającym, niż słyszeć to dziękczynienie namiętne, naiwne, z ust, które może wkrótce oniemieją na wieki, zlodowaciałe pod śmierci dotknięciem.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Łez potoki twarz mu zalewały; porwał obie ręce Marty i okrył pocałunkami, z rodzajem szału gorączkowego.

Trwało to zresztą bardzo krótko.

Mała Blanka zeszła z fotelu, który służył jej przed chwilą za łóżeczko.

Zbliżyła się do łóżka matki. Nie myślała już ani o wachlarzu papierowym, ani o cudownej lalce chodzącej, którą ojciec obiecał jej solennie.

Nie rozumiała dokładnie tego, na co patrzała, i spoglądała zdziwiona i zaniepokojona, to na ojca we łzach, to na matkę słodko uśmiechniętą.

Chora trzymała się uparcie myśli przed chwilą wyrażonej:

— Jasiu! — powtórzyła — chcę wstać... proszę cię, pomóż mi się ubrać...

Mąż zdjął z kolka skromną sukienkę perkali-kową, zawieszoną na ścianie w nogach łóżka, i położył przed Martą.

— Dziękuję ci, mój drogi... a teraz zobaczysz jak jestem silną! — przemówiła.

Podniosła się, chcąc ruchem szybkim z łóżka zeskoczyć.

Niestety! siły, na które liczyła z taką pewnością, zawiodły ją w tej samej chwili, kiedy chciała je wypróbować.

Nie mogła ruchu wykonać. Ciało wycieńczone, bezwładne, w tył się podało, jakby już krew przestała krążyć w żyłach. Głowa upadła ciężko na poduszki. Jęk podobny niemal do tchnienia ostatniego wy dobył się z ust sinych. Tak strasznie pobladła, że mąż spostrzegł przerażony, iż nawet te dwie plamy krwawe na policzkach zmalowały i znikły naraz. Oczy przymknęła... omdlała.

Jan wydał krzyk na pół stłumiony, a trwoga

śmiertelna twarz mu kurczowo wykrzywiła.

— Skonała!... skonała! — wybelkotał — Bóg mnie widocznie opuszcza!...

Upadł przy łóżku na kolana, i ten człowiek tak pełen energii, ukrył twarz w posłanie, wybuchając łkaniem nerwowem, niepowstrzymanem, jak dziecko zrozpaczone.

Odzyskał dopiero przytomność i równowagę, gdy uczuł na szyi ramiona małej Blanki, która ściskając go z całej siły, szeptała do ucha:

— Tatku!... mój drogi tatusiu!... nie płacz... pociesz się!... mama żyje... spi... ale zaraz się zbudzi...

Zdawało się nieszczęsnemu, że słyszy głos anioła... Teraz nie wątpił ani chwili... dziecko nie mogło się omylić... W jego duszę zwałpiała wstąpiła słodka otucha... pewność, że Marta nie umarła. Jego rozpacz bezmyślna uleciała... lzy oschły... i zaczął łudzić się na nowo...

Bóg jeden wie, z jakim wylaniem uściskał nawzajem swoje drogie maleństwo. Wszak Blanka wyrwała go z otchłani rozpaczey bezgranicznej, z agonii moralnej; potem zrobił to, o czem był powinien zaraz pomyśleć, to jest: położył dłoń na lewej stronie piersi chudej i zapadłej, biednej chorej.

Uczuł, iż pod tym naciskiem serce Marty bije przecież, chociaż bardzo słabo. Jakkolwiek były nieznaczące, te życia oznaki, nie były uludą zwodniczą... młoda kobieta żyła jeszcze.

Jan spróbował tego samego sposobu, łatwego, a skutecznego, z którym mu się tak dobrze z Blanką powiodło. Umaczał ręcznik w zimnej wodzie, nacie-

rając czoło, skronie i twarz zemdlonej. Drgnęła, i natychmiast oczy otworzyła.

— A widzisz tatusiu! — Blanka w rączki płasnęła, z wyrazem najwyższego tryumfu i zadowolenia — widzisz tatku, że mama tylko była usnęła!...

— Biedaku ty mój! — Marta szepnęła głosem zaledwie dosłyszanym — sądziłeś że umarła, nieprawdaż?

Mąż nie miał odwagi odpowiedzieć, potrząsł li głową zaprzeczająco.

— Ah! — chora dalej mówiła — uwierzyłeś w to... musiałeś uwierzyć, skoro ja sama się przestraszyłam.... Omyliłeś się na szczęście... żyje, alem nie wiele więcej warta, jakgdybym już leżała umarła na katafalku... Jak się łudziłam przed chwilą, mój najdroższy... zapewniając cię o moich wielkich siłach. Jestem osłabiona, do niczego, niby dziecko nowonarodzone... Muszka lecąca i brzęcząca w powietrzu, może więcej zdziałać i unieść na swoich drobnych skrzydełkach, niż ja, na całym moim nędznym ciele... Czy to nie zlego nie oznacza, mój najdroższy?...

— Nie zupełnie... — bąknął Jan, czując że traci zmysły.

— Jak mnie kochasz?

— Ależ, przysięgam ci, aniolku!...

— Niczego przedemną nie ukrywasz, co? — Marta wpatrywała się w twarz męża, śledząc jej wyraz niespokojnie. — Wszak nie jestem chorą śmiertelnie.

Czuł na sobie wzrok żony, choć na nią nie pa-

trzał. Trzeba było uspić trwoję umierającej, choćby za cenę najwyższą.

Łzy polknał, zdołał nawet wysiłkiem nadludzkim, uśmiech swobodny na usta wywołać; głos zmusił do spokoju zupełnego, i rzekł:

— Chorą śmiertelnie?... Cóż ci znowu dziecię drogie strzeliło do głowy!... Czy na seryo, zadajesz mi tak szalone pytanie? Choroba twoja, niczem, a niczem nie grozi, choć się trochę przewleka... dłużej niż zrazu myślałem. Lekarz jednak zaręcza, że wszystko skończy się jak najlepiej... zaręcza najsołenniej!... Nigdy się o ciebie nie trwożyłem, i nie trwoże...

Marta lżej odetchnęła, a jej wzrok czysty, zajaśniał nadziejską radością:

— Oh! tak, tak... żywo zawołała — wierzę ci... chcę ci wierzyć, mój najdroższy!... Byłoby to nadto bolesnem, odchodzić stąd, zostawiając po za sobą wszystko co się ukochało, tak szczerze, tak gorąco... Bóg nie na to nas połączył, aby nas tak prędko rozłączać... Bóg nie na to nas obdarował skarbem najwyższym, naszą Blanką malutką, żeby już w latach dziecięcych, miała zostać sierotą... Jestem do ziemi przykuta węzłami nadto świętymi, żeby mogły się rozerwać... Kocham ciebie, i kocham naszą Blankę... nie mam prawa umierać...

— Będiesz więc żyła, moja najukochańsza! — Jan szepnął głosem urywanym — będziesz długo żyła dla mego szczęścia, i dla naszego dziecięcia...

— Daj mi Blankę na łóżko, w moje objęcie — prosiła umierająca.

Spełnił, czego żądała.

Marta ucałowała córeczkę namiętnie, ze dwadzieścia razy... Widząc je tak do siebie przytulone, można było wziąć Martę za Blanki starszą siostrę.

Chora znowu zaczęła:

— Tak, czuję, że będę żyła... Ale Boże! Boże! jak długo jeszcze potrwa moja rekonwalescencya!

— Może krócej, niż się spodziewasz aniolku. Przed chwilą miałaś bardzo dobrą otuchę o twoich siłach, teraz przesadzasz znowu, mówiąc o twojem wielkiem osłabieniu.

Potrząsała głową z pewnem niedowierzaniem.

Jan mówił dalej:

— W każdym razie uzbrój się w cierpliwość, dziecko drogie... Tak cię będę pieścił i pielęgnował, że dni i godziny zbiegną ci jak jedna chwilka...

— Oh! mój najdroższy — złożyła ręce niby do modlitwy — wiem żeś dobry jak sam Bóg, i dla tego żem dumna z takiego męża, że się czuję najszczęśliwszą z kobiet, lękam się śmierci.

Chciał odpowiedzieć.

Nie miał już na to czasu.

Odezwał się dzwonek u drzwi wchodowych.

— Któż to dzwoni? — spytała Marta.

— Zapewne lekarz... to pora, w której zwykł nas odwiedzać...

— Któraż godzina? — chora wtrąciła.

— Nie wiem na pewno... — zawahał się zmieszany. — Sądzę... że będzie czwarta...

— A gdzież twój zegarek?

Udał, że nie słyszy zapytania, i wyszedł z pokoju drzwi otworzyć.

## IV.

Był to lekarz rzeczywiście, lat pięćdziesięciu, wysoki, chudy, istna tyka, w tradycyjalnych złotych okularach na nosie długim jak pałasz, w czarnym po kolana surducie, w białej, mocno krochmalonej krawacie.

Używał on pewnej sławy na przedmieściu, która jednak nie rozszerzała się zbyt daleko, i nie zaliczała go, między Geniuszów sztuki lekarskiej.

Nie był to zły człowiek, i nie był nadto chejwym. Przywiązywał się jednak i lubił odbierać punktualnie pieniądze, należące mu się za wizyty.

Wszedł dobrodusznie uśmiechnięty.

— Dzień dobry, kochany panie Vaubaron!... co tam dziś słyhać z naszą pacjentką?

— Bardzo osłabiona, panie doktorze... jestem wielce zaniepokojony... Przed chwilą wstać próbowała...

— Nierozwaga nie do przebaczenia!

— To też, po pierwszej próbie, omdlała.

— Wcale mnie to nie dziwi... wsypię porządną burę mojej ślicznej pacjentce, za podobną nieostrożność!...

Brał już za klamkę od drzwi do pokoju sypialnego, ale Jan przytrzymał go za ramię:

— Panie doktorze! — zniżył głos.

— Cóż takiego?

— I moja córeczka trochę mnie niepokoi...

— A jej co brakuje?

— Niby ma gerączkę, tak mi się zdaje przynajmniej... Skarzy się na wielki ciężar w głowce i ciągle pieczenie pod piersiami.

— Zobaczymy... zobaczymy...

— Chciej ją wybadać, doktorze, ale nieznacznie, jakbyś jej za chorobą nie uważał... Moja biedna Marta nie powinna się domyślać, że nasze dziecię cierpi... W stanie, w jakim sama się znajduje, najłżejsze podejrzenie co do tego, jestem prawie pewny, mogłoby ją zabić od razu...

— Bądź pan zupełnie spokojny, i spuść się z tem na mnie.

Weszli obydwoj do pokoju sypialnego, a lekarz przystąpił do łóżka:

— Ejże! kochana moja pani — pogroził jej palcem figlarnie — o czem że to ja się od jej męża dowiaduję? Zacheiało się pani udawać silną, waleczną, bez mojego pozwolenia, i zaraz za nieposłuszeństwo, zostałaś ukarana.

— Myślałam, że jestem silniejsza... szepnęła zmieszana.

— A nie jesteś nią jeszcze... no!... rzecz całkiem naturalna... Odzyskamy siły... tylko trochę później... Nie można się zrywać nagle, droga pani, bo tem przydłużysz jeszcze rekonwalescencyę...

— Panie doktorze! — odezwała się Marta pokornie — obiecuję być bardzo cierpliwą i bardzo ostrożną... ale pan mnie wyleczysz nieprawdaż?

— To dobre!... a któżby o tem wątpił?

— Jesteś pan pewny, że mi nie grozi żadne niebezpieczeństwo?



— Ależ żadne!... najłżejsze!

— Bo uważ pan tylko, jak ja koniecznie żyć powinnam!... Mąż i dziecko, nie mogliby się obejść bezemnie... Cóżby się z nimi stało, wielki Boże! gdybym ja umarła!... Skoro o tem pomyśle, dreszcz mnie przechodzi, od stóp aż do głowy!...

— Na-cóż bo zaprzatać sobie główkę, droga pani, takimi brzydkimi myślami... Proszę je wypędzić czempredzej, na cztery wiatry!... Nie tylko pani nie umrzesz, ale bardzo wkrótce wyzdrowiejesz... Znajduję panią dziś dużo lepiej... Czy masz na co apetyt?...

— To, nie koniecznie, panie doktorze...

— No, no... brak ruchu... ciągle leżenie... Koniec końców, gdybyś pani miała na cokolwiek apetyt, możesz jeść wszystko, bez wyjątku...

— Jednak... cóż byś pan uważał za pożywienie najodpowiedniejsze? — spytał Vaubaron.

— Na co tylko będzie miała apetyt... powtarzam... Niczego nie zakazuje, bo nie mi się w stanie obecnym nie wydaje szkodliwe... Widzicie państwo, jaka to łatwa ze mną sprawa!

Kurcz nerwowy schwycił Jana za gardło i usta mu wykrzywił. Tak wielka powolność, wydała mu się podejrzaną; znajdował ją bardziej niepokojącą, niż zakazy i obostrzenia najsurowsze.

Znowu zapytał:

— Nie zapiszesz pan jakiej recepty?

— Nie, na prawdę!... Leżeć cichutko... o nic się nie troszczyć, niczem nie martwić... spokój serca i umysłu, oto czego trzeba przedewszystkiem naszej

kochanej chorej, która nie długo nią być przestanie... Tego niepotrzeba zostawiać na piśmie, co?

Zmienił ton i dodał czoło z potu obcierając.

— Upał dziś do niezniesienia... Można by przypuścić, że to połowa lipca dopiero... Będziemy mieli na pewno burzę okropną na przyszłą noc... Czuję się bezsilnym, utrudzonym, jeżeli państwo pozwolą, trochę sobie u was odpocznę.

Jan pośpieszył przysunąć karło doktorowi. Doktor usiadł, wachlując się chustką przez chwilę. Potem skinął ręką na Blankę, z uśmiechem przyjacielskim. Dziecko trzymało się dotąd od niego zdaleka, trochę zmieszane i onieśmielone.

— Czy się mnie boisz, śliczny aniołku?...

— Oh! nie, proszę pana doktora, wcale nie...

— W takim razie, zbliż się dziecinko... jeszcze bliżej... ot tak! na moich kolanach — wziął dziewczynkę; posadził na kolanie.

Lekarz wszczął z nią rozmowę, zastosowaną do jej umysłu dziecięcego, której przytaczać nie myślimy, była bowiem li pokrywką, tak gawędząc swobodnie i wesoło, znalazł sposobność z największą łatwością, dotknąć się nieznacznie i niby przypadkiem, jej czoła i piersi; ująć za puls dłonią.

Gdy się tak lekarz z dzieckiem bawił, na co Marta patrzyła z uśmiechem, niczego się nie domyślając, Jan mówił w duchu, w trwodze śmiertelnej, iż może teraz doktor tak samo na dziecię jego wyrok wydaje, jak w pierw. zdawał się wątpić o życiu Marty.

Ktoś obcy, nadchodząc, byłby w tem wszystkim

widział tylko ładny obrazek rodzajowy. A jednak, pod tym pozornym spokojem, ukrywał się dramat najboleśniejczy. Dramat, rozgrywający się w sercu męża i ojca, w sercu rozdartem, branem na tortury, a jednak z bohaterstwem niezrównanem, ukrywającym starannie te męki piekielne.

— Już odpocząłem dostatecznie — lekarz powstał, skończywszy pobieźny egzamin. — Do zobaczenia, kochana pani, i proszę być dobrej myśli. Panie Vaubaron, sługa pański!...

Jan odprowadził lekarza aż na schody:

— I cóż? — spytał drżący, przykładając usta do samego ucha lekarza, aby chroń Boże! chora czegoś z ich rozmowy nie pochwyliła. — I cóż?...

— Winien jestem powiedzieć panu prawdę, i całą prawdę, bez ogródek... Nie omyliłeś się... Dziecie jest trawione gorączką nieustanną...

— A więc... a zatem... — Jan jęknął głucho, unicestwiony — jest chora może nawet śmiertelnie?!

— Tylko proszę, bez przesady!... Tego przecież nie powiedziałem... Niebezpieczeństwo może nadejść, przyznaję ale dotąd go nie ma jeszcze.

— Niestety! przyjdzie doktorze, nadejdzie aż nadto wcześniej!

— Nie przyjdzie, jeżeli pan przeciwstawisz wszelkie ostrożności.

— Oh! gdyby trzeba mojej krwi, żeby Blanke uratować, Bóg mi świadkiem, żebym jej nie poskąpił! nie zawahał się ani chwili!...

Lekarz mówił dalej:

— Dziewczynka więcej ma z matki, niż z pana.

Delikatna, ustrój nerwowy drażliwy nieslychanie... Jednak, jak dotąd, żaden z organów żywotnych nie jest na seryo zaatakowany, i mam to silne przekonanie, że dałoby się wzmocnić jej wątłą kompleksyę... Gdybyś pan był zupełnie możny, radziłbym spędzić z córeczką kilka zim na Południu, to by jednak przechodziło pańską możność, nieprawdaż?

— Zapewne... ma się rozumieć! — Jan westchnął ciężko.

— Ograniczę się zatem, — kończył lekarz — na zaleceniu dyety nie zbyt podniecającej. Dużo mięsiv, soczystych, na pół surowych, drób, zwierzyna, Bordeaux za napój zwykły... Widzisz pan, że ten przepis nie przedstawia żadnych trudności w wykonaniu...

Vaubaron uśmiechnął się gorzko, i wpił rozpaczliwie palce we włosy.

Lekarz cedził dalej z flegmą:

— Polecam panu w szczególności, starać się dla dziecka o dużo ruchu, dużo rozrywek, o ile możności na świeżem powietrzu. Za nic nie odpowiadam, jeżeliby dziewczynka siedziała po całych dniach zamknięta pomiędzy czterema ścianami... Pan mnie zrozumiałeś, co?

— Tak doktorze... zrozumiałem!... Pańskie polecenia wypełnię... zrobię co będzie możliwe... a nawet pokuszę się o rzeczy niemożliwe... To, co się tyczy dziecka... a teraz błagam! mów mi pan o jej matce... Wiesz pan, żeś mnie przestraszył okropnie przed chwilą, mówiąc, że jej niczego nie zakazujesz, bo nie uważasz, żeby jej cokolwiek szkodzić

mogło?... Przypomniałem sobie, że w ten sposób postępuje się tylko z chorymi nieuleczalnymi i struchlałem. Powiedz że mi pan, a prędko, na miły Bóg! że moje tłumaczenie słów pańskich, było mylne, i że powinien byłem, wziąć je po prostu w tym sensie, jak były powiedziane!

Lekarz zawahał się z odpowiedzią.

Twarz Jana zbladła jeszcze bardziej, i wlepił w lekarza wzrok błagalny.

— Dla czego pan milczysz? — jęknął.

— Słuchaj pan! — odezwał się lekarz nagle. — Jesteś mężczyzną, powinieneś zatem być odważny. Zresztą prędzej, czy później, musisz się pan prawdy dowiedzieć...

Vaubaron drgnął jak skazany na śmierć, gdy mu błysnie nad głową topór kata. Usta mu się poruszyły machinalnie, ale nie był w stanie słowa przemówić; oczy zdawały się na wierzch wyskakiwać z powiek niesłychanie rozszerzonych, potrząsł głową, czy przecząc? czy potwierdzając? i zapadł w bezwładność niemą, niby posag boleści uosobistnionej.

Lekarz westchnął ze współczuciem... Na cóż zda się jednak kłamać, w obec nieublaganej rzeczywistości?... mówił więc dalej:

— Pańska żona cierpi na piersi... Sam wiesz o tem oddawna... Oddawna również, mogłeś się przygotować na cios, który w ciebie niebawem uderzy...

— Wie się... a przecież... do chwili ostatniej nie traci się nadziei — szepnął Jan głucho, jakby głos jego z pod ziemi wychodził.

— A więc... nie trzeba się dłużej ludzi nadzieją...

Mechanik przycisnął pierś dłonią. Ból straszny przeszył mu serce.

— Pańska żona doszła do kresu ostatniego suchot płucnych. Sztuka lekarska zmuszoną jest, przyznać się do zupełnej nieudolności w obec tej strasznej choroby... Cud chyba, mógłby uratować panią Vaubaron.

W tej chwili nieszczęśliwy Jan, widząc gasnący ostatni promyk nadziei, był przerażający. Na pozór spokojny, oddychał ciężko, oczy krwią mu nabiegły, żyły na czole naprężyły się jakby pęknąć miały. Spytał tym samym głosem grobowym:

— Wszystko zatem skończone... ona umrzeć musi?

— Musi niestety! — lekarz odpowiedział.

— Kiedy?

— I tego nie będę przed panem tail, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, koniec bardzo bliski... Zaledwie dni kilka jej zostaje, a i ten termin może skrócić, lada wydarzenie nieprzewidziane, wzruszenie gwałtowniejsze... Moje zatem wizyty stają się zbytecznymi... Bylbym odpowiedzialny w obec własnego sumienia, gdybym nie przestał bywać u państwa... W takim razie...

Urwał, wyjął z zanadru spory pulars skórzany, otworzył go, poszukał i podał Janowi świstek papieru wąski, zapisany od góry do dołu.

— Oto spis moich wizyt najdokładniejszy... przygotowałem go, przewidując, że wkrótce nie będę państwu potrzebny... Ośmdziesiąt wizyt, po dwa franki, wynosi sto sześćdziesiąt franków... Robię pana uważnym, iż liczę jak można najtaniej z powodu, iż pan należysz do tak wysoko przezemie

cenionej klasy rzemieślniczej... Moim pacjentom bogatym, liczę wizyty po pięć, a nawet po dziesięć franków.

Vaubaron wziął papier machinalnie, ale zatopiony w myślach, ani słyszał słów lekarza.

— Nie kłopotuj się pan tem zbyt — lekarz dotknął się przyjacielsko jego ramienia. — Nie żądam pieniędzy natychmiast... Do kaduka, nie zawsze ma się w kieszeni sto sześćdziesiąt franków, przy innych codziennych wydatkach... Daj pan sobie czas... zgłoszę się za dni kilka, a wtedy byłbym panu bardzo wdzięczny, gdybyś chciał wyrównać mój rachunek... Czasy ciężkie, panie Vaubaron... pieniądze zaś każdy z nas potrzebuje.

Mógł pocziwiec długo w ten sposób rozprawić, Jan był głuchy najzupełniej!

— Do zobaczenia, panie Vaubaron! — ścisnął go za rękę zimną jak lód. — Życzę męstwa i odwagi... Trzeba jej panu bardzo wiele!... co prawda, to prawda... ale do stu dyabłów! jesteś przecie mężczyzną!... Powrócę za dni cztery...

Zeszedł na dół.

Po chwili dopiero Vaubaron spostrzegł, że jest sam w sieniach. Głowę opuścił na piersi i szepnął łkając:

— Wszystko skończone!... ona umrze!...

## V.

Chora musiała się dziwić, może już się nawet niepokoić, tak długą męża nieobecnością.

Vaubaron to zrozumiał.

Rozpacz ukrył na dnie serca, twarz zmusił do zupełnego spokoju, sercu nakazał, żeby zaczęło bić jak zazwyczaj, i wrócił do pokoju sypialnego.

— Mój drogi — Marta spytała — o czemże tak długo rozmawiałeś z doktorem?

— Oh! o wszystkim i o niczem... Wiesz jaki z pocziwca gaduła!... Zresztą doktor odszedł już dawno... Szukałem nadaremnie w mojej tece planu na nową maszynę... a jest mi tak niezbędnie potrzebne!

To tłumaczenie, zaspokoilo najzupełniej ciekawość młodej kobiety.

Wzrok jej padł przypadkiem na papier, który mąż trzymał w ręce.

— Co to takiego? — spytała powtórnie.

Drgnął nerwowo... zapomniał o papierze najzupełniej.

— To? — rozłożył szybko zmięty świstek — rachunek doktora.

— Podał ci rachunek... tak prędko?

— No tak... widzisz przecie...

— Ile też wynosi?

Popatrzył na ilość zesumowaną!

— Sto sześćdziesiąt franków — bąknął.

Twarcz Marty wyrażała bolesne zadziwienie.

— Ależ to dla nas suma olbrzymia! — zawołała żałośnie. — Tyle pieniędzy wyrzucić, li za wizyty lekarskie! Ah! mój najdroższy, ile cię moja słabość kosztuje! Skąd ty weźmiesz taką sumę? Przyjdzie ci to z wielką trudnością.

Jan machnął ręką lekceważąco.



— Nie troszcz się o to, droga moja dziecino... to drobnostka... Mam odebrać pieniądze z dziesięciu miejsc! Zresztą doktor może poczekać.

— Dla czegoż ci jednak dziś wręczył rachunek? Czy już nie przyjdzie do nas?

— Zdaje się... Uważa twój stan za tak dobry, i zadawalniający, że przestanie przychodzić, co jest bardzo uczciwie z jego strony.

Marta więcej nie pytała.

Jan usiadł przed warsztatem i zaczął toczyć jakieś kółko. Pracując machinalnie pytał się w duchu:

— Co począć?... Skąd wziąć pieniądze?...

Czas obznajomić bliżej naszych czytelników z Janem Vaubaronem, spojrzawszy w przeszłość tego człowieka, który będzie główną osobistością w naszym najprawdziwszym opowiadaniu.

W jednym z rozdziałów poprzedzających, wspomnieliśmy o Biblii Kalwińskiej, noszącej na sobie ślady na pół zatarte, tarczy herbowej z koroną margrabiowską.

Herb Lwia Paszczeka... a u góry Krzyż z Kotwicą, na pamiątkę Wojen Krzyżowych, w których przodkowie Vaubaron'a dzielnie się z Saracenami potykali, należał się najsprawiedliwiej naszemu bohaterowi. Miał on prawo niezaprzeczone, tytułować się margrabią, jako jedyny i ostatni potomek tego wielkiego rodu.

Musimy dodać natychmiast, że biedny rzemieślnik, nie tylko nie myślał upominać się o ten tytuł, ale zaledwie wiedział, iż jest szlachcicem. Dla niego nazwisko starożytne, niegdyś wslawione przez

rycerskich jego antenatów, nie przedstawiało żadnej wartości.

Ten szczegół wymaga objaśnień, które też zaraz przytoczymy:

W drugiej połowie wieku siedmnastego, istniał w Bretanji, niedaleko od Carnar, zamek przepyszny i rozmiarów olbrzymich, otoczony mnóstwem dóbr, tak, że dzierżawy wynosiły rok rocznie do dwudziestu tysięcy bitych talarów. Ten zamek i te dobra, stanowiły Państwo Vaubaron, i od wieków przechodziły z ojca na syna, na ordynatów, to nazwisko noszących.

Głową rodziny, w chwili odwołania Edyktu Nantejskiego, przez Ludwika XIV, a więc u schyłku wieku siedmnastego, w roku 1685, był margrabia Gontran de Vaubaron, wdowiec w latach sześćdziesięciu po kobiecie młodziesieńkiej, i żyjący w zamku sam jeden, z synkiem kilkoletnim. Margrabia, człowiek usposobienia ponurego, niesłychanie egzaltowany, skłonny do fanatyzmu, należał do Wyznania Kalwińskiego. Prześladowania, na jakie byli narażeni jego współwyznawcy, oburzały go najokropniej, podniecały w nim do szału niemal chęć oporu, i zrobiły go podobnym do owego John'a Balfour de Burley, unieśmiertelnionego przez Valter-Scott'a w „Purytanach w Szkocyi“. Edykt króla Ludwika XIV., nakazujący Kalwinom oddawać dzieci niżej lat szesnastu na wychowanie najbliższym krewnym katolikom, a w braku tychże, opiekunom wyznaczonym z urzędu, przez namiestników na prowincyi, stanowił w jego oczach po-

gwałcenie najstraszliwsze władzy i powagi ojcowskiej, jak również wolności wyznań i sumienia!

Pierwszy tedy bunt podniósł przeciw edyktowi, otworzył bramy zamku dla Hugenotów prześladowanych, i był tak szalenie zuchwałym, że pokusił się odeprzeć przemoc, przemocą. Wierzył święcie, iż Współwyznawcy na jego wezwanie, podniosą się jak „Jeden Mąż!“ w całej Francyi, i zechcą pomścić krwawą „Noë S. Bartłomieja“, 24. sierpnia w r. 1572, koniec końców wywiesił sztandar rewolucyjny, i porwał się do broni.

Znane nam są z historyi następstwa krwawe i niesłychanej doniosłości w dziejach francuzkich, zniesienia Edyktu Nantejskiego. Około 500.000 Kalwinów francuzkich, przeniosło się za granicę, do Państw ościennych, zreformowanych, darząc nową ojczyznę owocami przemysłowości z Francyi wyniesionemi, mianowicie tkactwa materyi jedwabnych. Dragonady (tak nazywano wojska królewskie) płądrowały po nieszczęśliwych okolicach, zamieszkałych przeważnie przez Hugenotów. Potykały się dzielnie z wojskiem regularnem, zastępy Kamizardów, złożonych po większej części z ludu wiejskiego. Nazywano ich Camisards, ubierali się bowiem w długie koszule Camisard w narzeczu ceweńskim. Wiódł ich do boju z marszałkami królewskimi, wódz nieustraszony, Jan Cavalier, syn wieśniaka, zaledwie dwadzieścia kilka lat liczący. W tej nieszczęsnej walce domowej, poległo do 100.000 z jednej i z drugiej strony.

Nie dziw zatem, że i margrabia Vauxbaron, po-

wziął zamiar heroiczny, ale mniej szalony.

Jedynem tego buntu następstwem; następstwem łatwem do przewidzenia, było ściągnięcie na zamek zbuntowany kary najsurowszej. Zastępy królewskie obległy go, i miały z góry nakazane, z okrucieństwem wyrafinowanem, żeby nikomu z buntowników nie udzielać pardonu, wszystko niszczyć ogniem i mieczem! Ciężka artylerya zmiażdżyła bramy z brusów dębowych, kute żelazem, i porobiła wylomy dostateczne w murze z bloków granitowych zamek otaczający. Pożar podminował wieże zamkowe, krew lała się potokami, tylko liczba bardzo ograniczona obleżonych, potrafiła ratować się ucieczką z tych zgłiszczy, dymiących krwią i pożoga.

I margrabia Gontran de Vaubaron był między nimi.

Nie oskarżajmy go jednak o podłe tchórzostwo.

Starzec należał do owych rycerzy „Bez bojaźni i bez zarzutu,“ którzy nie podają nigdy pleców nieprzyjacielowi, i padają twarzą na przód. Chciał on waleczyć do ostatniej chwili, zginąć wraz ze swoimi towarzyszami, połączyć swoje zwłoki ze stosem ciał zabitych na gruzach zamku jego praojców...

Powiedział jednak sobie, że nie ma prawa skazywać na tę śmierć straszną syna jedynego, liczącego zaledwie lat dziesięć, i skazać na zupełne wygaśnięcie, na zagładę, nazwiska tak starożytnego, rodu znanego na kartach najchwalebniejszych dziejów francuzkich.

Połączył się zatem z uciekającymi, płacząc z

rozpaczy i wściekłości.

Dzięki ciemnościom nocy burzliwej, w części tylko rozpraszanych łuną, bijącą od zamku w płomieniach, Gontran, i mały oddział Hugenotów, oszczędzonych przez bomby i granaty oblegających, dostali się szczęśliwie do przystani w Penmark, przez nikogo nie gonieni, gdzie wsiedli na statek, należący do margrabiego.

Ten statek zawiózł zbiegów na ziemię obcą. Tu mieli zacząć ciężkie życie tułaczy, wygnanych z kraju własnego.

Pierwsze wieści, które go doszły z Francyi, oznajmiły margrabiemu de Vaubaron, że dobra jego zostały skonfiskowane, na jego głowę cenę wyznaczono, i że nigdy, choćby nawet chciał się poniżyć, i poddać z pokorą Edyktowi nowemu, co mu ani w myśli nie postało, król sędziwy nie przebaczył by, ani jemu, ani jego potomstwu, buntu i oporu tak jawnego, i tak zuchwałego.

Ruina jego była zatem zupełną i niecofnioną, wygnanie z kraju wieczyste... Margrabia nie posiadał nic więcej, prócz małego okręciku, i kilku brylantów, porwanych na prędcie ze skarba rodzinnego, gdy z zamku uchodził.

Sprzedził okręt, spieniężył klejnoty, a zebrawszy zaledwie tyle, żeby nie umrzeć z głodu, poświęcił się wyłącznie kształceniu syna.

W trzy lata później, margrabia umarł nagle, wycieńczony smutkiem, podminowany tęsknotą za krajem rodzinnym, zostawiając synowi około trzydziestu tysięcy talarów, całego majątku (tyle nie-

gdys wynosił ich roczny dochód!) i ową Biblię Kalwińską, z którą nakazał mu to pod błogosławieństwem, nie miał się nigdy rozłączyć.

Raz nawet powiedział:

— Później mój synu, gdy dojdiesz do wieku męskiego, dowiesz się, iż ta biblia stanowi dla ciebie skarb najkosztowniejszy, i że dzięki jej, twoi synowie zostaną tem czem byli nasi antenaci.

Prawdopodobnie margrabia de Vaubaron, chciał kiedyś wytłumaczyć jaśniej synowi te słowa tajemnicze, które dziecko puściło mimo uszów, wcale się nad nimi nie zastanawiając.

Śmierć napadła starca niespodzianie, i nie zostawiła mu czasu na żadne tłumaczenie.

Syn margrabiego wyrósł, ożenił się za granicą bardzo skromnie i z panią ubogą, żył nieznanym w ubóstwie, i zmarł, zostawiając znowu tylko jednego syna po sobie.

Zaczęła się powoli agonja, wielkiego i znakomitego rodu.

Nie będziemy szli krok za krokiem, badając z ciekawością przesadzoną, dalsze pokolenia Vaubaronów, tonące coraz bardziej w cieniu życia mieszczańskiego i niesłuchanie pospolitego; w stosunkach materyalnych, z nędzą niemal graniczących.

Członkowie tego rodu upadającego, wiedzieli, że pochodzą z Francji; czasem nawet opowiadali jedni drugim, że ich pra-dziady, byli niegdyś możni i bogaci, nie bardzo jednak sami wierzyli w to podanie mgliste i legendowe, które nie miało żadnej podstawy namacalnej.

Tak minęło lat sto z okładem.

W roku 1803, jeden z Vaubaron'ów powrócił do Francji i osiedlił się w Paryżu. Po raz pierwszy, od zniesienia Edyktu nantejskiego, jakiś potomek margrabiego Gontrana, przestąpił granicę kraju rodzinnego.

Ten tedy Vaubaron, obywatel Vaubaron, (jak się wtedy wyrażano) był to człowiek dość ograniczony, hulaka, pijak i graecz nalogowy.

Palnął głupstwo wierutne, żeniąc się, on, nicpoń czystej wody! i rzecz naturalna, po kilku miesiącach pożycia małżeńskiego, zbrzydził sobie żonę i ognisko domowe.

Wtedy, ani się pytając o żonę, wymazawszy ją z pamięci, jakby wcale nie istniała, nie pamiętając i nie dbając również i o tę okoliczność, że ma wkrótce zostać ojcem, rzucił się na nowo, ze zdwojoną namiętnością, w wir rozpusty najohydniejszej.

Pożarł w jednej chwili to trochę, co sam posiadał, a wtedy wyciągnął chciwe dłonie, aby tak samo puścić na cztery wiatry żony posażek.

Nadaremnie istota nieszczęśliwa za nogami mu się włóczyła, prosząc i zaklinając, żeby miał litość, jeżeli już nie nad nią, to nad swoim własnem dzieckiem, które ona nosi w łonie. Odpowiadał szorstko, że kobiety istoty nieudolne i głupie, nie się na interesach nie rozumieją, i do niczego się też mieszać nie powinny. Obiecywał jej zresztą na pociechę, wielki majątek w przyszłości, o jakim jej się nawet nie przyśniło.

Hulaka niepoprawny, nie był w gruncie złym

człowiekiem, i tak solennie zareczając, że wkrótce będą we wszystko opływali, mówił to tylko w co sam świecie wierzył.

Jak ogół graczy, ufał swojej dobrej gwieździe, liczył na zyski bajeczne, na wygrane uludne. Gra, upaja niemal jak Hatchich indyjski, swoich zwolenników, a raczej swoje ofiary, i każe im patrzeć w przyszłość, przez pryzmat olśniewający a zwo-dniczy.

Ostatni luidor, ostatni talar Vaubaron'a o którym piszemy; wszystko stopniało, na zielonych stolikach domów gry.

Gdy nędznik przekonał się, iż ani grosz mu nie został w kieszeni, że wyschło wszelkie źródło dochodów, a i kredyt wyczerpał się najzupełniej, że odtąd byłby zmuszony pracować lub kraść, aby wyżywić siebie i żonę, w głowie mu się pomieszało.

Wiedział dobrze, że pracować nie potrafi.

Myśl o kradzieży go przerażała.

Ta natura słaba i znikczemniała, mogła dójść do nałogu i nurzać się w kale rozpusty, nie posiadała jednak dość energii aby bodaj zbrodnię popelnić.

Koniec końców, uważając położenie, w którym znalazł się samo chcąc, za rozpaczliwe i bez wyjścia, obywatel Vaubaron popelnił ostatnie tchórzostwo najpodlejsze, i kulę sobie w mózg wpakował.

Samolub nikczemny, myślał li o sobie, nie troszcząc się wcale o żonę, i o los dziecięcia, które lada dzień, miało wyjrzeć na świat boży.

W chwili, kiedy wnoszono na marach, do po-



mieszkania, trupa samobójcy z głową roztrzaskaną; jego żona nieszczęśliwa, uczuła pierwsze bole macierzyństwa.

Wołała o pomoc, nikt nie przybywał; błagała męża nieobecnego, a śmierć jej odpowiedziała.

Na widok ciała krwią zbroczonego, ohydneho i wstrętnego, upadła na wznak z krzykiem rozdzierającym.

Nie odzyskała już przytomności. Skonała nie doświadczywszy tej najwyższej radości i boleści jednocznie, której doświadcza matka nieszczęśliwa przyciskając do serca po raz pierwszy... pogrobowczyka! sierotę bez ojca!

Nazajutrz, wóz najniższej klasy wioził dwie trumny razem do wspólnego grobu.

Co się tyczy dziecka nowonarodzonego, urzędnik municypalny, wpisywał go w księgi ludności paryskiej, pod imieniem i nazwiskiem Jana Vaubaron'a.

## VI.

Na dole, w domu, w którym umarła matka Vaubaron'a, mieszkał ślusarz ze żoną. Była to para starszków bardzo poczciwych. Mąż pracował z energią niezmordowaną, od lat czterdziestu, zebrawszy dotąd bardzo niewielką sumkę, „na czarną godzinę.“ Żona, kobieta łagodna i pracowita, modliła się gorąco przez całe życie, o dzieciątko. Bóg jednak prośby jej nie wysłuchał.

Ci zacni ludzie, nazywali się Mateusz i Klaudya Simon.

Klaudya szepnęła nieśmiało mężowi, w dzień

podwójnej katastrofy, którąśmy wyżej opisali:

— Mój kotku! co też się stanie z tym biednym bobakiem, który urodził się, niemając ni ojca, ni matki?

— Cóż ma z nim być?... Zaniósą go, rzecz naturalna, do domu podrzutek.

— Przykro mi o tem pomyśleć... matka była taka uczciwa... gdybyś tak pozwolił?...

— No, kończże, kończ!...

— Zastąpilibyśmy mu zmarłych rodziców... Wzięlibyśmy sierotę do siebie... wychowując najstaranniej...

— Co ci też kobieto świta po głowie?!... Czyśmy to tacy bogacze, czy co?

— Eh! taka dziecina nie zje przecież wołu... Gdzie jest dla dwojga, znajdzie się i dla trzeciego. Przywiązałbyś się do dzieciaka, i nauczył go twój rzemiosła...

— Starość, nie radość... Może wkrótce będę zmuszony warsztat porzucić...

— Właśnie też!... Gdy nie będziesz miał zatrudnienia i roboty, będzie ci się nudziło. Dziecko wtedy stanie ci się rozrywką. Będzie to zresztą uczynek miłosierny, i ręczę, że tego nie pożałujesz. Dałabym sobie za to głowę uciąć!

— Ha! skoro taką masz wielką ochotę na tego chłopaka, niech się stanie według twej woli... Pójdę zaraz, i każę sobie oddać dziecko na wychowanie.

I rzeczywiście Simon poszedł do komisarza od policyi, i podpisał deklarację, że dziecko bierze na swoją opiekę.

Pochwalono mu bardzo zamiar szlachetny, i oddano natychmiast sierotę, nie zapominając o Biblii z tarczą herbową, która leżała na łóżku, obok matki umarłej.

Jan Vaubaron, mimo okoliczności rozpaczliwych poprzedzających jego urodzenie, zdawał się silnie zbudowany, i zdrów jak ryba.

Rozwijał się szybko i prawidłowo, otoczony miłością i najczulszemi staraniami rodziców przybranych, którzy go wkrótce jak własne dziecko pokochali. Jednocześnie karmiąc ciało i o duszy dziecka nie zapominali. Oboje kształcili go, jak umieli, na dobrego, pracowitego rzemieślnika, i człowieka uczciwego.

Lata mijały. Starzec zapominał o chęci porzucenia warsztatu, i pracował dalej ucząc syna przybranego.

Jan, doszedłszy do lat piętnastu, brał się aż miło do roboty! tak dalece, że przeszedł w zręczności najśmielsze nadzieje ojca przybranego. Nie miał sobie równego, gdy szło o zrobienie zamku z sekretem, którego żaden wytrych nie byłby w stanie otworzyć, i o wyrzeźbienie klucza mocnego, a eleganckiego. Zbudował był, ot tak, dla zabawki, model kasy ogniotrwalej, z rozmaitemi sztuczkami i niespodziankami, która wprawiała w podziw najszczerzy jego mistrza.

Staruszkowie nie mogli się dość nacieszyć synem przybranym, i codzień winszowali sobie nawzajem, takiego nabytku, gdy naraz spadło na nich całkiem niespodziewanie, nieszczęście potrójne.

Atak paralityczny, ubezwładnił prawe ramię i nogę starego ślusarza, robiąc go odtąd niezdolnym do roboty. Jednocześnie, bankier, u którego składali grosz oszczędzony i zapracowany w pocie czoła, zbankrutował i uciekł za granicę z pieniędzmi klientom skradzionymi.

Przybity temi wypadkami, Simon był zmuszony sprzedać cały warsztat poniżej wartości. Czekał go cios ostatni. Jego następcą, nie pilnował roboty, rozpił się, zadłużył, i wierzyciele zabrali mu warsztat, na który był dał Simon'owi, zaledwie nieznaczny zadatek.

Wtedy sprawdziło się na nich przysłowie pełne pociechy i prawdą jaśniejące, że: — „Czyn miłosierny bywa zawsze nagrodzonym.“

Staruszkowie byli widomą opatrnością dla sieroty. Nawzajem sierota, stał się teraz ich karmicielem.

— Kochali mię, żywili... mówił w duchu — nie jestem niewdzięczny... Kocham ich, jak ojca i matkę... będę na nich pracował!...

I dotrzymał słowa.

Z poświęceniem najszczytniejszem, które w serca dobroci niezrównanej nazywał po prostu powinnością, oddał się cały na usługi staruszków.

Pracował dzień i noc prawie, odnosząc im skrupulatnie grosz zarobiony, z którego brał dla siebie zaledwie na kawałek chleba suchego, i jaki taki przyodziewek.

Mimo iż pracował niemal nad siły, jeszcze odkradał od snu po dwie, trzy godziny, aby już nie

rękami, ale głową pracować.

Jakaś siła tajemnicza i niewidzialna ciągnęła go instynktowo do sztuki tak pięknej, lecz często-króć tak niewdzięcznej i zawodnej... do mechaniki. Płomień geniuszu, który jest twórcą wielkich wynalazków, pożerał go i wprawiał niemal w gorączkę.

Jak Chénier idący pod gilotynę, szeptał uderzając się w czoło:

— A jednak... tam coś jest!

Czytał, studyował, rysował; słowem: siłą woli kształcił się sam, bez niczyjej pomocy, wytrwale, na seryo, w szczegółach najdrobniejszych; bez czego nie można być w niczem specjalistą, nie można stworzyć w żadnym kierunku coś prawdziwie znakomitego.

Takiem życiem, czystem, prawie świętem, pełnem abnegacyi i meztwa, żył lat trzy.

Stary ślusarz zgasł tymczasem, błogosławiąc syna przybranego, a Klaudya niebawem za towarzyszem tyloletnim pospieszyła.

Jan płakał nad wspólną mogiłą staruszków, jakby nad prawdziwymi rodzicami. Po raz drugi, odkąd był na świecie, zostawał sam, sam jeden.

Wielka zmiana zaszła w jego życiu, odkąd miał się li sobą zajmować, a wiemy, że byle czem się zadawał.

Kwestya zatem chleba powszedniego, tak ważna póki żywił dwoje staruszków, schodziła teraz na drugi plan.

Jan skorzystał z tej okoliczności, nie aby przestać pracować, ale aby pracować w sposób cokol-

wiek odmienny. Zostawił na boku warsztat ślusarski, to zatrudnienie, mogące mu li zapewnić chleb codzienny. Porzucił kuźnię, a wszedł jako pomocnik do pracowni mechanika. Słowem... niech nam będzie wolno użyć wyrażenia może niestosownego, ale które oddaje myśl naszą w zupełności... z rzemieślnika stał się artystą.

Jan utonął z ciałem i z duszą w nowym zawodzie, najeżonym zaporami i trudnościami prawie nie do zwalczenia. Z całym zapalem i wiarą młodocianą szedł naprzód, nieczem nie zrażony biegł pędem do celu, który mu się ukazywał w dali otoczony blaskiem uludnym.

Jego ambicya nie zadawałniala się nadzieją, iż zostanie w czasie mechanikiem pierwszorzędnym. On chciał gwałtem zostać wynalazcą, to jest: jednym z tych biednych, nieznaných wielkich ludzi, których życie zużywa się przedwcześnie w walkach upartych z losem przekornym; w walkach najczęściej bezowocnych, z rutyną i zacofaniem; jednym z owych męczenników idei, którym gieniusz krwawi czoło koroną ciernistą. Życie poświęcają, wyteżają umysł, i nie mogą zyskać wiary, nie mogą obrócić na swoją korzyść, pomysłów tak prostych, tak jasno im się przedstawiających! Gdy oni umrą, częstokroć z głodu i z nędzy, tysiące głupców z bogacą się ich kosztem, śmiejąc się z biedaków, i patrząc na nich z góry, z litościwem ramion wzruszeniem, niby na szlachetnych... szaleńców.

I Jan Vaubaron, łudził się podobnemi czarownemi majakami, które są nieodłączne od bujnej

wyobraźni poetów i wynalazców; śnił błogo o przyszłej sławie i fortunie. Niestety! najczęściej tak bywa, iż ci, którzy usypiają wśród takich marzeń rozkosznych, budzą się wśród ciemności nieprzebitych rozczarowania, rozpaczliwego zniechęcenia i... nędzy!

Musimy dodać, że młody człowiek, był jak dotąd, bardzo dalekim od podobnie smutnych wróżb, na samym początku zawodu, obranego z namiętnym zapalem.

Mechanik, u którego obecnie praktykował, człowiek rozumny i wykształcony, pokochał niemal swojego pomocnika, oddając wszelką sprawiedliwość jego pracowitości, a nawet gienialności w każdym pomysle.

Nieraz przypatrywał się z najwyższym zadowoleniem, gdy Jan coś w jakiejś maszynie uprościł i uczynił łatwiejszem do wykonania. Przepowiadał młodzieńcowi przyszłość najświetniejszą, i sam wierzył święcie w to co utrzymywał w obec Jana.

Nieraz w głębi duszy mechanik układał sobie, zabawić się powtórnie w opatrność Jana i wpłynąć stanowczo a zbawiennie na jego przyszłe losy.

Stosunkowo bardzo bogaty, myślał jednak czyby nie dobrze było przyjąć do spółki młodzieńca gienialnego, mimo, iż tenże nie miał nic, prócz pracowitości i dobrej woli.

Szedł jeszcze dalej, snując w myśli owe plany.

Jan skończył był lat dwadzieścia. On sam zaś miał córkę jedynaczkę, około lat czternastu, a która zanosila się na bardzo przystojną panienkę. Otóż!

przypuszczał nawet, iż kiedyś młodzi ludzie mogli by sobie nawzajem przypaść do serca, i on by im pozwolił, za jakie cztery, pięć lat połączyć się ślubem małżeńskim.

Być może, iż szczęście naszego bohatera zależało od ziszczenia marzeń owego mechanika. Inaczej atoli było w górze zapisano i marzenia nie miały się nigdy ziścić...

## VII.

Jan Vaubaron nie był wcale młodzieńcem wdającym się w jakiegokolwiek awanturki romansowe. Oddany z ciałem i z duszą pracy ręcznej jak i umysłowej, żył w najzupełniejszym osamotnieniu. Nie wdawał się z żadnym ze swoich hulackich i roztrzepanych towarzyszków, nie znalazł i nie zazdrościł im owych rozrywek hałaśliwych i rozpustnych, tak przez młodzież ukochanych, a słowo miłość, tak często powtarzane w piosnkach wesolych i erotycznych, przez kolegów w warsztacie, w jego sercu żadnego echa nie budziło, żadnych myśli ani pragnień namiętnych w niem nie wznicało.

Mieszkał na poddaszu w nędznej izdebce, w domku ubogim, na jednym z najskromniejszych przedmieść paryskich. W izdebce stał prosty tapczan, stół i dwa stolki drewniane, niemal od siekiery ociosane. W rogu umieścił piecyk żelazny. Służył on do ogrzania izdebki wśród mroźnych nocy, i za rodzaj małej giserni, gdy chciał co przetopić.

Porzucał do dnia izdebkę, a wracał aż późno wieczór. Jadał w bardzo lichej i taniej garkuchni,



nieopodal od warsztatu w którym pracował, i prawie nigdy się nie zdarzyło, żeby kiedy w dzień, wspinał się po sześciu piątrach na swoje poddasze.

Naprzeciw niego, przedzielona wąskim korytarem, była druga podobna izdebka, w której mieszkały dwie kobiety. Nie znał swoich sąsiadek, i nigdy z żadną z nich nie rozmawiał.

Czasem spotykał się z niemi na schodach. Zwróciły nawet jego uwagę przelotną, ubraniem, więcej niż skromnem, prawie nędznem, ale czystości niepokalanej.

Jedna z nich była siwiuteńka, z twarzą żółta jak wosk, z policzkami zapadniętymi, z oczami krwią nabiegłymi.

Druga, młoda dziewczeczka, niemal dziecko jeszcze, wzrok zachwycała twarzyczką prześliczną, bujnemi blond włosami, dużemi, czarnemi oczami, z wyrazem anielskiej czystości i łagodności, usteczkami maleńkiemi, trochę blademi, trochę smutnemi, które jednak możnaby było bardzo łatwo zaróżowić i śmiać się nauczyć. Te dwie kobiety były matką i córką.

Gdy Jan znalazł się kiedy na ich drodze, usuwał się, aby im miejsce zrobić, i oddawał im ukłon pełen uszanowania. Domyślał się instynktowo, że muszą być ofiarami jakiejś niedoli wielkiej, a niezasłużonej, którą umiały znieść ze szlachetną rezygnacją. Szedł dalej, a obraz tak matki, złamanej nie tyle latami, ile nieszczęściem, i tego dziewczątka, rozkosznie rozkwitającego, zacierał się natychmiast w jego umyśle, zajętem jak wiemy, specjalnie i wyłącznie wielkimi pomystami i przyszlami wy-

nalazkami. Zresztą... jeszcze to raz powtarzamy... Jan nie troszczył się i nie pytał o nic co się w domu działo, i tak samo jak w warsztacie, nie nawiązywał z nikim bliższych stosunków.

Dnia pewnego wrócił do domu w porze niezwykłej, około drugiej z południa, zapomniał był bowiem rano wychodząc, rysunku pewnej maszyny.

W bramie domu czekał go widok smutny i niespodziewany.

Na środku sieni ustawiono nader skromny katafalk, na którym spoczywała trumna z desek na czarno lakierowana. W głowach stała kropielnica z kropidłem, kilka świec zaledwie katafalk otaczało.

Jan umoczył kropidło i według zwyczaju we Francyi przyjętego, pokropił zwłoki wodą święconą, z cichem westchnieniem do Boga za tą duszą.

Kobieta zastępująca stróża w domu, miała swoją siedzibę w ciemnej norze pod schodami.

Jan nigdy się przed jej drzwiami nie zatrzymywał i nigdy z nią nie rozmawiał. Nie przez dumę, chroń Boże! ale z przyczyny że był wrogiem zdeklarowanym każdej chwili straconej, i słów bez celu na wiatr rzuconych.

Tym razem jednakże ulegając ciekawości mimowolnej, zatrzymał się i spytał kobietę na progu stojącą:

— Któż to wam umarł w domu?

— Jako panie Vaubaron? — uderzyła w dlonie — nie wiesz nic o tem!?

— Na prawdę!... nie wiem.

— A przecież to umarła pańska najbliższa sąsiadka!

— Jaka sąsiadka?

— Jedna z tych, które naprzeciw pana mieszkają...  
Musisz je znać doskonale...

— Przeciwnie, nie znam ich wcale.

— Rany Chrystusowe! czyż to podobna? No! zresztą pan więcej za domem niż w domu, i Bogiem a prawdą nie masz pan czasu jak to inni, latać za spodniczkami... Otóż! było ich dwie pańskie sąsiadek... stara i młoda... pani Bernard i jej córka... ładna blondyneczka...

Po raz pierwszy w życiu, Jan uczuł dziwne i głębokie wzruszenie; jakieś drganie wewnętrzne, sięgające aż na dno serca.

— Boże miłosierny! — bąknął tak zmieszany i zaniepokojony, iż sam tego pojąć nie mógł, a więc i ukryć nie potrafił. — Boże mój!... córka zatem umarła?...

Głos mu ustrzął w gardle.

— Kto taki, kto? — dokończyła baba. — Ależ nie córka umarła, panie Vaubaron, tylko matka... chociaż to na jedno wychodzi dla tego biedactwa!... bo powiedz mi pan tylko, co ona teraz pocnie, taka młoda i samiuteńka jak palec na bożym świecie.

Młodzieniec nie już na to nie odpowiedział. Skinął szybko głową, dziękując staruszce za dane mu objaśnienie i pobiegł na swoje poddasze, przeskakując po dwa schody na raz.

Przechodząc koło drzwi naprzeciw swojej izdebki, usłyszał przez deski cienkie i zaledwie zbite, głuche

łkanie, które go bolem przeszło. To młoda dziewczyna jasnowłosa, płakała po stracie matki.

To biedne dziecko było mu zupełnie obce, prawie nieznanie. Nie miał zatem prawa mieszać się do jej życia, wtrącać się w jej boleść, nieść jej słowa pociechy...

— Sama na świecie!... sierota jak ja!... mówił w duchu — ale stokroć nieszczęśliwsza... nie znając bowiem matki, nie mogłem jej żałować...

Serce mu się ścisnęło. Chwycił rysunek po który przyszedł na górę i wrócił nazad do warsztatu.

Przez resztę dnia był dziwnie smutny, roztargniony i przybity. Zdawało mu się, przez jakąś szczególną halucynację, że echo lkań sieroty, na pół stłumionych, aż tu go dochodzi.

Gdy wracał późnym wieczorem, przyłożył ucho do drzwi, przez które wyniesiono umarłą. Cisza grobowa panowała w izdebce.

Młoda dziewczyna spała zapewne wycieńczona i znużona.

— Sen ją pokrzepi i pomoże siły odzyskać — Jan pomyślał.

I jemu lżej się na sercu zrobiło.

Jak zwyczajnie zapalił lampę, usiadł przy małym stoliku, porozkładał przed sobą dzieła o mechanice, papier i ołówek, i spróbował pracować ale nadaremnie. Myśli rozbijały się po głowie chaotycznie, oczy wlepił bezmyślnie i z roztargnieniem niesłychanem w figury geometryczne w książce wyrysowane.

Zrozumiał nareszcie, iż pracować w tej chwili

nie potrafił rzucić się więc na łóżko i usnąć usiłował. I tego nie mógł dokazać. Myśl jedyna, mózg świdrująca, usnąć mu niedozwoliła. Zdawało mu się że widzi ciągle w ciemnościach go otaczających dziewczę jasnowłose, blade i złamane, podobne zupełnie do posągu boleści.

Noc całą w ten sposób przepędził, a noc ta wydała mu się wiecznością. Gdy nareszcie wybiła godzina, w której udawał się zwykle do warsztatu, Jan wstał znużony zupełną bezsennością.

Cóż się działo w tej duszy? jakie uczucie nowe, potęgi niezrównanej, zawładło nią tak zwyczajko i sprawiało w niej przewrót tak niezwykły.

Gdyby się Jana wprost spytano, byłby zapewne odpowiedział, że litość to sprawiła. My jednak bardziej pod tym względem doświadczeni, możemy zapewnić śmiało, że tem czemś tajemniczem i nieokreślonem była miłość po prostu; miłość o tyle niebezpieczna, o ile była dotąd nieświadoma. Młody mechanik nie domyślając się niczego, nie próbował nawet z nią walczyć, co byłby może wiedząc uczynił, powiedziaławszy sam sobie:

— Jestem za ubogi, abym miał prawo być zakochanym.

Tak minął tydzień.

Dnia ósmego Jan wracał do domu wcześniejsz niż zazwyczaj. Stróżka zatrzymała go na schodach.

— Panie Vaubaron! — spytała — czyś nie widział przypadkiem temi dniami twojej sąsiadki?

— Nie — odpowiedział zaniepokojony.

— A wiesz pan, że z nią może być źle!

— Dla czego?

— Wyobraź pan sobie, że od dnia pogrzebu dwa razy tylko wyszła z domu. Jak i czem żyje, skoro nie kupuje do jedzenia? Rozumiesz to pan?... bo ja nie! Wczoraj poszłam ją odwiedzić, Musiałam bić we drzwi z pięć minut, zanim mi nareszcie otworzyła... Była całkiem biała... nieprzy-  
mierzając jak dyzenter z katafalka.... Miała taką minę, jakby zaraz upaść miała. Mówię zatem do niej: — Pannusiu! panno Marto! może ci czego potrzeba? Przyszłam się dowiedzieć i chętnie się postaram o wszystko. — Odpowiedziała bardzo grzecznie, że mi bardzo a bardzo dziękuje, nie potrzebuję przecież niczego... i prędko drzwi mi przed nosem zamknęła... Dziś znowu wyszła... Niosła jakiś koszyk pod szalem... Szła wolno, wolniuteńko, że aż mi się serce krajało! Wyglądała przytem jak istny upiór!... Zaraz sobie powiedziałam: — Temu biedactwu coś strasznie do głowy przystąpiło!

— Myślicie zatem Tomaszowo, że jest chora niebezpiecznie?

— Nie wiem czy jest chora, ale co innego zajęchało mi furą siana do głowy: oto ona chce sobie po prostu śmierć zrobić!

Mechanik drgnął i brwi mu się ściągnęły ponuro. Myśl sama o zamiarze tak rozpaczliwym, uderzyła go niby nożem w serce.

— Jakże by temu przeszkodzić? — bąknął.

— Na pańskim miejscu, starałabym się nawiązać znajomość z panną Martą Bernard... Między ta-

kimi jak wy młodymi, łatwo przecież o znajomość... i jakoś bym jej to wyperswadowała... Żal widzi pan i samotność, niszczą i w grób wtrącają to biedactwo... Zrobisz to panie Vaubaron?

— Spróbuję przynajmniej!... — Jan odpowiedział, idąc z wolna na swoje poddasze.

Po drodze szeptał zrozpaczony:

— Radbym z duszy poznać się z tą panią... rozproszyc jej smutne myśli... może nawet wyrwać ją ze szponów śmierci przedwczesnej... tak, tak... radbym szczerze, ale jak się wziąć do tego?...

I jakoś nie mógł się na nie zdecydować, nie mógł rozstrzygnąć tej kwestyi drażliwej.

Schody oświetlano tylko do dziesiątej wieczór... teraz było już po jedynastej, i ciemności panowały egipskie. Jan znał jednak schody bardzo dobrze, aby nie trafić do swoich drzwi i po omacku.

Machinalnie, z przyzwyczajenia, wcale stopni nie rachując, zatrzymał się na setnym pięćdziesiątym. Stał przed swoimi drzwiami. Wyjął klucz z kieszeni chcąc w zamek włożyć.

W chwili gdy drzwi miał otwierać, szmer niezwykły uderzył słuch młodego człowieka. Dreszcz śmiertelna nim wstrząsnęła; odstąpił od swoich drzwi, przeszedł na drugą stronę korytarza i ucho przyłożył do drzwi swojej sąsiadki.

Szmer zasłyszany był co prawda wielce niepokojący. Niby echo ciężkiego stękania, a raczej charczenia, jakby już w chwili przed zgonem. Jan mógł się jednak omylić, mając tak podnieconą wyobraźnię.

Tak sądził z razu, przyłożywszy bowiem ucho

do dziurki w zamku, slyszal li uderzenia gwałtowne serca własnego.

Miał już wrócić do siebie, gdy w tem odezwał się ten sam jęk, czy charczenie bolesne i przerażające.

Teraz nie wątpił dłużej... To nie było ani lkanie, ani skarga bolesna, ani modlitwa błagalna duszy uciśnionej, co go uderzyło.... Tylko agonja tak się odzywa!

Jan, jak wiemy, był silny i pełen energii, tak fizycznie jak i moralnie. A jednak osłabł na razie, o mało nie zemdlął i nie padł na wznak od straszego wrażenia, gdy miał jakby objawienie, prawie dowód namacalny, że o kilka kroków od niego, Marta Bernard kona!

To zresztą ubezwładnienie sił duszy, jak i ciała, trwało zaledwie kilka sekund.

Młodzieniec oprzytomniał, wyprostował się pełen energii i woli niezłomnej do działania:

— Uratuje... na Boga się klę!... muszę ją uratować!

I nie zastanawiając się ani chwili, jak jego czyn byłby niestosownym w razie pomyłki, nie wołając nikogo na pomoc, i nie robiąc na razie hałasu, cofnął się o kilka kroków, a potem puścił się pędem i o drzwi uderzył z całej siły.

Drzwi na pół zmorszałe, nie wytrzymały ataku.

Od pierwszego razu deski zatrzeszczały, zamek pękł, zawiasy się oderwały, i drzwi zwały się do środka.



Jan chciał natychmiast wpaść do izdebki ale odurzony, musiał do progu wstecz się cofnąć...

### VIII.

Mimo całego zapалу i chęci poświęcenia siebie, byle Martę uratować, młody człowiek został odepchnięty falą zabijającą gazu węglowego, który napelnił korytarz, skoro drzwi zwałił do środka. Odetchnąć tem powietrzem zatrutem, groziłoby śmiercią prawie pewną... Mimowoli zatem Jan się zatrzymał...

Jeden rzut oka wystarczył zresztą aby rozwiązać straszną zagadkę. Stos węgla dogasał w żelaznej fajerce, oświetlając ponuro nędzną izdebkę płomykami niebieskawemi, które migotały po nad żarem.

Okienko jedyne, było starannie zamknięte. Młoda dziewczeczka tak była przezorną, że nawet brzegami okleiła je szarym papierem, żeby przez szpary nie ulotniła się część gazu.

Potem rzuciła się na łóżko, w stroju kirowym, z rękami na piersiach złożonemi, z wzrokiem w górę wzniesionym, do nieba, gdzie się chciała z matką połączyć. I tak na śmierć czekała.

Śmierć posłuszna byłaby ją niebawem zabrała, gdyby jęki głuche zaczynającej się agonii, nie były Jana uderzyły. Już Marta znaku życia nie dawała. Usta były nieme i sine; oczy stały w słup; serce bić przestało.

Krótką chwilą wystarczyła, aby część przynajmniej gazu trującego rozeszła się po korytarzu,

Jan z tego natychmiast skorzystał. Nie dbając o to, czy sobie ręk nie pokaleczy, wytłukł pięścią kilka szyb. Za długoby było trwało okno otwierac. Potem porwał w ramiona ciało bezwładne młodej dziewczeczki, zaniósł do własnej izdebki, złożył na własnym łóżku, i nawet lampy nie zapaliwszy, wybiegł na schody, przechylił się przez poręcz, i zaczął wołać z całej siły:

— Ratunku! ratunku!... kobieta umiera!...

Wołanie, rozlegające się niby grzmot po całym domu, było już niemal zbyt ciche. Wszyscy lokatorowie, usłyszeli przedtem łoskot drzwi wywalonych i brzęk szkła stłuczonego; kilku z nich, w nocnym nieładzie, za ledwie cośkolwiek na siebie zarzucawszy, szli właśnie na górę, aby się dowiedzieć, skąd te hałasy piekielne w domu tak zwykle spokojnym?

Wkrótce kilkanaście osób, z Tomaszową na czele, zgromadziło się w izdebce Jana.

Wtedy, jak zwykle w podobnych wypadkach, zamiast zająć się ratowaniem konającej, jeden przez drugiego obsypywał Jana pytaniami, co się to stało takiego?

Ten nie odpowiadał nikomu. Powtarzał tylko tonem najwyższej rozpacz:

— Umiera!... Wszak widzicie że ginie marnie!... Ratujcie ją!... Ratujcie!...

Nareszcie myśl rozsądna strzeliła do głowy Tomaszowej.

— Najlepiejby było sprowadzić doktora!

— Skąd? — Jan spytał głucho, bliski szaleństwa.

— Jest jeden na naszej ulicy... tuż blisko... trzeci dom na prawo... Jego nazwisko przybite przy drzwiach, na blasze mosiężnej..

Młody człowiek już tego nie słyszał... Leciał jak strzala po schodach.

Zjawił się za chwilę krótką, prawie nie do pojęcia! Lekarza wyrwał z łóżka gwałtownie, dając mu tyle czasu zaledwie, żeby mógł cokolwiek wciągnąć na siebie.

Lekarz zrazu oświadczył, iż casus jest nader niebezpieczny, i w obec prawie zupełnego uduszenia gazem, za nic nie odpowiada. Dodał iż przede wszystkim trzeba młodej dziewczynie powietrza, jak najwięcej powietrza! otworzył okno i wszystkich za drzwi wyprosił. Zostawił tylko Jana i Tomaszowę, która okazała wielką i serdeczną gotowość, pilnowania chorej przez resztę nocy. Czy do tego poświęcenia nie łączyło się i trochę ciekawości? nie śmielibyśmy zaręczyć...

Teraz przystąpiono z całą energią do ratowania na pół umarłej. Powodzenie było zupełne, i skutek okazał się rychlej, niż sam lekarz przewidywał.

W godzinę niespełna, dziewczynka westchnęła głęboko i podniosła zwolna powieki ociężałe. Jan, który miał ją już za umarłą, nie mógł się wstrzymać od okrzyku radośnego.

Marta usiadła na łóżku, wodząc w koło wzrokiem błędnym i wystraszonym. Oczy jej zatrzymały się z niepokojem na lekarzu, którego nigdy w życiu nie widziała, i na Janie, którego na razie poznać nie mogła. Umysł jej pracował teraz niesłychanie.

Chciała umrzeć; przeszła wszelkie trwogi i rozpacz agonii; po nich nastąpiło zupełne ubezwładnienie; teraz zaś, gdy życie na chwilę zastanowione na nowo wracało, dla niej było to nie ze snu przebudzeniem, ale jakby zmartwychwstaniem!

— Jest li to życie — pytała sama siebie — w takim razie, gdzież to ja jestem?... Jeżeli to śmierć, dla czegoż matka mi się nie pokaże i nie przyjdzie mnie do łona przycisnąć?...

Te kwestye nie do rozwiązania, te dziwne zagadki i zawikłania mieszały do reszty zmysły dziecka biednego. Czula że ją przytomność opuszcza; twarzyczkę ukryła w obu dłoniach i wybuchła płaczem spazmatycznym.

— Czekałem tylko na tę kryzys najskuteczniejszą... — lekarz szepnął na ucho Janowi. — W podobnych wypadkach, lzy są lekarstwem najzbawieniejszem!... Niebezpieczeństwo już nie istnieje!...

Jan uradowany temi słowami staruszka, porwał jego rękę i namiętnie do ust przycisnął z nadmiaru wdzięczności.

Lekarz uśmiechnął się dobrodusznie:

— Jak pan ją kochasz! — rzekł zeicha.

— Ja! — wybelkotał zmieszany i zaniepokojony. — Ależ ja ją znam zaledwie...

Staruszek nic na to nie odpowiedział.

Potrząsł li głową z widocznem niedowierzaniem, i odszedł, zapowiadając się z wizytą nazajutrz.

— Nie mogę przecie nocować w tym samym pokoju — Jan rzekł do Tomaszowej — to nie wypada!... Bądź tak dobrą, moja kobieto, pilnuj tej

biedaczki... Ja powrócę, skoro dzień zaświta...

— A gdzież pan się tymczasem podzieje? gdzie pan spać będziesz? — spytała zafrasowana.

— Eh! — machnął ręką — o to się już nie turbujcie!... Gdzieś się przecie ulokuję!... i wyszedł.

Nie poszedł daleko.

Drzwi za sobą zamknąwszy usiadł na stopniu najwyższym, plecami oparł się o mur, łokciami o kolana, głowę spuścił na dłonie i tak nie przespał wprawdzie, ale przedumał do rana.

Przez ten cały czas długi rozbierał w myśli słowa lekarza: Jak pan ją kochasz!... Te trzy krótkie słówka były dla niego niby objawieniem; rozjaśniły ciemności, w których umysł jego błądził, wydały nagle ukrytą na dnie jego serca tajemnicę.

— Ha! Bogiem a prawdą! — powiedział sam sobie. — To rzecz pewna... że ja ją kocham nad wszystko!

Skoro to wyznanie wybiegło mu z serca na usta, czuł jak gorączka ustępuje, która go przez tydzień mordowała, jak znika pożerający go temi dniami niepokój, a dzięki szczęśliwemu usposobieniu pierwszej młodości, która ma przywilej w nie nigdy nie wątpić a wszystkiego najlepszego spodziewać się, zapomniał z kretesem o smutnych przepowiedniach przy samym początku tej budzącej się miłości, która mu się tak nagle objawiła, a zaczął natychmiast budować zamki na lodzie, snuć plany przyszłego ich szczęścia domowego.

Z pierwszym dnia brzaskiem zapukał do drzwi swojej izdebki z sercem radością przepelnionem:

— I cóż? — spytał stróżową, która drzwi odchyliła cichutko.

— Ma się nie źle, odpowiedziała poczciwa kobieta. — W tej chwili spi smacznie... Mówmy cicho żeby jej nie obudzić... Dużo rozmawialiśmy obie w nocy... Biedna panusia, przyznała mi się, że chciała sobie śmierć zrobić z wielkiego żalu, że tak sama jak palec, a także i dla tego, bo wie jak to na tym świecie trudno dziewczynie młodej a uczeiwej zapracować na chleba kawałek... choćby jej ręce z pracy poodpadały... Perswadowałam jak mogłam że nie trzeba nigdy tak bardzo sobie do głowy przypuszczać, że kogo pan Bóg stworzy, tego nie umorzy i częsta znajdzie się na swojej drodze przyjaciół, gdy się najmniej na nich liczy... Koniec końców, wspomniałam i o panu... Wie iż panu tylko życie zawdzięcza...

Marta obudziła się tymczasem i usłyszała słowa ostatnie.

— Tak jest panie, wiem o tem — przemówiła głosem drżącym z osłabienia — lękam się jednak czyś mnie pan nie obdarował życiem na moją większą tylko niedolę i troski... Nie mniej atoli dziękuję panu z głębi serca, bo pojmuję jak wielki grzech z rozpaczy popełniłam, rozporządzając samowolnie tem co nie było moją własnością. Teraz to rozumiem doskonale, skoro minęła szalona ekscytacja, która mnie do tej zbrodni popchnęła. Odtąd nie braknie mi odwagi do walki z losem. Będę szła dalej i dalej po drodze życia ciernistej, póki mi sił stanie, i będę cierpliwie czekała bez skargi i wy-

rzekania, kiedy Bogu będzie się podobało połączyć mnie z moją matką najukochańszą... Podaj mi rękę panie Vaubaron... Potrzebuję uścisnąć dłoń człowieka uczciwego, dłoń prawdziwego przyjaciela, którego mi niebo same zesłało!...

Śluchając tych słów wypowiedzianych słodko i łagodnie przez Martę, Jan musiał użyć całej siły, aby się wstrzymać chwilowo i nie paść przed nią, jak przed świętą na kolana! nie powiedzieć jej od razu, że ją ubóstwia!

Wziął tę rączkę delikatną w swoją dłoń grubą i spracowaną, zaledwie prawie śmiał się jej dotknąć i przycisnąć do ust gorących.

Rad by był co odpowiedzieć, zapewnić ją o swoim uwielbieniu i poświęceniu bez granic, siłił się jednak nadaremnie. Usta się poruszały, głos jednak nie mógł się wydobyć z piersi ścięśnionej i bez tchu niemal.

Taki stan rzeczy (myślmy o wzajemnym stosunku dwojga młodych ludzi) musiał się zmienić radykalnie i to bardzo rychło.

Marta Bernard nie mogła żyć dłużej w strasznej i rozpaczliwym osamotnieniu, w jakim została była po śmierci matki; z drugiej strony nie wolno jej było pod grozą utraty czci i sławy, z bezwstydem prawie, oddać się w opiekę człowiekowi tak młodemu, jak Jan Vaubaron. Choćby ich stosunki były najbardziej braterskie, nie zabrakłoby złośliwych uwag i komentarzy posądzeń uwłaczających ze strony ogółu lokatorów, z tego olbrzymiego ula, napelnionego żądłami jadowitemi owadów, którzy się ludźmi

nazywają. W każdym domu paryskim nie braknie takich, którzy mają sobie niemal za powinność szarpać dobrą sławę bliźnich.

Pewny instykt zachowawczy, mimo że w ducha czystości i niewinności nawet nie rozumiała czem jest grzech właściwie, budził w Marcie skrupuły i ostrzegał przed zbyt wielką poufałością i zbliżaniem się do Jana. Jan jeszcze lepiej to rozumiał, trzymał się też jak najdalej, najlżejszy cień bowiem, padający na dobrą sławę dziewczątka, wydałby mu się był nieszczęściem nie do naprawienia.

Kochał on Martę Bernard miłością o tyle wzniosłą i czystą, o ile była namiętną i wyjątkową. Nie miał innego celu, innego pragnienia, nadziei rozkoszniejszej, jak zrobić z Marty życia towarzyszkę, jak podzielić z nią wiernie wszystkie radości a oszczędzać jej ile możności trosk i bólów, które tak często się zdarzają na tym łożu padole.

Marta nie miała jeszcze lat szesnastu; Vaubaron tylko co skończył był rok dwudziesty. Mimo ich tak wielkiej młodości, mimo zupełnego sieroctwa i ubóstwa Marty, mimo, że właściwie i on dotąd nie miał zapewnionego i wyrobionego stanowiska, małżeństwo go nie przestraszało.

— Wystarczyłem przecie, gdy miałem do wyżywienia moich przybranych rodziców — powtarzał w duchu. — Dziś mam tę samą odwagę a więcej sił do pracy i więcej umiem i rozumiem niż wtedy... mogę zatem wziąć śmiało na moje barki ciężar małżeństwa i nie ugjąć się pod nim.

W miesiąc niespełna po nieudalém samobójstwie



biednego dziewczątka, młody mechanik zebrał całą odwagę i udał się do Marty z sercem bijącym na alarm, mówiąc z prostotą rzewną te słowa:

— Oboje jesteśmy osieroceni, oboje ubodzy, sami, opuszczeni jak świat szeroki... Chcesz najdroższa moja, żebyśmy odtąd byli jedno drugiemu całym światem?... Chcesz mi być towarzyszką... żoną na dołę i niedołę?

— Chcę!... — Marta odpowiedziała, kładąc drżącą rączkę na dłoni Vaubaron'a — i wiem, że moja matka, jeżeli na nas patrzy, jeżeli nas słyszy z góry, musi być pocieszona, najszczęśliwsza i błogosławi z Nieba swoim dziatkom!...

## IX.

Raz zdecydowawszy się na małżeństwo, nie nie zostawało naszej parze rozkochanej, jak połączyć się czempredzej przed ołtarzem. Żadna zresztą zaporą nie przeszkadzała im do tego. Sieroty, tak jedno jak i drugie, nie potrzebowali starać się o niczyje pozwolenie. Wystarczało wobec prawa złożenie w me-rostwie z ich metrykami jednocześnie aktu pośmier-tnego obojga rodziców.

Jan zajął się zebraniem potrzebnych papierów i dokumentów z gorliwością, świadcząca najwymowniej, jak niecierpliwą jest jego miłość.

Zdawało mu się, iż błogosławiony dzień ślubu nigdy dość prędko nadejść nie może.

I Marta pod pewnym względem podzielała tę niecierpliwość. Czuła się tak serdecznie kochaną, tyle miała nawzajem dla swego narzeczonego wdzię-

czności i miłości, że radaby była każdej chwili zostać jego żoną, i wierzyła święcie w przyszłość najszczęśliwszą. A jednak, rzecz dziwna; nie opuszczała jej melancholja niepozbyta, nie do przewyciężenia. Za mało czasu upłynęło od śmierci matki; rana głęboka dotąd nie była się zablizniła. Jeżeli chwilami, gdy Marta rozmawiała z narzeczonym, uśmiech błogi zaigrał na jej białych usteczkach, znikał szybko, a natomiast łzy rzewne i rześiste wytryskały z jej czarnych, smutnych źrenic.

Z tego, o czem wspomnieliśmy w poprzednich rozdziałach, nasi czytelnicy z łatwością zrozumieli, że młody mechanik, żyjący z dnia na dzień, i studjujący z takim zapalem sztukę dla sztuki, nie dla zarobku, nie mógł wiele na bok odkładać. Nieślychanie obojętny na wszelkie używania i rozkosze zmysłowe, i pod tym względem nic prawie nie wydając, dużo jednak obracał z grosza zarobionego na książki naukowe i kosztowne instrumenta.

Gdy raz postanowił się ożenić, wszystko się zmieniło. To co dla siebie uważał za zupełnie dostateczne, wydało mu się nędznem, nawet wprost niemożliwem dla jego Marty ukochanej.

Ani chciał słyszeć o tem, żeby mieli zostać nadal na poddaszu, w izdebce ciasnej i ponurej, z tapczanem, stołem i dwoma stólkami za całe umeblowanie. Postanowił wynająć w tym samym domu, tylko niżej, mieszkańko obszerniejsze i stosowniejsze.

Tomaszowa wielce mu ten zamiar pochwaliła. Pokazała mu zaraz na czwartem piątrze: — „Istne cacko“ (jak się wyrażała). Dwa pokoiki z ku-

chenką. Pokoje od ulicy, oklejone obiciem taniem, ale gustownem i wesołem.

Młody człowiek uradowany, zapłacił z góry za pół roku, ani chwili się nie namyślając. Przytem polecił stróżce jak najusilniej, żeby to zachowała aż do dnia ich ślubu w tajemnicy, rad był bowiem zrobić tem Marcie miłą niespodziankę, wprowadzając ją nagle do skromnego, ale miłego gniazdka, dla niej z miłością usłanego.

Jeszcze zostawała nierozstrzygniętą kwestya umeblowania, kwestya ważna, bo wymagająca pewnej sumki, a Jan nie miał już ani grosza przy duszy.

Postanowił więc pójść za przykładem kolegów i po raz pierwszy prosić swego pryncypała o zaliczkę. Z wielką mu to jednak przyszło trudnością, mimo iż codziennie o coś podobnego udawano się do właściciela warsztatu. Jan był wogóle za dumny do prośby jakiegokolwiek, a nawet trochę dziki pod tym względem.

Musimy dodać, iż nie zdarzyło się przecież, żeby czeladnik porządny i pracowity nie otrzymał kiedykolwiek podobnej zaliczki.

Chcąc skończyć jak najprędzej i załatwić sprawę tak mu nie miłą, młody człowiek wszedł dnia pewnego do gabinetu właściciela warsztatu.

— Panie!... — zaczął się jąkać, mniąc i obracając czapkę w rękach — byleś zawsze tak łaskaw... tak dobry dla mnie... że... czuję się w obowiązku... uprzedzić pana... powiedzieć mu... o moim ślubie...

Mechanik drgnął, a jego twarz wyrażała naj-

wyższe zdumienie. Czoło zmarszczył niemal gniewnie. Wiemy już, że snuł w głowie pewne plany, iż chciał się zabawić w Opatrzność co do Jana przyszłości. Słowa młodego człowieka wywracały do góry nogami plany i projekta, do których mechanik był się już całą duszą przywiązał.

— Pan się żenisz!... — powtórzył, jakby nie wierzył własnym uszom, jakby nie mógł przypuścić podobnego szaleństwa.

— Tak panie...

— Ależ to być nie może!... pan drwiesz chyba ze mnie!

— Mówię całkiem na seryo...

— W twoim wieku?!...

— Wiek nic nie ma do tego... Skończyłem lat dwadzieścia; miałem zaś lat piętnaście, gdy pracowałem sam jeden, na utrzymanie siebie i dwojga starców, moich przybranych rodziców...

— Wiem żeś chłopiec odważny i najporządniejszy w świecie; ale do stu kaduków! któż bo się żeni w latach dwudziestu?!...

— Żenią się... czemu nie... skoro prawo na to pozwala...

— Kobieta, którą chcesz poślubić, dałbym szyję, że starsza od ciebie...

— Żeby było, panie, bo byś przegrał zakład... moja narzeczona nie ma jeszcze lat szesnastu...

— Czy ma przynajmniej majątnych rodziców?...

— Sierota, tak samo jak ja...

— Ma zatem w ręku swój majątek?...

— Niema ani grosza...

Właściciel spojrział na Jana osłupiały, prawie rozjuszony. Czytało się w jego oczach, że patrzy na niego, jak na skończonego waryata.

— Ani grosza?!... i ty ją chcesz poślubić?... —  
wybuchnął gwałtownie.

— Tak panie...

— Ale dla czegoż? dla czego, pytam?!...

— Bo ją kocham...

— To nie jest żaden powód!...

— O! jest panie, i nawet powód najsluszniejszy!...

— Zastanów się tylko, pomyśl nad tem, mój młody przyjacielu! — właściciel wpadł w ton łagodnej, ojcowskiej niemal perswazyi — Kamień młyński, wiążesz sobie do szyi!... chcesz się unieszczęśliwić na resztę życia!...

Młodzieniec potrząsnął głową energicznie:

— Spodziewam się wręcz przeciwnie, że moja żona szczęście mi zapewni...

— Nic dotąd nie złożyłeś... Twoja żona posiada drugie tyle!... Na prawdę... łączą się... głód z pragnieniem!

— Mam dwie ręce... moją zdatność i odwagę...  
Z tem nie zna się ni głodu, ni pragnienia...

— Dzieci zaczną się sypać...

— Będą nam najpożądańsze!...

— Z niemi wejdzie pod wasz dach nędza...

— Biorę na siebie przepędzić ją na cztery wiatry!... Zresztą... będzie co Bóg da!...

— Więc to już nieodwołalne?...

— Rzecz naturalna!... Wyszły nasze zapowiedzi...  
za dwa tygodnie ślub.

— Taak?!... więc pan nie przyszedłeś zasięgnąć mojej rady?

— Nie panie... Chciałem po prostu uprzedzić pana o tem.

— W takim razie — właściciel nie ukrywał wcale gniewu i najwyższego rozdrażnienia. — Szkoda każdego słowa!... Top się pan, skoro tak ci się podoba!... Skujcie się nawzajem łańcuchami nędzy i głodu!... To twoja rzecz!... ja się do tego nie mieszam... skoro temu nie mogę zapobiedz!...

— Mógł byś pan w każdym razie poratować mnie — Jan kończył z sercem gwałtownie bijącym — i nawet bardzo na pańską pomoc liczyłem.

— Na moją pomoc?... i w czemże, jeżeli wolno wiedzieć?...

— Stał byś się pan naszym dobrodziejem, naszą Opatrznością!...

— Dalej! dalej!... proszę kończyć!... — właściciel mówił tonem szorstkim, zapowiadającym odmowę, z góry postanowioną.

— Oto prosiłbym o małą zaliczkę... Potrzebuję trochę pieniędzy, aby umeblować jako tako mieszkanie, które właśnie nająłem i do którego chcę wprowadzić po ślubie moją młodą żonczkę.

Właściciel słysząc tę prośbę wypowiedzianą tak po prostu i z taką rozczulającą naiwnością, uśmiechnął się zjadliwie:

— Ejże? strzepnął palcami. — Liczyłeś pan zatem na mnie, iż pomogę ci umeblować apartament dla przyszłej pani Vaubaron?

— Tak panie...

— Toś się pan grubo przeliczył!...

Jan rzucił się jakby pod silnem uderzeniem.

— Jakto, panie pryncypale?!... Nie będziesz łaskaw mnie poratować bodaj sumką najmniejszą?...

— Ani mi się śni!

— To jednak, o co błagam, otrzymywał nie raz i nie dwa każdy z moich kolegów w warsztacie...

— Szczerą prawdą... dziś atoli nie myślę przyczyniać się i zachęcać niejako przez rodzaj współnictwa, do czynu, który uważam za istne szaleństwo!... Nie jestem zresztą na tyle bogatym, żeby dawać moje pieniądze na przepadłe!

— Na przepadłe?! — powtórzył Jan z oburzeniem niesłychanem. — Pan nie masz prawa w ten sposób do mnie przemawiać!... Wiesz pan żem dobry robotnik i człowiek najuczciwszy!...

— Wiem o tem wszystkim doskonale, ale wiem i to, że skoro się ożenisz, będziesz wystawiony co dzień i co godzina na coraz nowe potrzeby i kłopoty, na które nie wystarczy twój zarobek, choćbyś dzień i noc pracował... Jakże byś mógł w podobnem położeniu, jeżeli nigdy jeden grosz drugiego nie dogoni, odrobić moje pieniądze?

Jan był dumny i ambitny. Mimo, iż dotąd zajmował tak podrzędne stanowisko, znał się na wszelkich odcieniach obejścia delikatnego.

Uczuł się więc dotkniętym do żywego szorstką odpowiedzią pryncypała i nie myślał dłużej nalegać.

— Cheiej mi pan wierzyć — rzekł ze sztywnością mimowolną i może trochę za ostro — że pierwszy żałuję niesłychanie kroku, którego następstw niemi-

łych nie mogłem naprzód przewidzieć. Sam sobie jakoś poradzę.

— Życzę panu, choć się nie bardzo tego spodziewam — odpowiedział pryncypał ironicznie — powiem nawet po prostu, że jestem pewny rezultatu wręcz przeciwnego.

Młody człowiek skłonił się lekko i wyszedł z głową do góry, z miną gęstą, ale z sercem ściśniętem i do głębi zranionem.

Jakież upokorzenia i bole miała mu przynieść przyszłość, skoro ten człowiek, którego uważał dotąd za bardzo dobrego i jemu szczerze życzliwego, nie chciał się robić w s p ó l n i k i e m owego małżeństwa? Widocznie zapatrywał się na ten związek nie tylko jak na proste szaleństwo, ale w dodatku, jak na coś niebezpiecznego i niemal występnego.

To zresztą nie mogło w niczem zachwiać jego przedsięwzięcia. Nie wstrzymało go nawet od umeblowania mieszkania, którem zamierzał zrobić swojej żoneczce miłą niespodziankę.

Udał się zatem do żyda tandeciarza na tej samej ulicy, który zdecydował się sprzedać mu meble potrzebne o dwadzieścia pięć procent drożej niż ich wartość rzeczywista, ale nie żądając na razie gotówki. Od niego zatem wziął to, bez czego nie może się obejść, choćby dom najuboższy.

Niestety! Jan oddał się na pastwę jednemu z kół owej maszyny piekielnej i niczem nienasyconej, która się d ł u g i e m nazywa, i która rzadko, prawie nigdy nie zadawalnia się tem jednym ramieniem swojej ofiary, wtedy dopiero wypuszczając ją ze



swoich szponów, gdy ją zmiążdży do szcztetu!...

Związek Jana z Martą był zresztą zawarty pod wróżbami najsmutniejszych. Młody mechanik, nie mając żadnych przyjaciół, musiał udać się do ludzi zupełnie obcych, zaledwie mu znanych, prosząc ich na świadków ze strony jego i jego przyszłej małżonki. To uczyniło dziwnie lodowatym ślub w merostwie. I ślub kościelny nie był o wiele weselszym. Trzeba jednak było tych obcych ludzi zaprosić bodaj na skromne śniadanko w pomieszkaniu nowożeńców, aby im tem choć w części wynagrodzić rodzaj trudu, którego podjęli się z grzeczności.

Tego samego wieczora Jan dostał list od swojego pryncypała, w którym ten ulegając nikczemnej chęci zemścić się za urazę urojoną, zapowiadał mu w krótkich słowach, że nie ma dla niego roboty, życzy mu zatem, aby się starał o miejsce w innym warsztacie.

Był to dla Jana cios okropny!... Młode małżeństwo mogło nie mieć na kawałek chleba nazajutrz po ślubie, jeżeliby Jan nie znalazł na razie roboty.

Dzięki Bogu! tak źle nie było... Młody człowiek, nie tracąc odwagi, postarał się natychmiast o miejsce w innym warsztacie, i jego zabiegi nie były bezskutecznymi. Wkrótce nowy jego pryncypał zaczął go cenić wysoko, tak, jak na to zasługiwał.

Wtedy, mimo braków rozmaitych, możnaby nawet powiedzieć mimo nędzy, Jan i Marta czuli się najszczęśliwsi; patrzyli w przyszłość przez pryzmat miłości wzajemnej; życie wydawało im się piękne i promieniste, mieli bowiem oboje raj w sercu!...

## X.

W rok niespełna po ślubie, Blanka na świat przyszła. To dzieciątko zdwoiło wprawdzie szczęście młodych małżonków, ale odtąd zdwoiły się również ich troski i niedostatek.

Musimy wytłumaczyć kilku słowami ten niedostatek naszym czytelnikom, bo cały świat wie przecież, iż zarobek biegłego mechanika powinien być aż nadto wystarczać na skromne utrzymanie tak dą-  
tąd nielicznej rodziny.

Aby sobie z tego zdać sprawę dokładną, nie zapominałmy o długi zaciągniętym przez Jana u żyda tandeciarza. Ten dług drobny zrazu, grał u tych biedaków rolę Skąły Sisyfa! Jan nieszczęśliwy nie był w stanie zapłacić długu na pierwszym terminie. Spadał on mu teraz na głowę co kwartału, mnożąc się w nieskończoność procentami od procentów. Dość na tem, iż po roku z drobnostki urosła suma weale pokaźna.

Lichwa, którą mu wydzierał co miesiąca Samuel Hirsch (tak się nazywał tandeciarz), pożerała większą połowę zarobku biednego rzemieślnika.

Młody człowiek zresztą nie poświęcał czasu całego robotom płatnym przez jego obecnego pryncypała... Nie na świecie nie wstrzyma wynalazcę i najuboższego, od wędrówki po tej drodze ciernistej, najęzonej przeszkodami, prawie nie do przewalczenia, i rozczarowaniem bolesnem na każdym kroku; po tej drodze, która prowadzi go najczęściej w otchłań nędzy najstraszliwszej. Jan, dla siebie niczego

nie potrzebujący, był spragniony wielkiego majątku dla żony i dla swojej córeczki. Otóż, pełen wiary w swoje pomysły gienjalne, miał to niezachwiane niczem przekonanie, iż prędzej, czy później, zdobędzie ów majątek, przez jakiś wynalazek uderzający, przez wynalazek wielki i pożyteczny, stanowiący przewrót niemal w epoce, w której się pojawia. Szukał więc i badał bez wytchnienia. Nie dawał się zbić z tropu niepowodzeniom. Co noc, trawił kilka godzin na rozmaitych poszukiwaniach. Okazywał zdolność i talenta niepospolite w tym kierunku, nie dochodził jednak do rezultatów praktycznych i przydatnych; to też, powtarzamy, niedostatek przybierał z dniem każdym większe rozmiary, położenie stawało się niemal rozpaczliwem.

W trzecim roku pożycia małżeńskiego naszej młodej pary, promyk jaśniejszy rozproszył na chwile czarne i ciężkie chmury, gromadzące się na widnokręgu biednego Vanbaron'a. Mógł sądzić, iż wreszcie zabłysła mu gwiazda szczęśliwsza, którą tak długo chmury przeciwności i niepowodzeń skrywały całkowicie.

Model młócerni, wysłany przez niego na prowincję, na jakąś wystawę rolniczo-przemysłową w jednym z miast departamentalnych, dostał medal złoty pierwszej klasy i otrzymał przywilej wyłączny na lat pięćdziesiąt. Ten model nabył od niego pewien industriel za cztery tysiące franków, a zarobił na nim ze sto tysięcy!

Zaledwie dostał do rąk te pieniądze, (pierwszą sumę znacznieszą w swoim życiu) Jan uczył się

niezmiernie bogatym, a przynajmniej na najlepszej drodze do zrobienia wielkiego majątku.

Marta nie ze wszystkim podzielała olśnienie i oszołomienie swojego męża; nie żeby go uważała za człowieka ograniczonego, lub wątpiła o jego świętej przyszłości; posiadała jednak ów prosty rozsądek, który patrzy na wszystko trzeźwo i praktycznie. Każdy wynalazca jest po trochu poetą. Tu role były zamieniane. Jan w małżeństwie przedstawiał poezję, Marta zaś była prozą uosobistnioną.

— Popłaćmy najprzód długi — błagała męża. — Spokój zupełny, to połowa szczęścia.

— Ależ, dziecko drogie! — wołał mechanik z zapalem — cóż ty mówisz o spokoju! Czyż nie uważasz, że dążymy wielkimi krokami ku sławie i ku bogactwu? Wybijam się! wypływam na wierzch! Wkrótce imię moje stanie się głośne. Mam-że dla kilku franków zatrzymać się w drodze? Na prawdę! toby było szczytem szaleństwa!...

— Cóż więc zamysłasz?

— Zatrzymać te pieniądze i robić dalej, co dotąd robiłem... pracować... badać... i zdobyć dla siebie sławę, a dla ciebie i Blanki wielki majątek!...

Marta ciężko westchnęła i... umilkła.

Vaubaron nie zawahał się niestety! i poszedł torem najniebezpieczniejszym. Oddał się duszą całą wynalazkom; pracował odtąd tylko u siebie, i ludził się, że płynie z rozpiętymi żaglami ku spełnieniu wszystkich swoich marzeń.

Żyd tandeciarz dostał tyle za ledwie na dług, żeby siedział cicho przez kilka miesięcy.

Aby nie rozwałkowały nadto naszego opowiadania, pomijamy lat kilka od-dnia, w którym Jan powziął myśl nieszczęsną porzucenia warsztatu i pracy w domu, aż do chwili, w której dramat nasz się zaczyna.

Te lata prowadziły młode małżeństwo z wolna, ale tem pewniej do katastrofy nieuniknionej. Gdy raz wydano owe cztery tysiące franków, (a wnet się z nimi uporano!) za ledwie mógł biedny mechanik, tonąc w olbrzymich projektach i kombinacjach, a pogardzając robotami pospolitszemi, za ledwie mógł zarobić na chleb powszedni.

To go jednak ani smuciło, ani przerażało. Łudził się mimo tego wytrwale. Widział się u celu lada chwila, a ten cel tymczasem, coraz dalej od niego umykał.

— Co znaczy niedostatek dzisiejszy... — mawiał — skoro jutro, pojutrze zaczniemy opływać we wszystko?... Teraźniejszość nie istnieje!... przyszłość jest wszystkim!

Tymczasem, czekając na te świetności, trzeba było co tydzień pozbywać się czegoś z domu. Dziś sprzedawano kilka sztuk bielizny, jutro jakiś sprzęt, i tak w domu i tak ubogim, robiło się coraz puściej, nędza zaglądała wszystkimi szparami.

Zapewne, że to jeszczeby niczem nie było... Gotowibyśmy powtórzyć z Vaubaron'em: — „Co tam! mniejsza o chwilowe niepowodzenia!“ — Jasność potrójna, młodości, miłości i świetnych nadziei, wystarczała, aby rozprószyć ciemności chwilowe...

„Nieszczęście nie przychodzi nigdy samo“ —

powiada przysłowie. Marta, jak wiemy, była z natury niesłychanie wiotka i delikatna. Dotąd jednak zdrowie jej w mężu żadnych obaw nie budziło. Nagle młoda kobieta zaczęła pokaszliwać i słała z dniem każdym. Skarzyła się na ból w piersiach, szum w uszach i bicie serca.

Tak się zawsze zaczyna owa straszna i nieuleczalna jak dotąd choroba! Rozwinęły się u niej suchoty galopujące.

W chwili gdyśmy weszli z naszymi czytelnikami do pomieszkania Vaubaron'ów, choroba tak się wzmogła, że nie było już nadziei, żeby Marta żyć mogła... Słyszeliśmy z ust samego lekarza wyrok fatalny; słyszeliśmy, jak zapowiadał, że odtąd uważa swoje wizyty za zbyteczne.

Nie na tem koniec. Wiemy, że od dni kilku i mała Blanka zaczynała pewnemi symptomami budzić w ojcu obawę i najwyższy niepokój.

Na domiar do tych wszystkich boleści, łączyły się troski pieniężne, nierozpłacone, a dojmujące do żywego. Choroba Marty bardzo wiele kosztowała. Ze wszystkich stron cisnęły długi, krzykliwe i nieublagane. Nie było dnia prawie, żeby nie napadano na nieszczęśliwego Vaubaron'a, nawet w jego własnym pomieszkaniu, żeby nie upominano się wytrwale, a najczęściej w sposób grubiański, o mniejsze lub większe kwoty; a wszystko trzeba było ukrywać przed Martą najstaranniej, uspokajając ją przez rozmaite wykrety i kłamstwa świątobliwe.

Nie wspomnieliśmy dotąd o długu najważniejszym, i mogącym mieć dla Jana następstwa naj-

fatalniejsze: pozbawić go po prostu wolności.

Mimo ubezwładnienia niejako, w skutek trosk i zgryzot najrozmaitszych, w głowie Vaubarona zrodziły się dwa pomysły, mające na prawdę wielką przyszłość przed sobą.

Oto o czem myślał bezustanku:

Koleje żelazne jeszcze nie istniały w Europie w roku 1830, a Vaubaron zapragnął nie parą poruszać lokomotywę, ale stworzyć *Samochód*, któryby się poruszał wewnętrzną maszyneryą, na relsach żelaznych. Cały przyrząd miał być bardzo prosty i niezbyt kosztowny, a mógł oszczędzić państwu każdemu miliony milionów!

To był główny wynalazek, na którym budował przyszły majątek.

Drugim nie wpływającym co prawda tak bezpośrednio na losy świata, był wynalazek ulepszający zabawki. Co do korzyści materialnych, mógł przynieść również sumy bajeczne, chociaż na pozór tyczył się przedmiotów drobiazgowych.

Zdolny mechanik wynalazł był przyrząd, którym poruszał lalki, zwierzęta, węże i płazy. Nie był on zbyt kosztowny, zabawki mogły zatem być przystępne nawet dla kas mniej zamożnych. Wiemy dobrze ile to kroczi zabawek rozechodzi się po świecie. Może więc i nie tak bardzo ludził się Vaubaron, licząc że na tej industyri zrobi majątek kolosalny.

Na nieszczęście trzeba było szukać, iść często-kroć po omacku, wyrzucać pieniądze na próby nieudane i na rozmaite narzędzia i przyrządy bardzo kosztowne.

Na nieszczęście (umyślnie ten frazes powtarzamy) Vaubaron znalazł zrazu na oba wynalazki w głowie świtające mu dopiero, kredyt nieograniczony u pewnego fabrykanta maszyn, znanego w całym Paryżu z chciwości niesłychanej i wyzyskiwania klas rzemieślniczych.

Gdy rachunek doszedł do dwóch tysięcy franków, fabrykant kredyt zamknął i zarządał od Jana zwrotu pieniędzy.

Vaubaron nie miał i grosza przy duszy, błagał więc o przedłużenie terminu.

Otrzymał zwłokę trzechmiesięczną, ale z dopisaniem na wekslu pięciuset franków.

Skoro drugi termin minął, fabrykant poruszył niebo i ziemię.

Jan nieobeznany z prawniczemi kruczkami i wykrętami, ani się bronił, ani nie stawiał rekursów... To też w chwili, w której zaczęliśmy nasze opowiadanie, był już ów fabrykant areszt na niego wyrobil i mógł lada moment kazać zamknąć w więzieniu za długi u Sainte Pélagie (tak się nazywało Clichy w roku 1830) swojego dłużnika nieszczęśliwego.

Takie było położenie prawdziwe, a najopłakańsze naszego głównego bohatera. Teraz kiedyśmy skreślili obraz dokładny i weszli w szczegóły, może trochę za rozwlekłe, ale niezbędne, wejdziemy in medias res dramatu dziwnego, a do głębi wzruszającego, który postanowiliśmy opowiedzieć.



## XI.

Wybiła godzina szósta na wieczór.

Mężczyzna w skromnem ubraniu i wieku nieokreślonego, szedł krokiem wolnym, miarowym po jednej stronie ulicy Valois-Palais-Royale, z miną spokojnego, flegmatycznego przechodnia, któremu wcale nie spieszo, na którego nic i nikt nie czeka i on też zajdzie gdzie i kiedy zechce.

Ktoby jednak chciał był go śledzić baczej, byłby może zauważył, że ten człowiek zatrzymywał się co kilka kroków, niby to czytając afisze i inne ogłoszenia na murze porozlepiane; korzystał zaś z owych przestanków, aby rzucić po za siebie spojrzenie bystre, przelotne, od niechcienia, a jednak na wskrós przenikające.

Jeden, jedyny rzut oka, wystarczał mu prawdopodobnie, aby się dowiedzieć o tem, czego pragnął, bo znowu szedł dalej, nic nie zmieniając w chodzie wolnym zbijobruka poważnego i statecznego.

Istniała wtedy, a może do dziś istnieje w Paryżu na Passage Radziwiłł, restauracya tania i podrzędna, przez czystej krwi Paryżanów gargotą poprostu nazywana.

Nad drzwiami sali jadalnej, czytało się napis wielkimi czerwonymi literami:

„Tanio i smaczno! to nasze godło!  
Nóżki cielece obsmarzane jak młode kureczęta!“

Dwie sale obszerne, zapełnione stołami i stoliczkami, były umieszczone, jak dawniej mówiono

w piwnicach, a jak terażniejsi właściciele kamienie przechrzcili pompatycznie w suterenach.

Schodziło się do sal po kilkunastu schodach kamiennych. Zaraz na pierwszym stopniu rozsiała się była dziewczyna tęga i rumiana, obok sporej beczółki z ostrygami, z których jedne były już otwarte, drugie jeszcze nietykane.

Ów przechodzeń, który nas był przed tem na chwilę zatrzymał, wszedł na schody, odpowiadając z akcentem czysto niemieckim, na ukłon i uśmiech zalotny kelnerki: „Szeńdopry! Szeńdopry, moja piękna czefeczynka!“ W pierwszej zaraz salce wybrał sobie stolik na dwie osoby, z miną gościa codziennego, który wie dokładnie, którądy się obrócić. Na stoliku były dwa nakrycia.

Jeden z kelnerów nadbiegł z pospiechem:

— Pan sam je objad? — zapytał.

— Ja! ja! szam jeden!

— Zabiore więc drugie nakrycie?

— Nein! nein! nietrepa! móchlpy chto nadejszcz!

— Co pan rozkaże?

Cudzoziemiec (odtąd nie będziemy nużyli czytelników jego szwabskiem przekręcaniem każdego wyrazu) był widocznie przy dobrym apetycie, zadysonował sobie bowiem obiad nie lada. Na głównym planie figurowała kapusta kwaśna z kiełbasą smażoną, szynka i pół gęsi pieczonej.

— Jakie wino mam przynieść?

— Jak zawsze... dobrą butelkę szambertynka!

— Służę wszystkim natychmiast!

Chłopiec pobiegł, aby rozkaz wypełnić, a my tymczasem przypatrzmy się bliżej owemu potężnemu smakoszowi.

Jak już powiedzieliśmy, był on w wieku nieokreślonym. Mógł nie mieć więcej niż lat trzydzieści pięć, a mógł dochodzić i do pięćdziesiątki. Twarz płaska, czysto germańska, była niby obramowana długimi, jasno-blond włosami. Faworyty nisko przystryżone, prawie bezbarwne, biegły od jednej skroni do drugiej, na około policzków i brody.

Duże oczy czarne i świdrowate dziwnie by były odbijały od tej twarzy puciołowatej, bladej i nalanej; oczy te jednak w tej chwili wyglądały jakby zaspane; niknęły prawie pod powiekami czerwonymi, nabrzmiałymi i przysłoniętymi w dodatku ciemnymi okularami. Mrugał niemi ciągle, jak sowa gdy ją światło dzienne razi.

Nasz nieznamy był wzrostu słusznego, barczysty i silnie zbudowany, plecy miał jednak wypukłe i przygarbione, jak człowiek chorowity i życiem zużony.

Jego strój składał się z pantalonów sukiennych popielatych i z rodzaju surduta à la Polonaise, nieznanego zupełnie dzisiejszemu pokoleniu. Była to czamara ciemno-granatowa, z kołnierzem i mankietami obłożonemi czarnym barankiem astrachańskim, z pętlcami czarnemi po obu stronach od góry aż do pasa, i sznurami krzyżującemi się na piersiach. Kapelusze nie przedstawiał nic nadzwyczajnego. Wogóle strój cały był skromny ale porządny.

Biorąc za krzesło, nasz jegomość postawił w

kącie pod ścianą grubą laskę najpospolitszą w świecie, u której galka spora, obszyta skórą plecioną, musiała mieścić w sobie ilość ołowiu imponującą i dużo ważącą.

Kelner przynosił potrawy żądane i odkorkowywał butelkę z winem, Niemiec zaś, (prawdziwy czy fałszywy) zajadał, aż mu się uszy trzęsły.

Co chwila jednakże podnosił głowę i spozierał badawczo na drzwi wchodowe.

Po kwadransie niespełna wzrok mu błysnął demonicznie i już nie spuścił oka ze staruszka małego, chuderławego, w stroju i z miny wyglądającego na przedmieszczanina, który szedł po schodach z wolna i ostrożnie.

Mały człowieczek przeszedł wzdłuż salę i zatrzymał się dopiero przy stoliku zajęтым przez naszego Niemca.

Ten wyciągnął rękę do niego, pytając zawsze z owym silnym akcentem germańskim:

- Czy zjesz ze mną objad, Richaud?
- I owszem, panie Werner... tego się nigdy nie odmawia!...
- Siadaj w takim razie... Garson!...
- Służę!
- Druga butelka wina... i druga porcja objadu!...

Za chwilę wszystko stało przed nowoprzybyłym, który jadł cheiwie i szybko, aby nagrodzić czas stracony i zrównać się ze swoim amfitryonem.

Gdy obydwaj zaspokoiли pierwszy głód, p. Werner, którego czas jakiś tak będziemy nazywali, oparł się o stół łokciami, co natychmiast naśladował i no-

woprzybyły, pochylił się ku niemu i rzekł głosem stłumionym umyślnie, aby ich żadne ucho ciekawe a niedyskretne nie podsłuchało:

— Jest co nowego?...

— Naturalnie!...

— Cóż tedy?...

— Wicherek, Miodzius i Rypcio pracowali przez noc całą, jak przystało na uczeiwych chłopaków!...

— Według moich wskazówek?...

— Ma się rozumieć!...

— Razem, czy każdy na własną rękę?

— Każdy z osobna...

— A rezultaty?...

— Przepyszne!

— Idźmy za porządkiem... Wicherek tedy?...

— Zrewidował szafkę zwierciadlaną i szuflady w biurku u tej aktorki podrzędnej z teatru Gaîté, co to mieszka na ulicy Fossés du Temple... Odjechała na wieś jejmościanka i dopiero dziś wieczór ma powrócić. Wszystko poszło jak z płatka! Wicherek nie posiada się z radości...

— Cóż znalazł?...

— Pieniądzy bardzo mało, ale dużo klejnotów... niektóre wielkiej wartości.

— Widziałeś je?

— Widziałem... pomiędzy innymi bransoletka czarna emaliowana, z brylantami prześlicznej wody!... Oceniam tę zdobycz na dwadzieścia tysięcy franków...

— Tam do dyabła!... — pan Werner strzepnął palcami — wcale ładnie!... I powiedzieć że owa panienka ma całej pensyi po sto franków na mie-

siąc?... Co to znaczy oszczędność!... A teraz przejdźmy do Miodziusia...

— Zrabował w jakiejś części, ale z wielkiem narażeniem siebie i niebezpieczeństwem, zegarmistrza na przedmieściu Saint-Denis... Zegarmistrz obudził się nadto wcześnie i zaczął wrzeszczeć: — Złodziej! łapajcie! kto w Boga wierzy! w dodatku wypalił z pistoletu... Odwach z tamtąd niedaleko... żołnierze wystąpili pod bronią... Miodzius był zmuszony ułotnić się czempredzej, zanim zdołał dzieła dokończyć.

— Z czem zemknął?...

— Około trzydziestu zegarków... dziesięć złotych, kilka garści łańcuszków i breloków... około tysiąca talarów...

— Zawsze lepiej niż nie... A Rypcio?...

— Wszedł przez ogród według udzielonych mu przez pana instrukcyi, do pałacu i budoaru księżny Druckoj-Sokolnickiej na polach Elizejskich i porwał dwa pudełka safianowe z małego gierydonu... W jednym jest cały garnitur z rubinów oprawnych w brylanty, w drugim szafiry piękności niezrównanej!... Tak przynajmniej Rypcio utrzymuje... ja sam tych klejnotów nie widziałem...

— Wszystko to bardzo mi się podoba!... Chwaty! nie ma co mówić... tego się spisali i nie zaspali gruszek w popiele!... Teraz kiedy są naszpikowani klejnotami, będą zapewne potrzebowali papy Legripa?

— To się samo przez się rozumie, panie Werner.

— Czy im tak bardzo pilno?

— Tak dalece, że gdyby Legrip nie mógł z nimi dziś zaraz ubić interesu, musieliby się udać gdzie

indziej... tak mi przynajmniej powiedzieli..

Werner wzruszył ramionami i mruknął:

— Bydlaki!... Ciekawym skądby wydobyli drugiego nabywcę tak sumiennego, tak na wszystko przystającego, tak pewnego, jak ten najgodniejszy ojciec Legrip?!...

— Zapewne... zapewne... Richard głową potrząśł. Ot głupcy, nie zastanowili się nad tem dostatecznie!

— Kiedy się z nimi zobaczysz?

— Za dwie godziny... Wiedząc że pana tu zastanę, zamówiłem ich do szyneczku pod Złotym Kłosem... Tam mają na mnie czekać...

— Wszyscy trzej?

— Tak jest...

— A więc... powiesz im, żeby punkt o dziesiątej zgłosili się do domu przy ulicy Neuilly... Ojciec Legrip ich przyjmie...

— Wszystkich trzech razem?

— Nie! Ojciec Legrip nie wpuszcza nigdy tylko po jednemu... ja mu to poradziłem...

— Na prawdę! mądra rada! bardzo mądra!...

— Ci chłopcy poczciwi mogą ciągnąć węzelki jeżeli chcą, który ma wejść pierwszy...

— Tak najlepiej... Jeden wejdzie, a tamci mogą tymczasem ćmić fajeczki i rachować gwiazdy na niebie, żeby im się nie nudziło... Nie mi nie powiesz więcej panie Werner? nie masz dziś dla mnie żadnego polecenia?...

— Chwilowo... żadnego...

— Skoro tak, idę zatem na moje rendez-vous...

Sługa pański...

— Do zobaczenia Richaud.

Mały człowieczek zawrócił od progu nazad, zamiast wyjść na ulicę.

— Czego to? — spytał szorstko Niemiec.

— Oh! drobnostka... Zapomniałem tylko zwierzyć się z czemś przed panem...

— Naprzykład?...

— Że jestem bez grosza...

— No, no!... Masz tu dwadzieścia franków.

— Dzięki stokrotne panie Werner!

Tym razem mały człowiek ulotnił się na prawdę.

— Garson!... — krzyknął Niemiec, gdy sam został.

— Służę!...

— Co potrzeba do listu napisania!...

— Natychmiast panie!

Werner wziął ćwiartkę papieru który Garson przyniósł i napisał bilecik, charakterem eleganckim, pisownią bez zarzutu. Oto treść biletu:

„Moja Najdroższa i Najmilsza! Interes rodzinny, wielkiej wagi i zwłoki niecierpiący, któremu jednak złorzeczę z głębi duszy, ponieważ mnie pozbawi szczęścia widzieć cię dzisiaj, zmusza mnie odjechać z Paryża jeszcze dziś wieczór. Nie wrócę aż jutro.

„Nie czekaj zatem na mnie najdroższa Urszulko... Wiesz, że mojem najszczerzem i jedynem życzeniem byłoby pędzić życie u twoich stopek malutkich. Pożaluj mnie i myśl o mnie, jak ja z mojej strony, będę myślał li o tobie...

„Do jutra zatem moja ubóstwiona!... Radbym przyspieszyć o ile możliwości ową chwilę błogosła-



wioną, kiedy tytuł słodki i święty, twego małżonka, pozwoli mi tobie się oddać wyłącznie, i ani na chwilę z tobą się nie rozłączać.

„Twój najwierniejszy, i szalenie rozkochany:

„Rodille“

Pan Werner, podpisawszy w ten sposób bilecik, napuszony i czudy aż do ekliwości, wsunął go w koperte, przypieczętował dewizą na sygnecie: — „Tout pour toi!“ i tak zaadresował:

„Panna Urszula Renaud, rządczyni w pałacu pana barona de Viriville, przy ulicy Pas-de-la-Mule, na przedmieściu Marais — Bardzo pilno!

To załatwiwszy, zapłacił za objad, rzucił hojny napiwek garsonowi, który go żegnał ukłonem do samej ziemi i wyszedł ze sali.

O dwadzieścia kroków może, na zakręcie ulicy, stał ekspres z medalem na piersiach. Werner skinął ręką na niego.

— Mój chłopcze! — przemówił bez cienia akcentu germańskiego — masz tu czterdzieści sous. Bierz nogi za pas, idź prosto na ulicę Pas-de-la-Mule, i oddaj ten list do własnych rąk osoby, do do której jest zaadresowany. — A jeżeli jej w domu nie zastanę? — zauważył posłaniec.

— Zastaniesz... tylko się spiesz kochanku ...

Posłaniec pobiegł galopem we wskazanym kierunku, a Werner-Rodille, poszedł w stronę przeciwną ku Passage - Radziwill.

## XII.

Cały świat zna ten nędzny do dziś dnia zaułek, taki sam, jakim był w roku 1830, ciemny i pónury, nawet w dzień biały, ozdobiony ohydnyimi sklepiakami, służący za miejsce przytułku dla rozmaitych wielce podejrzanych industyri i spekulacyek, z krzyżującymi się schodami, wiecznie zabłoconymi, które prowadzą z ulicy Valois, na ulicę Bons-Enfant.

Przez ten tedy Passage-Radziwill, przechodziła owa osobistość zagadkowa, którą przedstawiliśmy naszym czytelnikom; potem, gdy zrównał się z ulicą Bons-Enfant, wziął się na bok po schodkach o wiele węższych i oślizłych; nareszcie dostał się do jednego z domów, i zaczął się piąć w górę. Za każdym piętrem, a było ich sześć, stawał, oglądał się i nadśluchiwał, czy go przypadkiem kto nie śledzi i nie podpatruje.

Tak doszedł do długiego, wąskiego i zupełnie ciemnego korytarza, na który drzwi kilkoro wychodziło.

Zatrzymał się przed drzwiami z numerem trzecim, a zapewniwszy się, że jest sam jeden na korytarzu, wyjął klucz z kieszeni, i otworzył drzwi do pokoju, dziwnie wyglądającego.

Za całe umeblowanie stało tu łóżko mahoniowe, stolik toatelowy i wielkie zwierciadło podwójne i ruchome, Psyché nazywane, w którym można się przejrzeć od stóp aż do głowy, z przodu i z tyłu. Takie zwierciadła są używane we wszystkich magazynach z sukniami gotowemi.

I ten pokój można było wziąć za taki magazyn lub za garderobę teatralną, doskonale zaopatrzoną; tyle tu wisiało na kółkach, wzdłuż ścian, najrozmaitszych sukien, mundurów i kostiumów.

Wszystkie klasy społeczne były tu przedstawione. Przedmieszczanin, rzemieślnik, dandys sadzący się na najwyższą elegancję, ksiądz, żołnierz prosty, oficer wszelkich broni i stopni, marynarz, ekspres, woźnica, drwal, baciarz, i tak dalej, i dalej... Każdy byłby tu znalazł strój zastosowany do jego profesyi, gustu i zwyczajów.

Fryzur i peruk, różnych kształtów i odcieni, również tu nie brakowało.

Werner-Rodille, zamknął drzwi na klucz ze środka, zapuścił w dodatku ciężką portyere, żeby nikt nie mógł zajrzeć przez dziurkę od klucza, lub szparę we drzwiach: Wtedy zaczął się rozbierać ze wszystkiego, co miał na sobie. Zdjął jasną perukę, faworyty, nareszcie twarz obmył w dużej mednicy wodą napełnionej.

Zaszła w nim zmiana niesłychana, w okamgnieniu. Niktby się w nim nie mógł domyśleć owego Niemca, z twarzą długą, bladą i niby nabrzmiałą, bez wyrazu, z oczami zaspanemi, a z plecami przygarbionemi.

Niemiec zniknął bez śladu. Został tylko człowiek lat trzydziestu, dobrze i silnie zbudowany, z włosami czarnymi i naturalnie falującymi, z oczami bystremi, zuchwałemi, błyszczącemi sprytem i śmiałością, z pcią ogorzałą, z policzkami rumianemi, słowem: była to postać i twarz skończenie piękna,

ale nie mniej odrażę niemal budząca wyrazem cynizmu i chytryści. Chwilami nawet, pewne ust skrzywienie, pewien tyk, jakby kurcz w dolnej części twarzy, robił ją prawie dziką i straszną, podobną do zwierza drapieżnego.

Ktokolwiek byłby teraz spojrzal z uwagą na tego człowieka, musiałby w duchu powiedzieć: — „To lotr przebiegły i niebezpieczny!“... — w czym... (możemy śmiało zaręczyć) nie byłby się wcale omylił!...

Rozebrawszy się do koszuli, zaczął obchodzić w koło pokój, przypatrując się kostiumom rozmaitym, i szukając bacznie, który ma przywdziać. Dotąd widocznie nie mógł się zdecydować.

Wybrał nakoniec elegancki mundur huzarski, a gdy go przywdział, można było przysiąc, że się widzi przed sobą chwackiego kawalerzystę, z brzęczącymi ostrogami, z kibicią wciętą jak u kobiety, z wstążeczką pasową od Krzyża Legji, który przyjechał na urlop do Paryża, aby sobie wesoło pohulać.

Dopelniały przebrania wąsiki ciemne, junacko w górę podkręcone, przyklejone cudownie! niezrównanie i czapka wojskowa na bok trochę z fantazją na głowę wsadzona.

Rodille (tak go odtąd będziemy stale nazywali) oglądał się w zwierciadle na wszystkie boki, i musiał być zadowolony ze swojej osoby, bo wąsa podkręcił z miną wyzywającą i uśmiechnął się z tryumfem.

Wsunął w zanadrze pularesik haftowany złotem i jedwabiami, w którym były bilety wizytowe z tar-

czą herbową ozdobioną koroną margrabiego, zwinął od niechcenia w ręce rękawiczki nowiusieńkie, paljowe, zapalił cygare (wtedy jeszcze prawie wyłącznie wojskowi palili cygara) i wyszedł z pokoju, zamykając go na klucz najstaranniej.

W chwilę później wchodził do ogrodu w Palais-Royal z miną gęstą, podkrecając wasa zawadyacko.

Ogród ten w roku 1830, nie był podobny w niczem, do monotonnego i ponurego kwadratu dzisiejszego. Był pełen uroku, pełen domów gry, alei cienistych i pięknych odalisek, wabiących ku sobie przechodniów. Cała Europa rozprawiała z zazdrością o cudach i rozkoszach w Palais-Royal, każdy cudzoziemiec skoro wysiadł w Paryżu, kazał najprzód tam się wieść. Wielka stolica, słowem, zdawała się mieścić cała w Palais-Royal!...

W chwili gdy tam wchodził Rodille, zmrok zapadał. Ze wszystkich stron zapalano kinkiety i rewerberbery olejne (gaz zapowiadające); magazyny błyszczały światłem olśniewającym, przechodnie tłumnie nadpływali, w kawiarniach był tłok niesłychany, a pomiędzy czarnym strojem mężczyzn i barwnymi mundurami wojskowych, migaly białe ramiona obnażone, połyskiwały dyamenty, a częściej strassy, na wyścigi z oczami czarującymi, magnetyzującymi młodzików niedoświadczonych u nimf i piękności ogródkowych.

W roku 1830, jak i za naszych czasów, właściciel kawiarni w Rotundzie, opłacał drogo rokrocznie prawo rozpinania na wolnem powietrzu namiotu obszernego w samym ogrodzie, pod którym

mieściły się stoliki, stoliczki i krzesła.

Rodille zaczekał, chodząc tam i nazad, żeby się który ze stoliczków pod namiotem opróżnił; wtedy usiadł i kazał sobie podać lody mieszane, które zjadał pomału, jak smakosz i znawca prawdziwy.

Jeszcze lodów nie dokończył, gdy zjawił się człowiek lichy ubrany, wyglądający po prostu na żebraka, zbliżył się do niego pokornie, kapelusz w ręce trzymając i zaczął wygłaszać śpiewnie, a głosem żałośnym, zwykłą formułkę:

— Litości!... jaśnie panie!... dajcie grosik biedakowi, dla miłości Pana Boga!...

Rodille wsadził rękę do kieszeni, i rzucił srebrną monetę w kapelusz żebraka.

W dodatku do jałmużny, zrobił dwoma palcami znak tajemniczy, na który dziad takim samym znakiem hieroglificznym odpowiedział.

Rodille wstał natychmiast, zapłacił za lody i wyszedł jakby nigdy nie, w ślad za żebrakiem. Obaj uszli ze sto kroków, w kierunku sławnego domu gry pod numerem 113.

W chwili gdy stanęli przed drzwiami sali wspaniale à giorno oświetlonej, sławnej na cały Paryż, dziad zwolnił kroku, tak, żeby Rodille mógł się z nim zrównać nieznacznie i szepnął szybko a cichutko:

— Przysłał mnie Długonogi... Jest tam... pod numerem 113!

— Capisco! — Rodille odszepnął wcale się nie zatrzymując. Minał jedną z bram żelaznych, na oścież otwartych, które oddzielały ogród od galeryi i szedł prosto ku młodzieńcowi jasnowłosemu, rze-

czywiście z nogami uderzająco długimi, w stroju nader eleganckim, który przechadzał się od niechcenia, nucąc jakąś aryetkę po pod oknami restauracyi umieszczonej na dole pod salą gry.

Rodille wsunął rękę poufale pod ramię młodzieńcowi i zapytał:

— Co tam nowego?

— Dobry interes... tak mi się zdaje przynajmniej panie Augustcie.

Rodille nie zdawał się zdziwiony tem nowem imieniem. Było ono widocznie należące do kostyumu, który przybrał w tej chwili.

— Tylko prosto z mostu!... — strzepnął palcami niecierpliwie. — Widzisz że czekam!

— Zbliż się pan do kawiarni i popatrz przez szybę... Kogo widzisz na lewo przy pierwszym stoliku?

— Chłopca pięknego co się zowie, ale strasznie licho ubranego!... głowa królewska! a strój rzemieślnika, gdy w niedzielę z szynku wychodzi... Gdzieś go już widziałem... Ejże! ależ ten chłopak błady jak śmierć! Jakby miał zemdleć...

— Gdybyś go pan był zobaczył przed chwilą!... Myślałem wtedy na prawdę że już po nim!... To ja go przyjąłem w objęcia, słaniającego się i zaprowadziłem do kawiarni na sznapsika... Pije zwolna słodką wódeczkę i ta mu pozwoli stanąć na nogi...

— Daj go katu! jaki z ciebie zrobił się filantrop!...

— No, pan zrozumiesz, że musiałem mieć pewne powody...

— Rzecz naturalna... Skądże wychodził?

— Z pod numeru 113... czyż to potrzeba dodawać?

— Grał?...

— Tak, panie Augustcie i to z powodzeniem iście djabelskim?...

— Dużo wygrał?

— Przeszło dziesięć tysięcy franków!...

— Fiu! fiu! sumka wcale pokaźna!... i ma pieniądze przy sobie?

— Naturalnie! dziesięć papierków zwiniętych w bocznej kieszeni od surduta, a rulonik złota w kamizelce... Surduta nawet nie zapiał jak pan widzisz...

— Dla czegoż nie skusiłeś się sam na te pieniądze i nie świsnąłeś ich, trzymając w objęciach mdlejącego?

— Ba!... nadto wiele osób nas otaczało, nie chciałem skompromitować siebie operacją niezgrabną i w dodatku może jeszcze pójść do kozy!... Kłaniam uniżenie!... ja bo dopiero debiutuję panie Augustcie... nie mam tej wprawy i tego sprytu co pan w podobnych interesach!...

Rodille przyjął z uśmiechem łaskawym ten naiwny komplement.

— Mamy trochę czasu — spojrzał na zegarek — opowiedz mi chłopcze jak to się wszystko odbyło?

— Polecieś mi pan przechadzać się kiedy niekiedy koło domów gry i sygnalizować natychmiast jeżeli któremu graczowi szczęście posłuży i kieszenie napęczniają...

— Podoba mi się chłopcze twój styl kwiecisty. Cóż dalej?

— Otóż, aby spełnić uczciwie pańskie polecenie, przed chwilą wszedłem pod numer 113 i... posta-



wilem po raz trzeci pół franka, zawsze przegrywając... Wchodzi ów drymbłas... na czole mu było napisane, że niewiniątko po raz pierwszy w życiu przekracza ten próg niebezpieczny... wyglądał zdziwiony, oszołomiony... wstydził się prawie... nawet nie wiedział gdzie ma stanąć, żeby zacząć stawiać... Krótko mówiąc, byłbym się uśmieł serdecznie z tego bałwana i z jego miny zastraszonej, gdybym nie był w tej samej chwili przegrał stawki po raz trzeci...

Nakoniec wziął na kiel!... wyciągnął z kieszeni dwadzieścia franków... przymknął oczy jak kuro-patwa i rzucił pieniądz na chybił trafił... Luidor padł na czerwone... czerwone przeszło...

— „Czym wygrał?“ — spytał.

— Wygrałeś pan!... Trzymasz dalej?

— Trzymam!...

Kolor czerwony przeszedł raz po raz dziewięć razy!... Za dziesiątym razem drał wygrywał dwieście tysięcy dwieście franków!

— Dosyć!... dosyć!... — krzyknął głosem dziwnie zmienionym. — Nie stawiam dłużej!...

Wyplacono mu pieniądze. Gdy je uczuł w ręce, zdawało się zmysły postradał, drżał na całym ciele, i zobaczyłem dwie grube łzy, które mu zwolna ciekły po policzkach... To dopiero baba!... mężczyzna, który płacze, że wygrał?... czy nie setny głupiec, co?... Zwinął w trąbkę banknoty i wsadził do bocznej kieszeni... złoto schował osobno... Powiedziałem sobie w duchu:

— „Nie uciekniesz mi ptaszku, póki cię nie podskubię!“... — a ponieważ szedł pro-

sto we drzwi, prowadzące na ulicę, wysunąłem się za nim chyłkiem, mileżkiem... Na końcu schodów... jak to panu opowiadałem... upadł mi w ramiona... Zaczął się chwiać jak pijany i stanął biały jak chusta... Wtedy wprowadziłem go do kawiarni... Chryste panie! ten to lubi pieniądze!... Ja, gdybym tak wygrał dziesięć tysięcy, ani by mi w głowie nie powstało mdleć!... Nie głupim! miałbym coś mędrszego z niemi do czynienia!... Koniec końców, przewąchawszy gratyskę nie lada, wyprawiłem do pana w poselstwie Lariflaréa, który trzymał straż z drugiej strony... Przyszedeś pan i wiesz...

— Pst!... — Rodille szybko palec do ust przyłożył. — Pst! — szepnął — oddał się... Oto on sam wychodzi!...

W rzeczy samej młody człowiek z dziesięcioma tysiącami wygranemi, jeszcze blady, ale już odzyskawszy cokolwiek siły i równowagę, z twarzą promieniejącą radością nadziemską, wychodził z kawiarni krokiem niepewnym i zbliżał się ku bramie żelaznej.

Tym młodzieńcem był Jan Vaubaron.

### XIII.

Tego samego dnia zrana, a nazajutrz po wizycie lekarza, ó której wiemy już, Vaubaron siedział jak zwykle przy warsztacie o kilka kroków od łóżka Marty i łóżeczka Blanki, pracując wprawdzie, ale z widocznym zniechęceniem. Musiał przyznać w głębi duszy, że położenie, w którym się znajdują, jest rozpaczliwe, prawie bez wyjścia!...

Oslabienie młodej kobiety, wzrastało z każdą

chwilą; drzemała bez ustanku; i wyglądała już prawie, leżąc na pościeli, blada i zaledwie słabo odychająca, jak umarła na łożu śmiertelnem. Wkrótce też zapewne za dni, a może za godzin kilka, miała usnąć... aby się więcej nie obudzić!

I Blanka spała, jak jej matka, ale jej sen był gorączkowy i niespokojny. Jan przeszłej nocy wstawał do niej kilka razy, słysząc dziecka postękiwanie, i głośną o czemś rozprawę, w halucynacyi chorobliwej.

Ojciec nieszczęśliwy spędził, ma się rozumieć noc całą bezsenność; zrywał się co chwila z siennika, który mu służył za całe posłanie, a stanawszy nad małej łóżeczkiem, i całując dziecka czoło rozpalone, szeptał żałośnie:

— I ona!... i ona!... śmierć czyha na nie obie!..., chce mi wydrzeć co mam najdroższego, ja zaś nie mogę niczem jej zmusić do odwrótu!... A jednak dalszym życiem, krew bym wysączył do ostatniej kropli... Bóg, który mnie słyszy, wie z jaką bym to uczynił radością!... aby je tylko uratować!...

Blanka dotąd nie była jeszcze chorą śmiertelną, sam lekarz ojca o tem zapewniał. Cóż z tego?... Przypolecił dawać dziecku rzeczy pożywne, mięso, drób, zwierzynę, Burgunda za napój codzienny, a szczególnie nakazał dużo rozrywek, przechadzek po świeżem powietrzu... powietrza jak najwięcej!...

— Zrobię wszystko — szeptał — byle moją córkę uratować! wszystko możliwe!... a nawet niemożliwe!...

Wszystko to niestety! co doktor przypolecał było atoli wręcz niemożliwe!... czyż miał pieniądze,

na takie drogie rzeczy? Czy mógł wyjść z domu, zostawić żonę samą? zresztą czy mógł porzucić robotę bodaj na godzinę, nie mając w domu na kawałek chleba?...

Nie! sto razy nie! jemu nie wolno było to uczynić!

Przed kilkoma dniami zastawił złoty zegarek... już z tej drobnej sumki, zostawało mu się zaledwie dwadzieścia franków i kilkadziesiąt centimów... Gdy te wyda, gdzie znajdzie inne pieniądze?... Nieszczęśliwy, pytał o to sam siebie z trwogą śmiertelną i nie mógł pytania rozwiązać!

Odezwał się dzwonek. Była dziewiąta rano.

Vaubaron wstał cichuteńko, aby żony i dziecka nie zbudzić, i poszedł otworzyć gościowi tak wczesnie zgłaszającemu się z odwiedzinami.

Nie mógł się wstrzymać od drgnienia nerwowego, spotkawszy się oko w oko z woźnym sądowym, któremu polecono papiery, dotyczące się owego długu zaciągniętego u fabrykanta maszyn.

Był to poczciwy chłopiec zresztą, lat około trzydziestu, bardzo ludzki, z sercem którego jeszcze nie całkiem sparaliżowało obcowanie z papierami ostęplowanemi, które dotąd czuć i litować się umiało. Mieszkał na tej samej ulicy; znał dokładnie fatalne, a niczem nie zasłużone położenie młodego mechanika; biadał nad nim całą duszą; szukał rady na tę jego niedolę; w końcu składał mu dowody najoczywistsze szacunku i względów najprzyjaźniejszych, skoro przychodził ostrzedz go prywatnie, póki czas, o grożącym mu ze wszech stron niebezpieczeństwie.

— Ah! mój Bóże! to zaowu ja, panie Vaubaron! — poczeiwe chłopczyisko, mówił te słowa, jakby się tłumaczył, ze skrucą i pokorą, widząc chmurne oblicze mechanika... — Pojmuję, że panu mój widok nie miły, ale co począć?... co począć?... Spodziewałem się, że pan wstąpisz lada dzień do biura sądowego, składając bodaj zadatek znaczniejszy na kapitał, któryś winien Malher'owi... Może bym w takim razie, w obec pańskich dobrych chęci, mógł być otrzymać przedłużenie terminu wypłaty na jakich kilka miesięcy...

— Boże miłosierny! czyż ja bym nie rad panie Baudier?... Na dobrych chęciach pewno mi nie zbywa!...

— Nie polepszyły się zatem pańskie interesa?

Mechanik gorzko się uśmiechnął:

— Oh! nie... nie... w niczem mi lepiej nie idzie!... Przeciwnie, wszystko skłania się ku najgorszemu!... bo i pańskie ranne odwiedziny, nie zwiastują mi nic pomyslnego, co?

— Niestety! Przyszedłem ostrzedz pana po przyjacielsku, że zapadł wyrok ostateczny, i egzekucya tegoż natychmiastowa, nakazana najsurowiej. Oto masz pan wszystkie papiery...

— Co tu stemplów daremnie wyrzuconych! — zauważył młody mechanik z gorzką ironią, przerzucając niedbale gruby plik aktów sądowych. — Cóż teraz będzie?

— Pojutrze przyszła mnie z sądu, żebym panu, wyrok zapowiedział...

— Po czem nastąpi zabranie naszych gratów

nieprawdą?... Nie bardzo się obłowicie, panie Baudier!... Cośmy mieli lepszego sprzedane od dawna, lub w zastawie...

— Wierzyciel też wcale się tem nie ludzi... Nie mam rozkazu rzeczy spańskich zabierać, ale jego własną osobę.

— Chce mnie zatem wtrącić do więzienia?... do więzienia za długi?... — biedny Jan pobladł śmiertelnie.

— Tak jest niestety!

— Ależ to infamia!... okrucieństwo niedorzeczne i bez żadnego pożytku!... Powiedz pan sam, czy w więzieniu znajdę środki do zapłacenia długu, skoro ich, będąc na wolnej stopie znaleźć nie mogłem? To tylko może pogorszyć moje i tak rozpaczliwe położenie.

— Wierzycielowi się zdaje, że w obec tak wielkiego nieszczęścia, jak utrata wolności, pan się postarasz za jaką bądź cenę o pieniądze. Robiłem co mogłem... przemawiałem mu do serca, do sumienia... ale był niewzruszony.

Jan wkręcił palce we włosy ruchem rozpaczliwym:

— Ha! — rzekł głosem złamanym — niech że się los mój spełni!

Woźny znowu przemówił po chwili milczenia.

— Pańska wolność będzie dopiero za cztery dni prawdziwie zagrożoną; ale wtedy życzę panu, porzucić dom, i gdzieś się dobrze ukryć. Malher nie pardonuje, gdy się raz rozsierdzi. Jestem pewny, że poruszy niebo i ziemię... Znam ja go, jak zły szeląg... Gotów podbić bębenka, tym, co będą mieli

nakazane ścigać pana, obiecując im pewne wynagrodzenie...

Vaubaron podniósł z dumą głowę.

— Nie, panie Baudier — wyciągnął rękę ku drzwiom prowadzącym do drugiego pokoju — nie! ja domu nie opuszczę... ani myślę się ukrywać... Tam są moja żona i moje dziecko... żona dogorywa... córeczka bardzo chora... Zabiją obie, mnie im zabierając, a mój wierzyciel będzie ich mordercą!...

Woźny nie odpowiedział. Bolesć i oburzenie Vaubarona, wydało mu się słuszne i sprawiedliwe. Podniósł rękę do oczów, aby nieznacznie lzy otrzeć.

Mechanik dalej mówił:

— Ten człowiek zresztą chciwy i bez miłosierdzia, jest sam sobie wrogiem, mnie w sposób tak okrutny prześladowając... Niszczy jednym zamachem wszelką możliwość odzyskania swoich pieniędzy... Gnębi mnie i wali na ziemię, w chwili gdy miałem dojść do celu, gdy mógłbym zdobyć sławę i olbrzymi majątek... teraz mam bowiem pewność niezbitą, że jeden z moich wynalazków jest na najlepszej drodze i nie mu już nie stanie na przeszkodzie.

— Czy na prawdę masz tę pewność panie Vaubaron? — spytał woźny z niedowierzaniem.

— Ręczę panu słowem honoru!

— W takim razie wysłuchaj pan rady doskonałej, a szczególnie uczyn tak jak ci radzę... Poświęć z kretesem i wyrzeknij się wszelkiej dumy i miłości własnej... Pójdź do Malhera... Przyjmie pana zrazu jak rudego psa... mniejsza o to! Proś go, błagaj, nie zrażaj się pierwszym gwałtownym wybuchem...

pokaż mu w bliskiej przyszłości możność zapłacenia kapitału z procentami od procentów... możesz mu nawet dla zachęty obiecać w danym razie pewną część zysków... Męcz go pan póty, póki nie otrzymasz zwłoki bodaj na kilka miesięcy... A nuż się panu w tym czasie powiedzie?... nuż pieniądze popłyną rzeką całą?...

— Dziękuję za dobrą radę, panie Baudier... posłucham jej i pójdę natychmiast do pana Malhera.

— Jeżeli przystanie na pańską propozycję, proszę wstąpić do mnie po drodze i przynieść słówko od niego na piśmie, abym mógł wstrzymać wszystko.

— Tak panie Baudier... wstąpię do pana niezawodnie...

Woźny odszedł, ścisnąwszy serdecznie dłoń Vaubarona. Mimo chęci najlepszych, wniósł on nową troskę, nową zgryzotę najdotkliwszą do tego domu i tak dość nieszczęśliwego.

— Ha! pomyślał Vaubaron sam zostawszy. — Trzeba jeszcze i tego spróbować, trzeba się upokorzyć, choć zapewne daremnie!... Nie mam prawa cofnąć się i przed tym krokiem najcięższym. A więc odważnie idźmy do ataku!...

Przebrał się natychmiast, ucałował Martę ciągle drżącą, Blanke, która tylko co się była zbudziła i pospieszył do fabryki maszyn, na ulicy Menilmontant, pana Malher i Sp.

Nie będziemy powtarzali szczegółów rozmowy Jana z fabrykantem. Wystarczy jeżeli powiemy naszym czytelnikom, że biedny dłużnik wyszedł z gabinetu wierzyciela nieubłaganego, z głową na piersi



zwieszoną, z oczami łez pełnemi, z policzkami płonącem wstydem i najwyższem oburzeniem.

Otrzymał li odmowę wypowiedzianą w sposób najbrutalniejszy, z dodatkiem wyrzutów obrażających. Dawał mu Malher nie dwuznacznie do zrozumienia, iż nie wierzy ani w uczeiwość, ani w talenta i zdolności młodego mechanika... owe wymarzone wynalazki, były kłamliwemi pułapkami, wędkami, na które łapał głupców łatwowiernych!

Z głową płonąca, z sercem zranionem, z duszą zgorzkniałą do głębi, Jan wracał do domu.

Gdy on tak szedł machinalnie, tonąc w myślach rozpaczliwych, prowadzony li instynktem, uderzyła słuch jego rozmowa następująca, między dwoma wyrobnikami i mimo ciężkiej zadumy zwróciła jego uwagę.

— A dla czegoż Jacenty już nie pracuje?...

— Albo on głupi pracować? — zaśmiał się drugi.

— Ba! a czem gębę zapcha?... Czy to on kapitalista, czy co?

— Ażebyś wiedział co tak!...

— Do kroćset! czy drwisz? czy o drogę pytasz?

— Ale nie drwię!... ma ci pieniądze jak lodu! jak jaki bankir, nieprzymierzając.

— Gdzież ich tyle zakradł? dla Boga świętego!

— Nie ukradł, tylko zarobił.

— Jak? kiedy?... Ot byś nie łgał!... Czy to ja go nie znam?... Akurat jak w tej spiwance:

„Co zarobi, to przepije,

„Przyjdzie do dom, żonkę bije... — Oj! nagrzmocił ci swoją babę! nagrzmocił!...

— Otóż tera z niego wielki pan... i baby swojej nie grzmoci... bo u panów to wstydno żonkę walić... a pieniądze zarobił, stawiając ostatniego talara, co mu był został w niedzielę z całej płacy tygodniowej.

— A gdzież go postawił, do stu kaduków?!

— W Palais-Royal, pod numerem 113...

— To ci dopiero szczęście dyabelskie!...

— I ty i ja moglibyśmy mieć takie same... Rzecz wiadoma, że jak kto stawia po raz pierwszy, czy na kartę czy w ruletę, zawsze wygrywa...

— Ehe! Chyba nie mnie by to spotkało! Nie sto! ale tysiąc razy może grałem małym pauprem jeszcze, w dółki i kulki z innymi lampusami... Jak kiedy przegrałem, tom zawsze z kilku bodaj hultajów natłukł za to co się wlało!...

Wyrobniicy oddalili się, Vaubaron nie mógł już słyszeć dalszej ich rozmowy i wrócił do domu. Pod wieczór jednak, gdy nim miotać zaczęły myśli najboleśniejsze i do dzikiej rozpaczyny przywodzące, owa rozmowa śmieszna w swojej naiwnej niemal prostocie, z dziwną jasnością i dokładnością zaczęła mu niejako dzwonić w uszach, niby odbita w pamięci. I on sam słyszał już nieraz, że Dama Fortuna bywa nadzwyczaj łaskawą dla takiego nowicyusza, który po raz pierwszy hołd jej składa.

— Gdyby to jednak prawdą być miało?... — potarł czoło. — Nigdy nie przestąpiłem prógu do żadnej z sal, gdzie grają... nigdym się kart nie dotknął... Mógłbym więc być pewnym wygranej... Wygrać! wygrać!... wszak to wolność!... życie!... ra-

tunek jedyny!...

Od tej chwili myśl ta świdrowała bez ustanku mózg Vaubarona, coraz silniej go kusząc...

Dwa sprzeczne uczucia staczały walkę zaciętą w jego duszy... Z jednej strony szalone pragnienie owego złota, które nikomu nie mogło być potrzebniejsze!... z drugiej bojaźń, że może stracić i tego ostatniego luidora, ostatnią deskę ratunku, ostatni kęs chleba na dni kilka dla całej swojej rodziny!...

— Wygrasz! wygrasz!... — szeptał do ucha młodemu człowiekowi jakiś głos tajemniczy. — Wygrasz! i będziesz uratowany!

A jednocześnie w głębi sumienia odzywał się głos drugi:

— Ejże! miej się na baczności!... Zawsze i na każdym kroku hazard wszelki obracał się przeciw tobie!... Przegrasz! Zobaczysz, że przegrasz!... Ostrożnie! Ostrożnie!...

Rzecz naturalna, iż zwyciężył głos złudnej nadziei... i za nim poszedł...

Okolo szóstej wieczorem Vaubaron przebrał się znowu odświętnie... były to już suknie jedyne, które jeszcze posiadał.

— Gdzie idziesz, mój najdroższy? — szepnęła Marta, ledwie na pół przytomna.

— Wkrótce powrócę, drogie dziecię — odpowiedział wymijająco, i spodziewam się powrócić z dobrą nowiną.

Wyszedł.

Dążył prościuteńko do Palais-Royal, pod numer 113.

## XIV.

Nie pierwszy raz wprawdzie wypadło Janowi przejść przez ten ogród i po pod te arkady, gdzie ehucie i występki z całego świata gromadzą się jakby na zawołanie, ale mijał je dotąd prawie ze wstrętem. Nigdy mu w głowie nie powstało, przestąpić próg jednej z tych jaskiń, pochłaniających nie tylko mienie, ale i cześć ludzką.

Aby go skłonić do kroku tak hazardowego nie zgadzającego się z jego obyczajami i zasadami, trzeba było położenia bez wyjścia, przekonania rozpaczliwego, że tylko cud go zbawić może, a wreszcie owej rozmowy przypadkiem podsłuchanej, która mu się wydała, jakby tajemnem z góry natchnieniem.

Zaledwie spostrzegł przepyszne oświetlenie całego zabudowania w Palais-Royal, nie upoiła go wcale owa atmosfera, przesiąknięta wonią odurzającą, dysząca wzburzonymi namiętnościami, przeszedł, nie zatrzymując się, jakby ich nie widział, koło pokus żywych, zasiadających ławki w ogrodzie i wabiących ku sobie wszelkimi sposobami, a ponieważ nie chciał pytać i dowiadywać się, błąkał się dopóty po pod arkadami, póki mu nie zaświeciły w przeźroczu trzy liczby nad drzwiami: 113!

Wszedł szybko do domu gry, jak ktoś, któremu pilno skończyć i uciec z jakiegoś miejsca, przebiegł pędem schody biorąc po dwa na raz, a znalazłszy się w przedpokoju na pierwszym piątrze, drgnął wielce zdziwiony, gdy lokaj, drab sążnisty i w liberyi kapiącej złotem, poprosił go grzecznie o ka-

pelusz, dając mu w zamian znaczek numerowany.

Drzwi szerokie do sali gry prowadzące otwarły się przed nim na oścież.

Wiadome nam są wszystkie szczegóły tego, co tu zaszło w chwilę później z rozmowy Długonogiego z Rodille'm.

Naprawdę, Vaubaron wychodził ze sali jak pijany, jak człowiek zmysłów pozbawiony. Lokaj musiał wołać go kilka razy, zanim ślepy i głuchy na wszystko, zrozumiał wreszcie o co idzie i odebrał swój kapelusz. Machinalnie włożył go na głowę, oddał znaczek i zaczął iść po schodach, nie uważając, że w tropy za nim puścił się Długonogi.

Wiemy i o tem, jak Janowi słabo się zrobiło z nadmiaru radości i wzruszenia, i jak go Długonogi zaprowadził do kawiarni na sznapsika.

Vaubaron prędko odzyskał przytomność i równowagę. Teraz mógł objąć myślą i rozkoszować się należycie, zwrotem niesłychanym, który zaszedł w jego położeniu.

Przed godziną zdawać się mogło, że nie już biedaka z toni nie wyratuje, chyba cud jeden... I oto cud się stał!

Dziesięć tysięcy wydartych ze szpon krupierom z pod numeru 113, były zbawieniem Blanki!... a kto wie czy i nie życiem Marty?...

Z tą sumą w kieszeni, która po dniach nędzy najwyższej, wydawała mu się skarbem niewyczerpanym, układał tysiąc planów, roił rzeczy niestworzone! Tym razem zacznie z rozsądkiem, jak mu to niegdyś Marta kochana radziła... popłaci wszy-

stkie długi... wykupi ów weksel nieszczęsny, który o mało go wolności nie pozbawił; pozbędzie się raz na zawsze tych przykrości i upokorzeń; następnie otoczy żonę i dziecko temi tysiącznemi staraniami, wygódkami i lakociami, czego dotąd musiały się wyrzec. Wreszcie wywiezie obie z Paryża na południe, w krainę ciepła i słońca! jak lekarz radził... Dziesięć tysięcy franków powinny przecie wystarczyć na to wszystko!

Nadzieja zatem, która była na chwilę zamarła w sercu Jana, wracała zwycięsko z całym orszakiem ulud nieodzownych. To, co zaszło, pozwalało mu wierzyć we wszystko, choćby najmniej do prawdy podobne. Cud pierwszy (ani chwili o tem nie wątpił) musi pociągnąć za sobą i dalsze cuda.

— Martę lekarz opuścił jako na śmierć skazaną — mówił w duchu — ileż jednak razy omylili się lekarze i najbieglejsi w swoich wyrokach i przypuszczeniach... ilu chorych, uważanych przez nich za nieuleczalnych, są do dziś dnia zdrowi, pełni sił i życia! Natura sama działa cuda, gdy chora liczy dopiero lat dwadzieścia trzy... zresztą Bóg pokazał, że nas nie chce opuścić! Mam to przekonanie, jestem pewny, że jeszcze i moją Martę uratuje!

W takim usposobieniu serca i umysłu wychodził Jan z pod numeru 113, nie dziw zatem, iż twarz mu promieniała nadziemską radością. Dotąd jednak był bardzo blady, a i chód jego nie był tak pewny i elastyczny jak zazwyczaj.

Można to sobie łatwo wytłumaczyć. Jan upoił się szczęściem niby trunkiem mocnym. Takie mo-

ralne upojenie zostawia również ślady po sobie... — nie można od razu odzyskać sił dawniejszych i równowagi.

— Oddal się! — powtórzył Rodille na ucho swemu współnikowi — nadchodzi!

Długonogi ulotnił się jakby zdmuchnięty. Jan tymczasem szedł zwolna wzdłuż galeryi. Rodille wysłiznął się zrećźnie do ogrodu, idąc w tym samym kierunku co Vaubaron, którego z oka nie spuszczał. Zatrzymał się nieopodal od bramy wchodowej.

Na chwilę znikł w tłumie, który w tem miejscu był zbity w jeden kłęb. Gdy Jan zbliżał się do bramy, Rodille nadchodził już w kierunku przeciwnym, idąc naprzeciw Vaubaron'a. Przechylał się z nogi na nogę, świstał wesolą aryetkę, pobrzękiwał ostrogami, podkręcał junacko wąsika, rzucał na prawo i lewo spojrzenia bądź czule na nimfy ogródkowe, bądź impertynencko-wyzywające na nędznych cywilów. Przytem palił zawzięcie cygaro, puszczając w górę zgrabnie kółka i kółeczka z dymu. Ledwie kilka kroków dzieliło jeszcze tych dwóch ludzi.

Jan szedł naprzód niby senny, tonąc w rozkosznych marzeniach, jak on wejdzie do domu, rozsypie po łóżku swojej Marty najukochańszej papierki szeleszczące łaskotliwie i wykrzyknie radośnie: — Patrz Marto!... Patrz najdroższa moja!... To wszystko do nas należy! Jesteśmy bogaci!... Dodajmy i ten szczegół, że Jan szedł z głową spuszczoną, oderwany niejako od ziemi, nie i nikogo nie widząc przed sobą.

Rodille ze swej strony, z talentem skończonego komedyanta kokietował zawzięcie jakąś piękność, mocno wydekoltowaną, uśmiechał się do niej zalotnie i mrugał oczami, niby wabiąc ku sobie.

Jeszcze dwa kroki a zetknięcie między tymi dwoma było nieuniknione.

W tej chwili Rodille stanął, jakby wrósł w ziemię, oczarowany czulem zerkaniem ku niemu owej nimfy ogrodowej. Z ust puszczał od niechcenia kłęby dymu z cygara.

Vaubaron, na nie uwagi nie zwróciwszy, trącił niechęący oficera, który mu niejako drogę zastępował.

Mimo iż uderzenie było bardzo lekkie, Rodille zatoczył się, jak ktoś nagle ze snu obudzony i zaatakowany w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewał. Natychmiast jednak odzyskał straconą równowagę. Rzucił się wściekle ku Janowi i odtrącił go nawzajem z całej siły:

— Do stu dyabłów! do stu piorunów! — zaczął kląć na czem świat stoi. — Gburze! mudiu! bydle kwadratowe! czy nie możesz to kpie jakiś patrzeć przed siebie! czy trzeba ci dopiero pięścią i kijem błaznie pokazać prostą drogę i oduczyć potracania ludzi porządnych?!...

Biedny Jan, obudzony nagle ze słodkich marzeń i zrzucony na ziemię tą ręką brutalną i obelg potokiem, zatoczył się i zachwiał na prawdę, nie aby grać tak jak Rodille komedią. Wszystka krew mu do głowy uderzyła, krew patrycyuszowska, krew jego dumnych i rycerskich antenatów.



Miał jednak tyle siły nad sobą, iż potrafił zapanować nad gniewem, który nim miotał.

Po tylu dniach nędzy i cierpień promyk szczęścia jaśniejszy rozpraszał otaczające go ciemności. Zwątpienie i rozpacz ustępywały miejsca wierze w lepszą przyszłość. Czyż mógł w takiej chwili wdawać się w kłótnię najgłupszą w świecie z przyczyny tak blahej i tak niedorzecznej?...

Czyż powinien był bez nader ważnych powodów narażać siebie na niepewne szanse pojedynku z jakimś nieznanym mu awanturnikiem?...

Nigdy, przenigdy! Święte obowiązki męża i ojca nie pozwalały mu szafować życiem lekkomyślnie, które było tak niezbędne dla Marty i Blanki.

Zresztą, Jan, nie przypuszczając ze strony Rodille'a żadnej myśli i celów ubocznych, czuł się winnym po trochu, że niechęć co prawda i bezwiednie, ale nie mniej potracił swojego gwałtownego napastnika.

Z tych wszystkich przyczyn i powodów stłumił gniew, którym wrzał cały.

Skłonił się Rodille'owi, który z jedną nogą naprzód wysuniętą, z ręką na szpadzie, z miną od stu dyabłów, stał w pozycji fanfarońskiej i zawadyackiej, jakby się gotował do ataku, i rzekł głosem drżącym:

— Żałuję panie oficerze, że roztargnienie mimowolne z mojej strony spowodowało zetknięcie między nami, któregoś pan padł ofiarą... Ani mi w myśli nie powstało pana obrażać, i przepraszam stokrotnie za moją nieuwagę; chociaż obraza tak bagatelna

i bezwiedna nie zasługiwała jeszcze na potok grubiaństw, któremi pan raczyłeś mnie tak hojnie obsypać.

Rodille stanął dęba, niby rumak ognisty, któremu jeździec niedoświadczony nadto ściąganie wędziło:

— Do kroćset sto tysięcy dyabłów! — krzyknął na cały głos — zdaje mi się mój paniczu, że na domiar wszystkiego pozwalasz sobie dawać mi nauki?!... Do pioruna! to już szczyt bezczelności... Jakiem szlachcie! tego ci błaznie jakiś, płazem nie puszcze!...

Vaubaron słuchał tych słów osłupiały, pytając w duchu, czy ma do czynienia z pijanym, czy po prostu z waryatem?

Rodille sypał dalej obelgami i grubiańskimi impertynencyami:

— Użyłem wobec ciebie wyrazów, których mi się użyć podobało, a skoro ich użyłem, musiały być stosowne i musiałeś na nie zasłużyć, mój paniczu!... Ktokolwiek śmie co innego utrzymywać, jest głupcem i bałwanem!... Słyszysz paniczu? Czy słyszysz? do stu piorunów!

Wszelka cierpliwość ludzka musi się kiedyś wyczerpać. Vaubaron czuł, że i jego jest na schyłku, że lada chwila weźmie górę żywość wrodzona i ze swojej strony wybuchnie. Nie chciał zaś, powtarzamy to raz jeszcze, nie chciał za żadną cenę do kłótni doprowadzać.

— Idź do diabła, waryacie! — mruknął pół-głosem. Następnie chciał umknąć z drogi awanturnikowi,

nie zważając na jego wrzaski i obelgi. Próbował zatem przebić się przez tłum, otaczający ich zwartymi szeregami.

Nie obliczył się jednak należycie z ciekawością, posuniętą do najwyższego okrucieństwa tych poczciwych Paryżanów, dla których wszystko się staje pożądanem widowiskiem; pijak chrapiący na śmieciisku, dwaj łobuzy wodzący się za łby, psiak, lub kot, tonący w Sekwanie...

Nikt się nie ruszył, nikomu się nie śniło, ustąpić ze stanowiska zajętego, choćby na pół cala. Klótnia między oficerem, a cywilem (galerya widzów, brała Rodilla za czystej krwi huzara,) była gratyską nie lada, czemś niezwykłym, a pełnem pieprzyku, za którym przepadają próżniaki i zbijobruki.

Vaubaron chcąc zerwać ten łańcuch z ciał żywych, byłby musiał użyć gwałtu niemal.

Rozdrażniony do najwyższego stopnia, namyślał się jeszcze, co czynić i na co się zdecydować. Rodille zaś tymczasem rozjuszony, zapieniony, z twarzą purpurową, z oczami krwią zabiegłymi, wrzeszczał ile mu gardła stało, miotając takie bezeceństwa, których nie śmielibyśmy nawet powtórzyć. Krzyknął nareszcie jak opętany:

— Durniu jakiś! jeżeli mam iść do dyabła, to wolę ciebie tam posłać, rozumiesz?!... Jutro nawlekę twoje cielsko na szpadę, jak kurcze na rożeń... a tymczasem masz na zadatek!...

Jednocześnie podniósł rękę, aby Vaubaron'a wypoliczkować. Ten wyglądał jak śmierć, blady, chwie-

jący się, nieprzytomny.

Ręka podniesiona, nie spadła jednak na twarz Jana.

Zagrożony zniewagą najstraszniejszą, mechanik ryknął głucho, a schwyciwszy rękę przeciwnika w powietrzu, wykrecił ją gwałtownie i nie puścił, póki nie odepchnął od siebie napastującego, całą siłą herkulesową, swoich muszkułów stalowych.

Rodille nie spodziewał się ataku tak potężnego. Tym razem byłby upadł na dobre, gdyby pierwszy rząd widzów tłoczących się, nie był go podtrzymywał, niby mur żywy.

Zdawał się bliski wściekłości. Z twarzą kurczowo wykrzywioną, zgrzytając zębami jak zwierzę drapieżny, z pjaną na ustach, rzucił się powtórnie na Vaubaron'a, ale tym razem nie godząc w twarz, tylko prosto w piersi.

I Jan był gotów. Wszczęła się tedy walka nie na żarty.

## XV.

Tłum zaciekawiony, a tłoczący się coraz gęściej w koło dwóch przeciwników, oczekiwał na widowisko niesłychanie wzruszające. Widzowie liczyli na scenę, w rodzaju owych sławnych *Bosce*'ów angielskich, tak wysoko cenionych przez cokneys'ów londyńskich; obliczali z góry ile zębów wyleci, ile będzie żeber połamanych, i czy bodaj jedno oko nie wypłynie!

Ta nadzieja słuszna zupełnie i sprawiedliwa, miała być tym razem najfatalniej zawiedziona.

Walka na pięście, rozpoczęta tak gwałtownie

skończyła się w oka mgnieniu, i to z woli samego napastnika.

Skoro porwał w pól Jana, jakby chciał całą siłą podnieść go i rzucić o ziemię, Rodille puścił go i w tył odskoczył.

Vaubaron spodziewał się powtórnego ataku, i stanął w pozyceyi odpornej. Atak jednak już się nie powtórzył.

— Na prawdę! — Rodille machnął ręką lekceważąco — istny waryat ze mnie, żeby wdawać się w kłótnię publicznie z tym gburem, i bić się z nim na pięście jak jaki łobuz!... Jeżeli cymbał uważa się za obrażonego, niech się zgłosi do mnie, a uczynię mu ten zaszczyt, i raczę zmierzyć się z nim na szpady, lub z pistoletem w dłoni!... Oto mój aderes, i moje nazwisko!...

To mówiąc, Rodille wyjął z kieszeni pularesik złotem haftowany, o którym wspomnieliśmy już wyżej. Rzucił bilet z herbem i koroną margrabiowską pod nogi Janowi, wykręcił się na pięcie, tak po pańsku, przyczem zrobił ruch tak rozkazujący, że mur żywy natychmiast się przed nim rozтворzył, i on znikł w tłumie.

W chwilę później wynosił się cichaczem, z obrębu ogrodu i zabudowań w Palais - Royal, idąc szybko ku ulicy Valois, wtedy prawie nie oświetlonej, i tonącej w wiecznych ciemnościach.

Zaledwie uszedł ze dwadzieścia kroków, usłyszał za sobą nawoływanie cichuteńkie, widocznie li dla jego uszów przeznaczone:

— Pst! pst! pst!...

Staął.

Długonogi zrównał się z nim natychmiast.

— Ejże! — Rodille uśmiechnął się drwiąco — jak uważam, miałeś mnie na oku...

— Naturalnie, mistrzu!... Nadto mi wiele na tem zależało, żeby kształcił się dalej w twojej szkole niezrównanej!

— A w dodatku... wziąć procent obiecany? — Rodille spytał ironicznie.

— Zapewne... po trochę i dla tego... ale głównie, aby ci mistrzu pogratulować z zapałem i najszczerzej!... Jak mnie długo noszą moje szczydła, nie podobnego nie widziałem!... Oslupiałem, zgłupiałem po prostu z podziwu!... Wytrzeszczałem oczy... byłem na to przygotowany... a jednak nie widziałem... I nieboszczyk Pineti, byłby tego lepiej nie wykonał!... Do stu dyabłów!... z pana mistrz nad mistrzami!... Tracę niemal nadzieję... ja Długonogi!... żebyś kiedy doszedł do podobnej doskonałości!...

— I masz słusność zupełną! — Rodille wyduł z dumą usta — nie mam, i mieć nie będę rywala pod tym względem!... Tu masz twoje cztery luidory, a w dodatku piąty, który oddasz Larifle'rowi.

— Dzięki stokrotne, mistrzu!... Oddam mu z wszelką uczciwością!... Ale, ale, chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie...

— Tylko śmiało!... być może, że ci na nie odpowiem...

— Dla czego, atakowałeś tego dudka powtórnie?... Gdys go odepchnął tak gwałtownie, byłem pewny że interes już u ciebie w kieszeni, i dziwiłem się,

po co rzucasz się na biedaka, który nie miał wcale ochoty, stawać do walki.

— Głupiec z ciebie, po prostu!...

— Hm! hm! i to możebne!...

— Powinien byłeś zrozumieć, nie pytając mnie o to, że mi się sztuczka za pierwszym atakiem nie udała, i że byłem zmuszony udać, iż chwytam za bary mojego przeciwnika, aby go zwalić na ziemię... Tymczasem, naiwny i dziecinny debiutańcie, dobranoc!... Jutro wieczór bądź o tej samej godzinie w Palais - Royal... i ja tam będę prawdopodobnie...

Debiutant w złodziejstwa nauce wyzwolonej, powrócił do ogrodu w Palais - Royal, zakrećiwszy się tędy i owędy, na wzór lisa, który nigdy prosto do nory nie wejdzie, aby zmylić trop. I Rodille zrobił tak samo, zanim wrócił do owej izby z kostiumami, gdzie go zostawimy tymczasem.

My teraz pójdziemy za Vaubaronem.

Skoro młody mechanik pozbył się napastnika, przestał być przedmiotem budzącym ciekawość. Tłum rozszedł się natychmiast, nie bez skarg i głośnych wyrzekań, że widowisko trwało tak krótko i zakończyło się tak niezadawalniająco.

Vaubaron nie zadał sobie nawet trudu, podnieść bilet pod nogi ciśnięty. Co go obchodziło nazwisko tego waryata złośliwego, którego radby był więcej w życiu całem nie spotkać?

— Co za głupia i śmieszna awantura — mrucał wychodząc z ogrodu. — Spadło to na mnie niespodziewanie, niby piorun z jasnego nieba! Czas był wielki, żeby się to skończyło!... Passya mnie wściekla

porywała... Jestem o połowę silniejszy od tego gągatka wymuskanego.... byłbym go jeszcze ubił do licha!...

Jan mówiąc o swojej sile, uczuł się jednak niesłychanie osłabionym. Przed chwilą gniew i oburzenie podniecały go sztucznie, reakcyja atoli była nieuniknioną, nerwy nadto rozdrażnione musiały w końcu omdleć niemal. Nogi pod nim drżały, włókł się za ledwie.

— Tym sposobem do jutra nie zajdę — szepnął — a tak mi spieszno.

Przypomniawszy sobie że jest bogatym; a przecież zawahał się, czy wziąć fiakra, czy nie? Wydatek jednak, który miał go prędzej połączyć z żoną i córką, wydał mu się dozwolonym i sprawiedliwym.

Skinął zatem na jednego z fiakrów stojących na placu przed ogrodem, i podał mu adres ulicy Pas-de-la-Mule.

Powóz ruszył z miejsca. Jan wcisnął się w kąt powozu, snując dalej rokoszne marzenia, przerwane tak niefortunnie przez ową znaną nam głupią napaść na gładkiej drodze.

Patrząc w przyszłość przez pryzmat czarownicy, zebrała go ochota popieścić się z paczką banknotów służącą za podstawę tyłu błogich nadziei...

Ręką prawą sięgnął w zanadrze, do bocznej kieszeni w surducie. Ręka natrafiła tam na próżnię zupełną...

Byłoto uczucie piekielne, przerażające! Vaubaron zatrząsł się od stóp aż do głowy; włosy mu się zjeżyły i pot zimny na czoło wystąpił... Cała budowa



rudowna rozsypywała się w gruzy! Z wyżyn ulud niebiańskich spadał w otchłań rozpaczy najczarniejszej!...

Przez kilka sekund próbował walczyć z rzeczywistością straszną, ale nie mniej namacalną.

— To być nie może! — szeptał głucho. — Te dziesięć tysięcy... miałem tu!... Nie zgubiłem... nie mogli mi ich ukraść z zanadru!... Myle się zapewne... nie pamiętam... są w innej kieszeni...

Ludził sam siebie, nie wierząc w to co mówi... Szukał jednak, macał, przewracał wszystkie kieszenie, z razu zwołna, szczegółowo, potem gwałtownie, z wściekłością.

Nie nie znalazł, prócz w kamizelce owych trzynaście sztuk złota, dodatek do dziesięciu tysięcy.

Tych trzynaście luidorów było dowodem namacalnym, że mu się to wszystko nie przyśniło, że był rzeczywiście w posiadaniu sumy olbrzymiej, jak dla niego, i że ją zabrać pozwolił!

Wyobraźmy sobie na śmierć skazanego, któremu zapowiedziano łaskę monarszą i zupełne kary odpuśczenie. Nie posiada się z radości, upojony odchodzi od zmysłów. W tem dowiaduje się o fatalnej pomyłce, i widzi nagle przed sobą haniebne rusztowanie, i zamiast wolności, kata z toporem nad głową.

W takim samym położeniu znajdował się Vaubaron, bo choć jego własne życie nie było zagrożone, ale drzał o życie żony i córki, droższych mu nad wszystko!

Upadł na duchu straszliwie, rozpaczliwie. Krótko

jednak trwało to moralne i fizyczne ubezwładnienie. Nastąpiła gwałtowna reakcja; odzyskał energię gorączkową. Uczuł na nowo silną i niczem niezłamaną wolę.

Zapukał w okno. Fiakier konie zatrzymał.

— Co pan rozkaże?

— Wracamy nazad...

— A dokąd?

— Do Palais-Royal...

— Aha... jużesmy jak w domu!...

I powóz zawrócił na to samo miejsce skąd wyjechał.

— Wygrałem raz... wygram powtórnie! — mówił w duchu Vaubaron. — Traf szczęśliwy znowu mi dopisze... Cel mój nadto wielki, nadto święty!... Bóg sam, bez wątpienia, zechce mi dopomózz...

W kwadrans, szedł po tych samych wschodach, ale już śmiało, z miną rezolutną, jak ktoś obeznany z miejscowością. Kapeluszz oddał sam lokajowi, i przestąpił powtórnie próg jaskini iście zbójeckiej.

Piękności podstarzałe i wymalowane, zajęte przy rulecie i zielonym stoliku, poznały natychmiast gracza szczęśliwego, a nie wiedząc o fatalnym wypadku z dziesięcioma tysiącami, powitały go uśmiechem najzalomniejszym, równocześnie zerkając złośliwie ku krupierom, jakby im z góry obiecywały odzyskanie sumy przed chwilą wygranej.

Vaubaron tym razem chciał wygrać prędko i wiele.

Nie będziemy opowiadali szczegółowo gry zwrotów nieszczęsnych. Gdy przegrał dwanaście sztuk

złota, ostatniego ludora zmieniał na dobrą monetę...  
i tę ruleta pochłoneła...

Gdy ostatni grosz przegrał, Vaubaron ścisnął głowę oburącz jakby się bał, że mu rozpaczą mózgu rozsądzi, twarz mu wykrzywił kurecz konwulsyjny, i wyszedł ze sali...

Szedł na pozór spokojnie, ale tak dziwny i straszny uśmiech igrał mu na ustach drgających, jakby był bliżki szaleństwa, lub miał zostać na wieki idyotą...

## XVI.

Paryż z roku 1830go, nie był w niczem podobny, do Paryża za dni naszych.

Aleja w Neuilly zaczęła się od rogatki de Etoile, i wlokła się pustką pomiędzy dwoma rzędami starych wiaźów.

Zaledwie gdzie niegdzie, wśród tumanów pyłu lub brnąc w błocie po kolana, według atmosfery, widziało się liche domy, wyglądające straszno i ponuro, po większej części z szynkami na dole.

Na samym początku alei, stały dwa domki obok siebie, niby para bliźniąt; trochę lepiej zbudowane i nie wyglądające tak odstraszaingly, jak reszta zabudowań na tej ulicy.

Każdy z domów miał dół i piąterko. Na dole dwa okna i drzwi wehodowe, na górze trzy okna. Całe sztaby żelazne, w mur głęboko wpuszczane, strzegły drzwi i okien od wszelkiego napadu na zewnątrz.

Wiedziano mniej więcej, do kogo obydwie domy

należą, właściciela jednak nikt nigdy nie oglądał. Jeden z domów stał wiecznie pustką. Z dawien dawna nie zapamiętano, żeby kto kiedy wchodził do niego.

Czasem jednak wśród nocnych ciemności, niby błady światła promyczek wykradał się przez okien szczeliny. Czasem bardzo spóźnieni przechodnie słyszeli jakby lekkie do drzwi pukanie, a wtedy drzwi ciężko okute i wielkimi goździami żelaznymi poobijane zaskrzypiały głucho na zawiasach zardzewiałych. Przechodnie tedy jednak rzadko kiedy się snuli; bądź dobrze podchmieleni, a wtedy wszystko brali za halucynację po licznych libacyach; bądź też spieszyli się do domu, nie zwracając uwagi na dwa domy stojące na uboczu.

Zegar najbliższy od alei w Neuilly wydzwonił pół do dziewiątej.

Niebo dotąd czyste i gwiazdami świecące zaczęło się zaciągać ehmurami szaremi i olbrzymiemi, które wichur gwałtowny pędził przed sobą. Stare wiązy drżały, jakby ze strachu przed burzą nadchodzącą. Już spadło kilka kropel deszczu, zapowiadając ulewę.

Jedna z owych dorożek wązkich a długich z ławeczką, łączącą siedzenie tylne z przednim, jakiej by już obecnie nie znalazł ze świecą w całym Paryżu, pędziła galopem ku dwom domkom, stojącym na uboczu. Nakoniec zatrzymała się. Koń zmęczony i zbity zaledwie stał na drżących nogach; z dorożki wysiadł jakiś mężczyzna, zapłacił sownie stangretowi i poszedł w przeciwnym kierunku, póki tylko

dochodził go turkot powozu zwolna odjeżdżającego. Wtedy nazad zawrócił, pilnie śledząc i nad słuchując czy kto nie nadchodzi. Zapewniwszy się że głucho i pusto w okolo, dobył klucz z kieszeni, wsunął w zamek owych drzwi, które jak wieść niesła nikt nigdy nie otwierał i wszedł szybko do środka.

Jakkolwiek czarne chmury zaciemniały widnokrąg, a rzadko rozrzucone rewerberie bardzo niedostatecznie aleję oświetlały, niby robaczki świętojańskie, błyszcząc gdzieniegdzie; w obec ciemności egipskich, które wewnątrz domu panowały, były niemal jasnością.

Mężczyzna, który był wysiadł z dorożki, poszukał w kieszeni owego przyrządu z fosforem, wynalezione go przez Fumad'a. Był on wtedy modnym i wziętym niesłychanie. Zanurzył we flaszeczkę małą drewnianą, i przytknął do płomyka niebieskawego rodzaju nitki woskiem oblepionej, którą nazywano pospolicie szczurem piwnicznym. Z tem światełkiem wszedł do dużej izby ze ścianami drzewem wykładanymi, która większą połowę dołu zajmowała.

Wewnątrz były okiennice materacami wyłożone i z grubymi wełnianymi frankami, zapuszczonemi w obu oknach ze zbyt ostrożności, aby ani promyk światła nie mógł się wydobyć na ulicę.

Osobistość, którą zajmujemy się chwilowo, zbliżyła się do kominka, zapalając dwa podwójne kandelabry na nim stojące.

Tą osobistością był znowu Rodille; nie Rodille-Werner, zjadający obiad w restauracyi, nie Rodille-

hużar, napastujący Vaubaron'a w Palais-Royal, i nie ów Rodille naturalny, bez żadnej aprety w pokoju z kostyumami; tylko Rodille, poczciwy przedmieszczanin, lat pięćdziesięciu, z czupryną szpakowatą, z fizyonomią uczciwą i glupkowatą.

Na odsadzie marmurowej nad kominkiem były rozrzucone rozmaite flaszeczki, słoiki, szczotki i penzle. I tu stało przed kominkiem ruchome zwierciadło.

Rodille otworzył wielką skrzynię umieszczoną w rogu pokoju i wyciągnął z niej rodzaj szlafroka, z materyi w duże kwiaty, który musiał pochodzić co najmniej z połowy wieku XVIII. Wyjął również pudełko, w którem była broda siwawa, spiczasta, i jedna z tych peruk teatralnych, przeznaczonych do ról starców, z czaszką zupełnie łysą od czoła, a tylko na skroniach i nad karkiem przykrytą kilkoma kosmykami włosów brudno siwych i rozstrzępionych.

Wydobywszy te wszystkie przedmioty, stanął przed zwierciadłem, zdjął wojskową krawatę, przywdział szlafrok starożytny, zasadził perukę, przyczepił brodę i zaczął się grymować, jak mówią za kulisami.

Rodille był w tej sztuce, (jak już wiemy) mistrzem niezrównanym. Kilka minut wystarczyło mu, aby osiągnąć rezultat niesłychany. Jednem pociągnięciem penzla złączył czoło prawdziwe z czaszką przyprawioną; kilka sztrychów farbą czarną i czerwona zagłębiło oczy, wychudziło policzki i twarz poorzało zmarszczkami głębokimi; słowem: młody, trzydziestoletni człowiek zmienił się niemal w starca stuletniego.

Tego dzieła dokonawszy, Rodille wziął w rękę jeden z kandelabrow, zbliżył się do ściany i pocisnął guzik stalowy w jednej z desek zręcznie ukryty. Deska usunęła się natychmiast bez szelestu, odsłaniając otwór, którym można się było zaledwie przecisnąć. Rodille puścił się tedy bez wahania, i znalazł się w drugiej izbie, tych rozmiarów co pierwsza. Ta stanowiła dół domu sąsiedniego. Była przedzielona na dwie równe połowy kratą z drutu, bardzo gęstą, którą łączyły i podtrzymywały słupy dębowe, idące od sufitu aż do posadzki. Ta kratka dochodziła aż do bramy od alei Neuilly, którą to bramę można było otworzyć i zamknąć za pomocą sprężyny, nie wychodząc z poza parawanu ochronnego z tkaniny drucianej.

Firanka zielona, zupełnie nieprzeźroczysta zabezpieczała od spojrzeń ciekawych ten rodzaj klatki, z dwoma małemi otworami po środku.

Poza temi otworami, po stronie zajętej przez Rodilla, stało biuro starożytne, pokryte skórą czerwona i mieszczące na sobie lampkę niewielką, ważki z mosiądzu, takie jakich się używa do ważenia złota i drogich kamieni; dwie pary pistoletów i miseczkę drewnianą.

To biuro i duże krzesło poręczowe, na pół zmorszałe, stanowiły całe umeblowanie. Z tamtej strony kraty było pusto zupełnie, nawet ani jedno krzesło nie stało, na któremby usiąść można.

Rodille zapalił małą lampkę, okrywając umbrą zieloną, aby zmniejszyć blask tejże. Świece w kandelabrze pogasił i z kolei opatrzył cztery pistolety.

Zapewnił się że kurki chodzą lekko, a proch na panewkach nie zwilgotniał.

Ukończywszy z zadowoleniem to badanie, wyjął z kieszeni paczkę sporą banknotów, a na miseczkę wysypał kilka rulonów złota. Spojrzał teraz na zegarek. Wskazywał godzinę dziesiątą bez pięciu minut.

Upadł na krzesło i mruknął:

— Wszystko w porządku. Trójka hultajska może teraz przyjść, kiedy zechce.

Musimy wstecz się cofnąć i zastanowić szczegółowo nad przeszłością, nawyczkami, usposobieniem i zdolnościami osobistości niezwyczajnej, którą na scenę wprowadzamy, i która ma odegrać główną rolę w naszym najprawdziwszym opowiadaniu.

Czy ów człowiek miał na pewno lat trzydzieści? Czy na prawdę nazywał się Rodille? Na te pytania nie moglibyśmy kategorycznie i bez zawahania odpowiedzieć. Możemy tylko zaręczyć, że przed laty dwunastu, był zasądzony na dwuletnie więzienie; kara jedyna jaka go dosięgnąć potrafiła.

Wszedłszy do więzienia głównego w Poissy, z zarodem wszelkich najgorszych instynktów, które miały w przyszłości, tak bujnie się rozwinąć, wyszedł po odsiedzeniu kary z doświadczeniem, determinacją, sztuczkami i wykrętami, lotra skończonego.

Nie można zresztą mięszać Rodilla i kłaść na jednej szali ze zgrają lotrów i złodziejów pospoliczych, którzy grasują po całym Paryżu. W tej szajce złodziejskiej, młody człowiek dochodził do rozmiarów olbrzymich, prawie myślą nieobjętych.



Miał on dużo oglądy, a nawet pewien rodzaj wykształcenia, które samemu sobie zawdzięczał. Jego energja, siła woli wyższa, niemal gienjalna inteligencja, mogły być zrobić z niego na prawdę znakomitość, gdyby te dary i zdolności był zwrócił ku dobremu.

Niesłychanie dumny i ambitny, życie codzienne, życie ogółu, dobijającego się zwolna i z ciężką pracą stanowiska, uważał za coś nieznosnego i wstrętnego. On marzył o majątku milionowym; nieraz przysięgał sam przed sobą, że te miliony zdobędzie za jaką bądź cenę! Aby dojść prędejj do celu, do którego rwał się całą duszą, nie cofał się przed niczem. Zabić człowieka, czy sforsować zamek przy kasie z pieniędzmi, było mu rzeczą zupełnie obojętną! Chciwość robiła go zajadłym okrutnikiem. Dwa razy już ręce jego krew ludzką przelały i za każdym razem potrafił zrzucić z siebie, choćby cień podejrzenia.

Złodziej, rozbójnik i przechowywacz jednocześnie rzeczy kradzionych, był w spółce z całą szajką łotrów, których gnębił, wyzyskiwał najhaniebniej, ale którzy go ślepo słuchali. Nikt bo nie potrafił, z równą jemu zręcznością i biegłością, uplanować jakiś napad rozbójniczy, lub mniejszą wycieczkę złodziejską, pokombinować wszystko, niby autor najslawniejszy, układający sceny, potrafił z równą wprawą i doskonałością zbić z tropu policję, skierować jej całą uwagę na zupełnie niewinnych, pod fałszywemi a niemniej łudzącemi prawdą pozorami i poszlakami, które ma się rozumieć, przygotowywał

od dawna, zanim zbrodnia została spełnioną.

Rodille w myśl pewnego systemu, podług którego działał bez przerwy, a który okazywał się w rezultacie najpraktyczniejszym, stworzył sobie cały szereg typów, zupełnie odrębnych, zupełnie odmiennych jeden od drugiego. Ostrożności, które lotry pospolicie używają w obec oka sokolego agentów policyjnych, on używał w obec własnych swoich agentów i współników.

Żaden z hultajów, z którymi spotykał się niemal codziennie, nie znał jego nazwiska prawdziwego, ani twarzy naturalnej, ani gdzie mieszka właściwie. Dla jednych był Niemcem Wernerem, dla drugich huzarem zawadyjką, panem Augustem, dla innych ojcem Legrip'em i tysiącem coraz odmiennych osobistości...

Nikomu się nie przyśniło nawet, że te wszystkie niezliczone typy wcielają się niejako w jednego człowieka nazwiskiem Rodille'a.

Jeżeli sobie przypomniemy, iż najczęściej złoczyńcy, wydają jedni drugich policyi, skoro mają nadzieję otrzymać pewną ulgę w wyroku przez zeznania szczere i pożyteczne, musimy przyznać, że Rodille tą ostrożnością umiał zasłonić się przewybornie przed zdradą i wszelkiego rodzaju denuncyacją...

Jak go opisać? gdzie go znaleźć?

Zmienny i odnawiający się jak Prometeusz, był jak on nieuchwytnym.

Dziesiąta uderzyła.

Jeszcze nie przebrzmiał w powietrzu dźwięk ze-

gara, gdy zapukano trzy razy w sposób niezwykle do bramy jednego z domów, przy ulicy Neuilly.

Rodille drgnął.

Zerwał się z krzesła, porwał z biurka pistolet z kurkiem odwiedzionym i posunął się ku drzwiom głównym.

Tu wysunął rękę prawą przez otwór w siatce drucianej, i pocisnął palcem jeden z ogromnych goździ zardzewiałych, któremi drzwi były najeżone tak na wewnątrz jak i na zewnątrz.

Dał się słyszeć trzask suchy i u góry ukazał się mały otwór okrągły.

Noć ciemna nie dozwalała patrzeć przez to okienko, ale głos choć przyciszony, wychodził niem wyśmienicie.

— Kto tam puka tak późno? i czego tłucze się jak puhacz po nocy? — spytał Rodille, naśladując nieźrównanie głos ochryply i trzęsący starca stu-letniego. — Kim jesteś i czego żądasz?

## XVII.

Chwila milczenia nastąpiła po pytaniu.

— Kto tam? i czego chce? — Rodille powtórzył głośniejsz, zbliżając usta do samego otworu.

— Przyjaciół, dobry przyjaciel, kochany panie Legrip — odezwał się wreszcie głos przykry, wrzaskliwy, który nadaremnie starał się przybrać ton cokolwiek łagodniejszy. — Przyjaciół który przychodzi w interesie...

— Przyjaciół mają przecież nazwiska... wymienić twoje...

— Wicherek...

— At! to ty mój chlopcze! No!... No!... Czyś sam jeden?

— Mam ze sobą dwóch koleżków...

— Wiesz iż z zasady nie przyjmuję nigdy tylko po jednym...

— Wiemy o tem doskonale!... ale tak się już umówiliśmy, że ja pójdę pierwszy...

— Zaczekaj, idę otworzyć...

Sznur gruby na wzór tych, które wiszą w lożach odźwiernych, był tuż pod ręką Rodille'a. Pociągnął i drzwi się otwarły, a raczej troszkę tylko się odchyliły, tyle, ile było potrzeba, aby się mógł przecisnąć jeden człowiek.

Wicherek wśliznął się jak piskorz i wszedł do izby. Drzwi sprężyną popchnięte, zatrzasnęły się same ze siebie.

Rodille tymczasem już był zasiadł na krześle za biurkiem, naprzeciw dwóch okienek w kracie.

Wicherek, był to chłopak młodzusiutki, cieńki jak szparag, z pyszczkiem wązkim jak u lasicy. Włos płowy, a oczy małe świdrowate, otoczone czerwoną obwódką, podwajały jeszcze jego podobieństwo z tem stworzeńkiem, któreśmy wymienili. Mógł śmiało pozować malarzowi jako typ niezrównany gamin'a paryskiego, w całej tegoż brzydocie tradycyjalnej.

— Czemu mam przypisać zaszczyt twoich odwiedzin, mój zacny kawalerze? — spytał Rodille drwiąco.

— Ejże! Ejże! — wykrzyknął młody zbój w oslu-

pieniu. — Toś pan dziś się nie widział z Richard'em?

— I owszem... widziałem go.

— W takim razie, musiał panu oznajmić, iż przeszłej nocy pracowałem, z dość dobrem powodzeniem.

— W rzeczy samej... coś mi o tem napomknął.

— W skutek czego, przychodzę do pana, kochany tatku Legrip — paplał dalej Wicherek — aby pomacać trochę pieniążków!...

— Nie będziemy odtąd robili ze sobą interesów, mój kawalerze! — Rodille sucho dorzucił.

— Oho!... a to dla czego?

— Nic nie kupuję... przynajmniej nie od ciebie...

— Co też pan mówisz, papo Legrip?

— Prawdę...

— Czyżbym miał nieszczęście, pana czem obrazić, lub mu się niepodobać? To z pewnością niechęący!

— Popelnileś tę kolosalną nedorzecznosc i wspomniałeś Richard'owi, że jeżeli nie skończę z wami dziś wieczór interesu, udacie się gdzie indziej... Proszę... Proszę! proszę! szczęśliwej drogi!... Wolna wola!... ja gwałtem nikogo nie siłuję i nie zatrzymuję... Udajcie się do kogo chcecie, skoro możecie się obejść bezemnie!...

— Kochany papo Legrip!... zaczął Wicherek żałośliwie.

— Dość tych deklamacyi!... szkoda czasu! — przerwał mu szorstko Rodille. Dobranoc!

— Ale mnie to ani w głowie nie powstało, o

czem wspomniałem Richard'owi!

— To nie było wspominać...

— Gotów jestem przyznać, żem pañnął wielkie głupstwo...

— Może pierwszy raz w życiu łobuzie, powiesz szczerą prawdę...

— Ja tak pana kocham, papo Legrip, że robiłem z tobą interes, byle mieć przyjemność pana zobaczyć!

— Pokornie dziękuję, za tę wielką łaskę!

— Przysięgam, że nigdy nikomu nie sprzedam, choćby pół koleczyka odłamanego, choćby mi ten drugi dawał dubelt tyle co mi pan płacisz!

— Czy to mówisz na seryo, łobuzie?

— Wicherek nigdy nie okłamuje swoich przyjaciół! — uderzył się w piersi patetycznie.

— No! tem mnie trochę udobruchałeś...

— Tatku! tatuńciu rodzony!... dobryś jak sam Pan Bóg!...

— Gdzież przedmioty?... pokaż co masz!...

— Oto jest wszystko!

Wicherek wyjął z zanadru spore zawiniątko, związane na krzyż w chustkę od nosa kolorową, w duże kraty. Rozwiązał węzłki i zaczął rozkładać na półeczkach, przybitych po jego stronie pod otworami w siatce, klejnoty rozmaite: Kolię z brylantów, bransolety, pierścienie, breloki od zegarka, koleczyki, wszystkie wysadzone drogiemi kamieniami lub brylantami.

Rodille brał w ręce jeden kawałek po drugim, obracając pod światłem lampy. Brylanty, rubiny

i topazy rzucały w koło promienie tęczowe. Potem zebrał razem przedmioty li ze złota i zważył na wążkach dokładnie.

— Cóż chcesz za to wszystko? — spytał obojętnie, skończywszy egzamin ścisły.

— Ba! — Wicherek strzepnął palcami — zdaje mi się, że to warte ładną sumkę!

— Naprzykład?

— No!... co najmniej dziesięć tysięcy franków...

Falszywy papa Legrip parsknął śmiechem ochryplym, przerywanym kaszlem astmatycznym, po za swoją firanką zieloną, która go zasłaniała przed wzrokiem ciekawych.

— Tylko dziesięć tysięcy!... — powtórzył zanosząc się od śmiechu. — Ejże! żądasz dziesięć tysięcy?... Czemu nie milion od razu, skoro ci tak dobrze idzie?... Ciebie by to nic więcej nie kosztowało!... Zabierz sobie, mój chłopcze, te rupiecie i zanieś do takich poczciwców, którzy ci za nie dadzą dziesięć tysięcy!

Młody złodziej zdawał się tem wielce zdemoralizowany i zafrasowany.

— No!... ale to przecież coś warte! — mruknął, skrobiąc się w głowę.

— Oh! niewątpliwie. Tylko to coś nie zgadza się z sumą przez ciebie podaną.

— Ileż pan daje?

— Trzy tysiące franków...

— Dyabelnie mało!...

— Daję jeszcze za wiele!... Ryzykuję okropnie!... Aby się pozbyć tych klejnotów, muszę je posłać

za granicę... Co do złota, jest to taka mieszanina metalów rozmaitych, że właściwie mniej warte niż szczerze srebro... Wierz mi chłopcze, że robiąc ten interes, narażam się na wielkie straty!...

— Bodajbyś pękł, stary, szachraju! — syknął Wicherek przez zęby zaciśnięte, krzywiąc się przytem jak istny Urangutan!

— I cóż? zrobimy interes? — spytał Rodille drwiąco.

— Ha! Czyż zawsze nie musimy brać tego, co nam pan daje? — mruknął Wicherek. — Przyjmuję owe nędzne trzy tysiące!

— W banknotach, czy w złocie?

— Wolę złoto... Tak jakoś dźwięk jego miło łaskocze... Zresztą mniej kompromituje niż bardzo wysokie banknoty...

— Oto masz!

— Dziękuję... Jeden z nas dziś tego zarobił, p a p o Legrip... ale nie ja w każdym razie!...

— Niewdzięczniku!... Jestem waszym dobrodziejem, bezemnie cóżbyście znaczyli na świecie?... i z tego tytułu żądam mojego procentu.

— Jakiego?...

— Jak zawsze, wiadomości o jakim dobrym interesie do zrobienia... Wspomniałbym o tem panu Wernerowi, a to człowiek zręczności niezrównanej, co się tyczy podobnych operacyj finansowych... Zrobi wam planik cudowny, który musi się udać... a ja go wam poszlę przez Richard'a.

— Radbym panu w tem dogodzić, kochany p a p o Legrip, ale co niemożliwe, to się o to i kusić da-



remnie! Chwilowo nie mam niczego pod ręką...

— Ejże! na prawdę!

— Daję słowo honoru! Jakiem szlachcie!

— Co tyle znaczy, że chcesz przejeść trzy tysiące w rozpuście i próżniactwie... puścić je na rozmaite bombanse i hulatyki...

— Dalibóg prawda! papo Legrip...

— Nieszczęśliwy chłopcze, żal mi cię serdecznie!

— Dla czegoż to?

— Jesteś na złej drodze!... Nie masz zamiłowania w twojej sztuce... Pijatyką i życiem hulaszczem zatracisz jasność twojego umysłu i wyjdiesz z wprawy. Ręce ci będą drżały, nogi przestaną być elastyczne...

— Ba! wszystko to się znajdzie, gdy będzie czas i sposobność po temu... Dobranoc, papo Legrip... Do szczęśliwego zobaczyska! i żebyś pan był mniej twardym przy najbliższym interesie!...

— Dobranoc, chłopcze kochany!... Poczekaj, zaraz ci otworzę... Ale, ale, wszak Miodzius i Rypcio mają czekać na dworze?...

— We własnej osobie... jak ich Pan Bóg stworzył!

— A więc niech jeden z nich wejdzie...

Wicherek wyszedł a na jego miejsce wsunął się Miodzius.

Ten „poczeiwy chłopiec“ (jak się Rodille wyrażał) był to drymbłas lat trzydziestu, tak tęgi, zwalisty, smagły i z czupryną czarną jak smoła, o ile Wicherek był rudy, maleńki i szczupły. Miał brwi czarne, nastrzępione, czoło niskie i zarośnięte włosiem gęstym i twardym; a naokoło twarzy ogro-

mne czarne faworyty.

Skąd pochodziło przezwisko Miodzius, nie licujące z jego siłą herkulesową?

Po prostu z dziwnej słodyczy i miękkości jego organu cieniutkiego soprana, melodyjnego i wychodzącego z gardła jakby wyklejonego aksamitem. Wyglądało to tak, jakby tony fletowe, wydobywały się z paszczy miedzianej trąby.

Mówiąc o tym jego dziwnym głosie, towarzysze tego zbója setnego, nie sto razy wykrzyknęli! Gada słodko jak miód! — Stąd urosło przezwisko Miodzius.

Wiemy już, że tym razem łotr ów, nie wiele przynosił.

Z nim, rachunek gładko poszedł. Dostał w łapę ośmset franków i wyszedł, opowiedziawszy szczegółowo, o pewnem małym złodziejstwie, które nie obiecywało wielkich zysków.

Rypcio, ostatni z trójki hultajskiej wszedł po nim.

Ten trzeci szubiennik, był dość przystojny. Zakrawał też na eleganta, nie nosił bluzy jak jego koledzy, pogardzał fajką na krótkim cybuszku, i palił tylko cygara. Zresztą złodziej zuchwały co się zowie i na wszystko zdeterminowany, wyszukiwał ze szczególnem amatorstwem, ekspedycje najbardziej hazardowne i najeżone niebezpiecznemi przeszkodami, nie wahał się włamywać do pałacu pełnego służby, lub do hotelu zamieszkałego od góry do dołu.

Rypcio wszedł z miną tryumfatora.

Zbliżył się do jednego z otworów, kołyszac się z gracyą tanemistrza, z boku na bok i rzekł tonem

śmiałym, w niczem nie podobnym do bojaźliwości i pokory, z jaką wchodzili do tego Sanctoirium dwaj pierwsi złodzieje.

— Dzieńdobry, p a p o Legrip!... przynoszę ci coś rarytnego!... C a c a!... Powiadam panu, choć żyjesz lata Matuzalowe, jeszcześ nie widział nic podobnego!... Musisz dobrze worek pocisnąć i nasypać mi całą kupę żółto brzusków! He! he! he!

— No! no!... dobrze... dobrze... zaraz o tem pogadamy... tylkoż wyjedź już raz, z temi cudami.

— Że cuda, to cuda! ani gadania! Oto są!

Rypcio wydobyl z kieszeni dwa pudełka z klejnotami. Jedno było ponsowe aksamitne, drugie oklejone juchtem rosyjskim. Na jednym i na drugim, były cyfry złote, z mitrą księżęcą.

Wiemy już skąd pudełka pochodziły i co zawierały.

Zniknęły za zieloną firanką.

— P a p o Legrip! — Rypcio rzekł tonem stanowczym — uprzedzam, że za garnitur z rubinami żądam ośm tysięcy, a za szafiry siedm, razem piętnaście tysięcy franków... Nie spuszcze z tej ceny ani jednego franka! Macie wóz i przewóz!...

P a p a Legrip milczał jak zaklęty.

Chwilę trwała cisza głucha, potem zazgrzytała sucho, piłka stalowa jak gdy nią się atakuje ciało bardzo twarde, które opiera się jej zwycięzko.

— Tam do dyabła! — Rypcio zaniepokojony, pochylił się nad otworem, nie mogąc jednak zaspokoić swojej ciekawości. — Przy czem tak majstrujecie, p a p o Legrip?

Za całą odpowiedź, rozległ się na nowo ów wybuch śmiechu, drżącego, połączonego z kaszlem, z którym jużesmy się zapoznali, i zgrzyt pilki, odezwał się z podwojoną zaciekłością.

— Do stu piorunów! — huknął lotr, u którego zdziwienie, zaczynało się w gniew przemieniać. — Nie sędzę, p a p o Legrip, żebyście mi chcieli psuć moje klejnoty!...

Zaledwie skończył te słowa, oba pudełka otwarte, pojawiły się nazad na półeczce:

— Oto są twoje cuda!... twoje klejnoty!... — Rodille śmiał się w najlepsze, śmiechem starca stu-letniego. — Masz!... masz!... oddaję ci je nietknięte!... Śliczności!... naprawdę coś rarytnego!... Tylko całe nieszczęście, że kamienie fałszywe... szkielka po prostu!... ale dla oprawy w złoto, dałbym wreszcie sto franków... Gdzieindziej nie dostaniesz mój chłopcze, ani pięćdziesięciu... Masz wóz i przewóz!...

Rypcio zawył boleśnie, jak wilk złapany w żelaza.

### XVIII.

Z po za siatki drucianej i zielonej opony, p a p a Legrip śmiał się dalej dobrodusznie, niby widz całkiem obojętny, który patrzy na zabawną krotochwilę.

Ten śmiech w dodatku do okropnego zawodu i rozczarowania, które go spotkało, zdawał się podwajać Rypcia rozjuszenie.

Wyrznął pięścią z całej siły w półkę i powtórzył głosem ochryplym:

— Kamienie są zatem fałszywe?...

— Mój Boże!... nie inaczej... najfalszywsze w świecie!...

— Ależ to niepodobna!...

— Czyżbyś przypadkiem miał nie wierzyć moim słowom? — spytał szorstko Legrip, widocznie obrażony.

— Ej! nie! nie... cóż znowu! — odrzucił czempredzej Rypcio.

— Dla czegoż mówisz, że to niepodobna?

— Pomyśl pan tylko, że te dwa pudełka zabrałem z pałacu... z pałacu księżnej prawdziwej!...

— Cóż stąd?...

— Bardzo wielkiej damy...

— A dalej?...

— Milionerki, jak utrzymują...

— Czegoż chcesz tem dowieść, mój chłopcze?

— Że jest wręcz niemożliwem, żeby księżna, milionerka, wielka dama, nosiła fałszywe kamienie!...

Rodille wzruszył ramionami, jakby go tamten mógł widzieć:

— Mnie to bynajmniej nie dziwi... W mojem długiem życiu, nie raz i nie dwa mi się zdarzyło widzieć coś podobnego... To dowodzi po prostu, że księżna nie musi być tak bogata, za jaką chce uchodzić, skoro blichtrzem ludziom oczy mydli, i przystraja się w taką lichotę! w takie fałszywe błyskotki!... Zdarza się to jednak codziennie... i nie jedna księżna tak samo świat oszukuje...

— Koniec końców, jestem haniebnie okradziony! — ryknął zbój. — Ah! łajdaczka! gałganica!...

— Innym razem lepiej ci się powiedzie...

— Ba! łatwo to powiedzieć!... ale tymczasem, wlażem w biedę po same uszy!...

— Eh! przesadzasz...

— Aha! przesadzam!... liczyłem na grube pieniądze, a znajduję się raptem bez grosza przy duszy!

— No! coś zawsze pozbierasz, rewidując kieszenie przechodniów...

— Nie lubię pracować w taki lichy sposób!... To mi za mało przynosi... Nie licząc że Florka nie da mi spokoju!...

— Coż to za Florka znowu?...

— Moja ostatnia konkietka! Spodziewając się pieniędzy, jak lodu! obiecałem jej prezencik...

— Możesz jej zaofiarować oba pudełka...

— Takie śmiecie!... Oh! bardzo proszę! moje kochanki wynaszają coś lepszego!... Ejże! papo Legrip, pokaż się poczciwym człowiekiem!...

— Czyż ja nim kiedy nie jestem?...

— Wyciągnij mnie z tego błota!...

— Jakim sposobem?

— Daj mi naprzód ze dwadzieścia żółto brzuszaków... Odciągniesz to sobie przy pierwszym interesie, który z sobą robić będziem... Cóż? Zgoda?

— Nie mój chłopcze... To się na mnie nie okaże...

— Oddam za to trzydzieści, czterdzieści luidorów!...

— Ofiarowałbyś mi sto, a zawsze usłyszałbyś nie... i nie!... Nigdy naprzód nie daję, i nigdy jednego franka nie pożyczam nikomu... To sposób jedyny, aby żyć zawsze na dobrej stopie z moimi klientami i nigdy się z żadnym nie poróżnić...

— Do kroćset sto tysięcy dyabłów!... nie moge przecież zostać gołym jak święty turecki!...

— Wygramol się chłopcze z tej biedy, jak chcesz, i jak możesz... tylko nie licz na moją pomoc...

— No! dajcie dziesięć żółto brzuszków!

— Nie dam, ani dziesięciu, ni pięciu...

— A przed chwilą sam pan powiedziałeś, że oprawa warta sto franków?

— To powiedziałem, i powtarzam...

— Weź pan zresztą za tę kwotę mizerną!...

— Nie, synu kochany... Rozmyśliłem się tymczasem... widzę, że nawet dając ci pięćdziesiąt franków, zrobiłbym jeszcze bardzo zły interes...

— Posłuchajcie tylko, ojcze Legrip!... potrzebuje gwałtem stu franków... Dajcie mi je, a powiem wam coś o czymś, co chciałem zachować sam dla siebie, a przyczem można kupę złota zarobić.

— Ha!... zresztą... zobaczymy ten interes...

— Dostanę pieniądze?...

— Najprzód interes... potem odpowiem...

— A to z pana dyabeł nie człowiek!... każdy chodzi jak wół w jarzmie, i musi spełnić każdą wolę, każdą pańską zachciankę!... Otóż na ulicy Pas-de-la-Mule, na przedmieściu Marais, stoi wielki pałac; między dziedzińcem a ogrodem. Mieszka w nim sam jeden pewien stary kawaler, bogatszy niż wszyscy paryscy. Krezusi razem wzięci!...

Rodille od pierwszych słów wyteżył całą uwagę, a ręce mu lekko drzeć zaczęły.

— Ten tedy stary jegomość — Rypcio dalej opowiadał — nazywa się baron de Viriville. Mieszka

w pałacu z rządczynią, która jak wieść niesie, rządzi i samym chlebobawcą, bawiąc się po prostu w panią domu. Nazywa się Urszula Renaud. Sług niema tam wiele. Stangret, lokaj i kucharz. Stangret spi nad stajnią, lokaj i kucharz w oficynie. Baron i jego rządczyni, śpią i mieszkają na dole w pałacu. W sypialni starego, jest skrzynia okuta, a w niej pełno banknotów, złota, srebra i klejnotów.

— Czy jesteś pewny tych wszystkich szczegółów?  
— spytał Rodille głosem najspokojniejszym, z krwią najzimniejszą.

— Najpewniejszy!...

— Od kogoż je otrzymałeś?

— Od frotera, którego lokaj sobie najmuje do pomocy, skoro baron z domu wychodzi... Zabrałem z nim bliższą znajomość... zaprowadziłem na Słodką do szyneczku... i ten wszystko mi wyplaplał po drugiej buteleczce... Jest to chłopak bez żadnych przesądów niepotrzebnych... a nawet w pierwszej młodości, był coś na bakier z prokuratorem sądowym, i od tego czasu ma na niego żal wielki!

— Teraz rozumiem, że musiał cię dobrze poinformować... Jakże jednak dostać się do pałacu?

— Za jakie sto talarów, froter z raz ze dwa ustąpił by mi miejsca, rekomendując mnie lokajowi, jako swego kolegę... Miałbym wosk w kieszeni, i wycisnąłbym na nim zamki... Można by podorabiać klucze... Reszta poszłaby jak po maśle... Nie obmyśliłem jeszcze interesu należycie; ale z góry jestem przekonany, że byłoby to coś świetnego!... Cóż pan na to, ojcze Legrip?



— Nie wiem co o tem sądzić? Aby interes był świetny, trzeba najprzód żeby stał się możliwym...

— Jest nim już dziś!... ręczę za to moją głową!

— Licha poręka! — zaśmiał się Legrip ironicznie — i tak ci nie bardzo mocno siedzi na karku... Ale żarty żartami, a ja bym nie mógł dać stanowczej odpowiedzi, póki bym się w interesie należycie nie rozpatrzył...

— Czy pan to dla tego mówisz, żeby mi nie dać nawet jakich stu franków, za moje dwa garnitury, i tak ważną wiadomość?

— Nie dla tego, bo oto masz pięć luidorów...

— Dziękuję p a p o Legrip... Poczciwy człowiek z was z kośćcami! Już ja wam się za to kiedyś odśluzę!...

— Liczę na to!...

— A nie traćcie z myśli i z oczu, operacyi finansowej na ulicy Pa-de-la-Mule!

— O to możesz być spokojny...

— Kiedyż się mam o nią zgłosić?

— Jak wszystko ułożymy z panem Wernerem, damy ci znać... lada dzień przez Richaud'a.

Rypcio wyszedł. Drzwi za nim zapadły. Skoro Rodille sam się znalazł, upadł na krzesło, mrużąc zeicha z wyrazem gniewu, niepokoju i najwyższego zdziwienia.

— Przeklęty traf, rzuca mi na drogę tego błazna, w chwili, kiedym ja już wszystko najcudowniej obmyślił i uplanował; li po to aby wszystkie moje najniędrsze kombinacye zniszczył i unicestwił! Jak to się stać mogło, żeby takie bydle kwadratowe

było również na tropie interesu rzeczywiście świętnego i olbrzymiego; czegoś, co ja od dawna przygotowuję z taką cierpliwością, z takim wysiłkiem mojego gieniuszu!... Chciałem się jeszcze trochę wstrzymać z działaniem ostatecznym, ale teraz muszę się pospieszyć... Zanim tydzień upłynie, będę bogatym... oh! tym razem bogatym co się zowie!.. Miałem instynkt cudowny dziś po obiedzie, pisząc do Urszuli Renaud!...

Chwilę pozostał nieruchomy, tonąc w głębokiej zadumie.

Ocknął się z niej nareszcie, i pociągnął ku sobie dwa pudełka zostawione przez Rypcia na półce, a które nabył za sto franków!

Położył klejnoty na biurku, pod światłem lampy skoncentrowanem jeszcze przez umbrę zieloną i wybuchnął śmiechem przeciągłym, niepowstrzymanym...

— Rodill'u, mój chłopcze — poklepał sam siebie po ramieniu — dobrześ mi się spisał! Grasz komedye, że to cud prawdziwy! i posiadasz dar niezrównany, wyciągać z ognia smaczne kasztanki, i palców nie piekąc, i kosztem jak najmniejszym!... Kupić za pięć luidorów, to co warte najmniej trzydzieści tysięcy franków, to jest *nec plus ultra* sprytu i zasługi; nie zaś nie może sprawić większej przyjemności, jak okraść złodzieja, franta, kutego na cztery nogi!

Po tym krótkim monologu, Rodille wszystko na biurku uporządkował, wsunął do kieszeni resztę banknotów, i złota z miseczki, pozbierał srebro i klejnoty w jeden pakiet, zapalił kandelabr, zgasił

lampę i powrócił do domu sąsiedniego, przejściem tajemnym, które zapewne znał on jeden, jedyny.

Skoro próg przestąpił pokoju, w którym się tak świetnie ugrymował za ojca Legrip'a, pocisnął sprężynę, deski się zasunęły, tak szczelnie i dokładnie, że nikomu by na myśl nie było przyszło szukać w ścianie jednolitej, choćby szparki najmniejszej.

Zachowawszy te wszystkie ostrożności, postąpił ku jednemu z rogów pokoju, ukląkł na posadzce złożonej z grubych tarcie dębowych, które wyglądały na pozór niespożyte. Poszukał, i znalazł bez trudu wielkiego, jeden kolek trochę grubszy i ciemniejszy od innych, na który mocno palcem nacisnął. Natychmiast jeden kwadrat w podłodze zasunął się, w jakiś rowek niewidzialny, odkrywając otchłań ciemną, i pierwszy stopień schodków kręconych.

Rodille powstał. W jedną rękę ujął kandelabr płonący, w drugą pakiet z klejnotami i srebrem. Zwolna schodził w dół.

Znalazł się wkrótce pod sklepieniem dość niskim piwnicy, wyglądającej na pozór bardzo poczciwie, wysypanej piaskiem czyściutkim, suchej i zapelnionej, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, próżnemi beczułkami.

Rodille podniósł jedną z beczulek i odstawił o kilka kroków dalej. Zgarnął piasek z tego miejsca, na którym stała baryłka. Podniósł rodzaj drzwiczek okutych, a z otworu odsłoniętego, posypały się miliony iskier.

Ta piwnica mieściła w sobie skarb cały przechowywacza rzeczy kradzionych. W kryjówce było mnóstwo klejnotów, które rzuciły w koło blaski tęczowe w świetle kandelabra płonącego. Policya, gdyby mogła była wpaść na trop tej kryjówki, byłaby tam odpytała większą część przedmiotów wartościowych, które skradziono w Paryżu w ostatnich kilku latach.

Rodille dodał do tego stosu sporego, węzełek, który dziś nabył. Chwilę patrzył na ten skarb haniebny okiem iskrzącem się piekielną chciwością, nareszcie wykrzyknął:

— Jestem już bogaty!... ale wkrótce będę jeszcze bogatszym!...

Znowu wszystko uporządkowawszy, wrócił na górę, gdzie zmienił ojca Legrip'a na owego pocziwego, głupkowatego mieszczucha, z którym zabraliśmy niedawno znajomość.

Gdy dokonał metamorfozy, było blisko północy.

Włożył w zanadrze parę pistoletów, zgasił światło i wysunął się cichaczem z domu, o którym każdy z sąsiadów myślał, że jest zupełnie niezamieszkały, wracając piechoto do Paryża. Szedł przez Pola Elizejskie, niepodobne w niczem do dzisiejszych, zarosnięte wówczas trzcina i łożami, pełne miejsc bagnistych, używające najgorszej reputacyi, skoro zmierzch zapadł; prawie tak niebezpieczne w nocy jak ów sławny las w Bondy, żyjący dotąd w podaniach legendowych. Wicher dał straszliwie. Coś niby szemrało w łożynie, a wierzchołki drzew starych gięły się z trzaskiem i szumem głuchym.

## XIX.

W chwili gdy Rodille schodził do piwnicy w domu sąsiednim, aby tam napaść oczy swoim skarbem i dodać „złoto do złota“, Rypcio złączył się z dwoma łobuzami, tak jak i on wyćwiczonemi w sztuce złodziejskiej, którzy czekali na niego przy końcu alei wiązami wysadzanej.

Żaden z nich nie był tego wieczora zadowolony z ojca Legrip'a.

Wicherek nawet głośno wyrzekął, że został haniebnie wyzyskany i oszukany przez „starego szachraja!“

— Ty i ja — mówił do Miodziusia, zanim jeszcze zjawił się trzeci towarzysz — jesteśmy biednymi kurkami... on zaś lisem. Niechby nas zresztą skubał po trochę, nic sprawiedliwszego, i musieliśmy się poddać bez krzyku tej operacyi... ale czego za wiele, tego i psy jeść nie chcą!... Nie długo ten sknera obrzydły, bez litości! nie będzie się kontentował naszymi piórami... wydrze nam razem i ciało... Pożre nas żywiuteńkich, a z każdego zrobi jeden kasek!...

Pojawienie się Rypcia przerwało ten potok skarg gorzkich i bolesnych.

— Cóż tam słyhać? — spytał Wicherek. — Czy choć z tobą postąpił przyzwoicie nasz papa z bitemi i żółtobrzuszkami?

— Et! nawet mi o nim nie wspominaj! — Rypcio machnął ręką rozpaczliwie.

— Dla czego?

— Okradziony jestem jakby w lesie!

— Przez Legrip'a?!...

— No, przez niego przecież... Stary szachraj, filut, to rzecz dowiedziona! ale w końcu, gdzie nie ma, tam wziąć nie nie można. To ta księżna z przeszłej nocy zadrwiła ze mnie nie lada! moje dziatki... w sposób iście oburzający!... Wyobraźcież sobie!... oba garnitury, zdobyte z takim trudem... okazały się fałszywymi kamieniami!...

Wicherek parsknął śmiechem.

— Śmiejesz się z cudzej biedy, łobuzie niegodziwy! — oburzył się Rypcio dotknięty do żywego.

— Dalibóg! nie mogłem wytrzymać — odpowiedział młody złodziej z efronterją. I dodał: A więc kamienie były fałszywe i Legrip nie chciał ich kupić?

— No tak... przecież już raz powiedziałem.

— Masz zatem klejnoty przy sobie?

— Nie... Legrip wziął oba garnitury, za cenę oprawy.

— Ileż ci dał za nie?

— Sto franków.

Wicherek zaczął śmiać się w najlepsze, tym razem tak drwiąco, że omyłka co do powodu jego wesołości była wprost niemożliwą.

— I czegoż ty się ryhoczesz chrząszezu uprzykrzony?! — krzyknął Rypcio, nie na żarty rozwścieklony. — Chcę wiedzieć z czego się śmiejesz! Powiedz zaraz, bo inaczej skórę ci wygarbuję, że popamiętasz!...

— Pcha do kieszeni sto franków, zamiast kilku-

dziesięciu tysięcy, które mu się sprawiedliwie należały i jeszcze robi kniksa mówiąc:

— Ślicznie dziękuję papunciu Legrip!... Mało nie pękne od śmiechu, gdy sobie wyobraże tę twoją głupią minę, gdy ten stary szachraj operował ci bez bólu ząb trzonowy!... z jakie dwadzieścia tysięcy franków co najmniej!... Hej! hej! mój Rypciu kochany! nie darmo mówią: „Dyabeł mądry, bo stary“. Ten nasz papa z talarami, wszystkich nas jak jesteśmy, wsadziłby sobie do torby i sprzedał, więcej dającemu na środku rynku!...

— Cóż ty zatem myślisz?...

— Że kamienie były najprawdziwsze, mój ty dudku na kościele!... jakie mogą być najpiękniejsze i najczystszej wody, a tyś się dał staremu w pole wyprowadzić, jak głupiec ostatni!

— Gdybym był tego pewny! — mruknął Rypcio zgrzytnąwszy zębami.

— Cóż byś zrobił?

— Podpalił bym, nie namyślając się ani chwili, budę tego psa starego!... Ale nie, nie... ty się mylisz!... on mnie nie mógł tak oszukać!... kamienie były fałszywe!...

— Chcesz się przekonać o prawdzie?

— Jakim sposobem?

— Zapukaj do drzwi... wejdź do domu... zaproponuj Legrip'owi, że mu oddasz sto franków, a on niech ci zwróci klejnoty... Jeżeli przystanie na to, ja pierwszy kupię je od ciebie za pięć tysięcy franków i zapłacę gotówką!

Rypcio nie na to nie odpowiedział, tylko za-

wrócił pędem do bramy, którą wychodził przed chwilą i zaczął pukać zrazu lekko, potem coraz silniej. Gdy nie się w domu nie odzywało, podjął kamień z ulicy i nim zaczął walić w bramę jak młotem. Cisza głucha panowała w całym domu.

I nie mogło być inaczej. Rozmowa trwała czas jakiś. W chwili gdy Rypcio zaczynał bić w bramę, Rodille był już w domu sąsiednim i schodził do piwnicy. Nie mógł więc słyszeć, co się działo na zewnątrz od ulicy.

— Zdaje mi się, koleżko. — Wicherek wtrącił tonem drwiącym — że próba dość długo trwała... Papa Legrip, chytry jak lis, a nos ma delikatny, jak u wyżła najlepszego!... Musiał coś złego przewąchać, i pewno ci tej nocy nie otworzy... Brama dyabelnie mocna i chyba prochem mógłbyś ją wysadzić!... Przestań zatem hałasować po nocy, żeby nam jeszcze jaki patrol nie wlaźł na kark! Pogódź się z twoim losem, i zabierajmy się ztąd, pókiśmy cali!

Rada była zdrowa. Rypcio usłuchał, mrużąc jednak przez drogę, jak niedźwiedź rozjuszony:

Twardy to przecież orzech do zgryzienia, dać się tak ze skóry obedrzeć! dać się obkraść na gładkiej drodze!... ale cierpliwości!... przyjdzie koza do woza!... jeszcze mi ten stary łajdak za to krwawo zapłaci, i prędzej niż się spodziewa!...

Trójka hultajska szła prosto ku rogatce de l'Etoile.

W nocnym pomroku, widać li było z daleka trzy punkciki gorejące. Były to ich fajki rozpalone.



Naraz olbrzymi Miodzius, zaczął się śmiać zęcha, i przemówił swoim cieniutkim pieszczonym głosem:

— Wiecie co moi kochani, że ten papa Legrip musi być bogaty, aż strach!...

— Ba! — Wicherek machnął ręką. — Prawdziwa torba dziadowska napechana milionami!

— Od piwnicy aż do strychu, musi być naszpikowany klejnotami!... — potrząsł głową Miodzius.

— Całkiem moje zdanie! — krzyknął Rypcio. — Stary szubiennik robi najświetniejsze interesa z nami!... My pracujemy, my ryzykujemy, i narażamy nasze życie nieledwie, a stary łotr nas najhaniebniej wyzyskuje i korzysta!... Na prawdę! nie ma na świecie sprawiedliwości!...

— Zgadniejcie, co mi strzeliło do głowy? Miodzius wtracił słodziutko.

— Ho! ho! — odrzucił Wicherek — dawno ja już o tem myślę...

— A może to nie to samo?

— Jestem tak pewny, że ci zaraz odpowiem, jakbym w twojej głowie siedział. — Pomyślałeś że dom stoi na uboczu, Legrip mieszka w nim sam jak palec, i że odbić naraz to wszystko, co on nam wydarł po kawalku, byłoby nie lada operacją finansową... Tak czy nie, co?

— Tak! tak! rzeczywiście...

— Do pioruna! Rypcio w dłonie uderzył z zapalem. — Myśl cudowna! nieźródna!... Gdy zechcecie wziąć się do roboty, skińcie tylko na mnie, a zobaczycie co ja potrafię!...

— Najprzód nie wrzeszcz tak na całe gardło — Wicherek za rękaw go pociągnął — pamiętaj żeśmy na wolnem powietrzu, i że nie masz do czynienia z głuchmanami!... Taki interes był by nadzwyczajny, ale wykonanie wydaje mi się wprost niemożliwem....

— Dla czegoż to?

— Najprzód, jakim sposobem dostać się do środka?... W oknach kraty ze sztab żelaznych, grubych jak moje ramię, a i brama dyabelnie mocna...

— Jutro szepnął Miodzius — zdejmę odcisk z zamku, i każemy do bramy klucz dorobić.

— Moje dziatki! Wicherek poklepał ich po ramieniu protekcyonalnie. — Jeszcze z was obydwóch fryce, co się zowie!... Toś dopiero powiedział coś wiedział!... Tu nie idzie o żaden klucz, bo by nam się na nie nie przydał... Stary łotr kuty na cztery nogi, i pewnie strzeże skarbu jak oka w głowie... Brama musi mieć wewnątrz rygle i zasówki, że już nie wspomnę o zatrzasku i sprężynie, za pomocą której się otwiera... Czy znamy tę tajemnicę?...

— Do stu dyablów!... — Rypcio w głowę się poskrobał — to mi całkowicie wypadło z pamięci!...

— No! — trudno o wszystkim pamiętać...

— Cóż robić zatem?...

— Byłby sposób... — bąknął Miodzius.

— Jakiż przykład?

— Poczekać kilka dni... Jeden z nas uprzedził by Legrip'a prez Richaud'a, że ma klejnoty do sprzedania... Stary drab naznacza nam schadzkę... Idziemy wszyscy trzej. Ten który wejdzie pierwszy, zatrzyma

drzwi sobą, a my dwaj wpadniemy za nim... To zdaje mi się prostem, jak dwa a dwa cztery, i wcale łatwym do przeprowadzenia.

— Niewątpliwie!... ale posłuży do tego li, żeby nas wytłukł jak muchy!... Wicherek zaśmiał się ironicznie.

— Ha! ha ha! rezultat paradny!

— A dla czego miałby nas pozabijać? — Miodzius spytal zdziwiony.

— Z tej prostej przyczyny, że chociaż dostaniemy się do pokoju — tłumaczył drwiąco Wicherek — będziemy tak prawie, jakby na ulicy, bo między nami a Legrip'em będzie siatka druciana i zielona franka...

— Do stu piorunów! — Rypcio zaśmiał się jeszcze ironiczniej. Takiemu jak ty chrabaszczowi, wszystko wydaje się zaporą olbrzymią i nie do zwalczenia!... Oto mi straszne rzeczy, siatka z drutu i kawałek szmaty zielonej!

— Ba! straszniejsze niż się spodziewasz, mój ty wielki mędralu! — zrypostował ostro Wicherek — bo za tą szmatą, o której mówisz tak pogardliwie papa Legrip widzi nas, sam nie będąc widzialnym, a w dodatku jest obłożony w koło z tuzinem conajmniej nabitych pistoletów!

— Skądże ty się o tem dowiedziałeś?

— Hm! hm!... nie widziałem, a jednak jestem tego pewny... Czy każdy z nas nie postarałby się o broń palną w podobnej sytuacji, co?... Otóż, skoro łotr przeczuje nasze zamiary nieprzyjazne, nie będzie się wcale żenował i wystrzela nas po jednym, co

do nogi!... sam nie narażając się na najłżejsze niebezpieczeństwo... nawet na żadną odpowiedzialność, gdyby zbrodnię odkryto... Jesteśmy od dawna na bakier z policją... mają nas na oku i podejrzewają o sztuczki rozmaite... Wytłumaczył by się zatem, że użył broni palnej, w obronie życia własnego.

Miodziś znowu się w głowę podrapał wielce zafrasowany.

Rypcio zaś powtórzył niecierpliwie:

— Cóż więc zrobimy?!...

— Poczekamy i namyślimy się, moje dziatki! — Wicherek odrzucił z powagą. Mimo iż był niemal karzelkiem co do wzrostu w obec dwóch olbrzymów, imponował im widocznie i brał górę nad nimi siłą inteligencji. — Myśl sama w sobie jest doskonałą, dowód najlepszy, że mnie ona już nie od dziś chodzi po głowie, tylko musi dojrzeć należycie. Rozbić starego sknerę, odebrać co nam wydarł, a w danym razie dopomóż mu nawet, żeby się raz przecie, przeziósł w dobrze zasłużony stan spoczynku, w to mi graj!... trzeba jednak tak wszystko naprzód ułożyć, żeby nie pokpić sprawy... a w tem sęk! i to dyabelnie twardy! Wysilajmy wszyscy trzej nasze mózgownice, a może do kaduka i wymyślimy coś dobrego...

Nie będziemy dłużej śledzili i podsłuchiwali trzech łobuzów w ich planach tak niebezpiecznych dla Rodille'a; a pozwolimy im wejść do nor służących im za mieszkanie, sami zaś wrócimy na ulicę Pas-de-la-Mule.

## XX.

Nazajutrz, gdy pierwsze promienie słoneczne zakradły się do pokoju, w którym spała cała rodzina mechanika, oświetliły Jana leżącego jak kłoda na sienniku, który mu służył za posłanie, w całym ubraniu, i śpiącego snem kamiennym, letargicznym.

Żadne słowa nie mogłyby opisać dokładnie bladości śmiertelnej młodego człowieka, i tej twarzy na której było wyryte cierpienie nad ludzkie siły!

Czoło było zorane bruzdami głębokimi, w kątach ust było bolesne skrzywienie. Pod powiekami były szerokie, czarne obwódki. Plamy sine występowały na zapadłych policzkach, nadając całej fizjonomii pozór trupi.

Złamany gwałtownemi wzruszeniami, zawodami i rozpaczą, która nim miotała u schyłku wieczora, Jan ubezwładniony, omdlewający, zaledwie mogąc się utrzymać na nogach, dowlókł się do domu około północy. Zastał Martę dotąd nie śpiącą. Nadzieja dobrej nowiny, którą jej mąż był przyobiecał, galwanizowała biedną umierającą.

— Mój mężusiu! — rzekła tym swoim głosikiem, tak słodkim a tak słabym. Zapowiadałeś mi coś szczęśliwego na wieczór dzisiejszy. Siłałam się więc, aby nie zasnąć, póki nie powrócisz.

Uśmiech gorzki bolesny, przemknął po sinych ustach Jana.

— Moje dziecko najdroższe — szepnął wymijająco i z całym spokojem, na jaki się tylko mógł zdobyć mimo iż straszna burza sercem jego miotała. — To

szczęście, na które kazałem ci czekać, jeszcze mi dziś niedopisało... Trzeba na niego trochę poczekać...

— Ha będę zatem czekała — westchnęła. — Ty wiesz że umiem czekać. Choroba aby tę jedną korzyść przynosi, że uczy cierpliwości i rezygnacyi.

— Jakże czujesz się dziś, aniolku?

— Lepiej... coraz lepiej mój najdroższy... żeby nie to jakieś dziwne osłabienie, które mnie do łóżka przykuwa, sądziłabym się zdrową zupełnie.

Vaubaron po za jej plecami, wplótł palce we włosy, z konwulsyjnym drzeniem w twarzy.

To osłabienie, które dziwiło jego żonę było po prostu śmierci zwiastunem.

— Musisz być bardzo znużonym mężusiu. — Marta odezwała się po chwili. — Nie było cię przez kilka godzin, a odkąd przemieniłeś się w Siostrę Miłosierdzia, pielęgnując chorych, odzwyczaileś się od dalekich wycieczek... Połóż się i odpocznij najdroższy!

— A nie potrzebujesz Marto niczego?

— Niczego, prócz snu... Sen mnie pókrzepi i pomoże odzyskać siły, których mi tak bardzo potrzeba.

Vaubaron uściskał żonę, potem dotknął z lekka ustami czoła Blanki, śpiącej w łóżeczku.

Nie mając już sił do rozebrania się jak stał, zwałił się na siennik trwardy.

Oczy mu się natychmiast skleiły, i mimo tortur moralnych, jakich umysł jego doświadczał, mimo że mu serce z bólu pękało niemal, zasnął jakby w letargu pogrążony. Ciało upominało się o swoje

prawa... wzięło górę zmęczenie nad duszy udręczeniem.

Obudził go nagle promień słońca, świecący prosto w oczy.

Zaledwie podniósł powieki, uczuł całą okropność swojego położenia. Pogorszyło się ono jeszcze od wczoraj, przegrał bowiem i te ostatnie dwadzieścia franków, które stanowiły jedyny majątek nędzarzy.

Bywają rzeczywistości tak straszliwe, potrzeby tak gwałtowne, położenia tak niepodobne do prawdy, że rozum ludzki objąć ich nie może, i z trwogą, jak przed widmem, ucieka przed niemi.

Vaubaron dożył jednej z takich chwil...

Chleba w domu nie było, a on go nie miał za co kupić.

Marta konająca, już prawie nic nie jadła, ale Blanka, jego dziecko najdroższe, krew z jego krwi, Blanka będzie głodną!

Co począć?

Rzucił w koło spojrzenie tak rozpaczliwie, że serce i najbardziej srogie, musiałyby zadrzeć i zmięknąć w obec tak strasznej niedoli. To spojrzenie szukało, czyby jeszcze nie można było czegoś sprzedać, lub coś zastawić.

Trud daremny!

Co tylko w nędznem pomieszkaniu przedstawiało wartość jakakolwiek, zniknęło od dawna!...

A jednak musiał znaleźć koniecznie.

Wzrok jego dziki, niemal obłąkany, zatrzymał się na warsztacie, zasypanym rozmaitemi narzędziami potrzebnymi do pracy różnorodnej, którą się zajmował.

Prawie wszystkie te narzędzia, z najlepszej i najhartowniejszej stali angielskiej, kosztowały grube pieniądze. Za dni szczęśliwych Jan pozwolił sobie na ten przepych niewinny, i własnoręcznie wypoliturował ręczki z dęba lub drzewa orzechowego. Zabawił się nawet, wyrzynając wzdłuż ładne arabeski, i girlandy z kwiatów. Wplótł zaś w nie z gustem artystycznym Monogram J: V: głoski początkowe swojego imienia i nazwiska:

Nie zawahał się ani chwili.

Pozbierał to, co mu się zdawało mniej nieodzownem; a zawijając narzędzia w jakąś starą gazetę, szepnął z oczami lez pełnemi:

— Żegnajcie mi, towarzysze mojej pracy ciężkiej!... Nie myślałem, że się kiedykolwiek potrafię z wami rozłączyć!... Sądziłem że mi dopomożecie do zdobycia sławy i majątku!... Żegnajcie mi!... żegnajcie na wieki!...

Wyszedł na palcach z pokoju sypialnego. Zbiegł szybko po schodach, i wszedł prosto we drzwi boczne, wychodzące do sieni na dole, a które prowadziły do magazynu, a raczej do kafarnaum zapyłonego tandeciarza Laridona.

Tandeciarz, był to młody człowieczek, około lat czterdziestu, w stroju niesłychanie zaniedbanym, łysutenki, z wyjątkiem dwóch kosmyków włosów konopiastych, wiszących po nad uszami.

Jego brzydota oryginalna i zakrawająca na karikaturę, miała w sobie coś, co odtrącało. Spojrzanie kose, a lodowate jego oczek burych, osadzonych głęboko, a w dodatku zyzem zarzucających,



spędzało natychmiast uśmiech z twarzy wchodzącego. Twarz wyglądała jak ze skóry odarta, nos jak haczyk łączył się niemal z brodą szpiczastą i naprzód wysuniętą, przypominając dziób olbrzymi papugi; usta z wargą dolną wywróconą, wiecznie zaślubione, biegły od ucha do ucha... Zęby miał czarne, popsute, obrzydliwe!...

Plecy dziwnie wypukłe, robiły go prawie garbatym... chociaż właściwie garbu nie posiadał... Mówił jednak owym głosem *sui generis* liszy-nela, który jest własnością z garbem nierozłączną.

Przeszłość tandeciarza da się opowiedzieć w kilku słowach.

Ojciec Laridon'a uczciwy fabrykant powozów, marzył dla jedynaka o świetnej przyszłości. Wziął na kiel, chcąc go gwałtem wykierować na urzędnika. Oddał go zatem do gimnazjum, gdzie mniej więcej, raczej źle niż dobrze, przelazł przez niższe klasy... Potem oddał go na pisarczuka do biura sądowego.

Szczytem marzeń starego Laridona było, urzęd syna woźnym przy trybunale!... Według jego ciasnych pojęć, w tej wielkiej godności łączyły się najwyższe zaszczyty na tym świecie!...

Synalek zresztą zdawał się jakby stworzony, aby ziszczyć ojca nadzieje i marzenia. Procesa i wszelkie pieniactwo, były jego najmilszym zajęciem, żywiołem niezbędnym, jak woda dla ryby, a powietrze dla reszty stworzeń bożych... Weksle zakondykowane i wyroki sądowe sprawiały mu najżywszą przyjemność... zabieranie ruchomości było szczęściem

prawdziwem. Rzucił się na prawo i lewo, tonąc w oceanie papierzyków i aktów sądowych, jak rybka w rzece.

Z tak świetnymi skłonnościami i zdolnościami w tym kierunku musiał zrobić szybko karierę. Chcąc jak najprędzej wysunąć się naprzód, pracował zresztą sumiennie, poskramiał swoje instynkta zabobne i zaledwie kiedy niekiedy pozwolił sobie małych zbroczeń, wziął coś w łapę pokryjому od osób interesowanych... te jednak drobne wykroczenia, jego zwierzchnik zbywał milczeniem lub wcale tychże nie zauważał.

Dość na tem, że do lat kilku Laridon syn został pierwszym biuralistą, ale jeszcze nie samoistnym biura naczelnikiem. Nie będąc na tyle bogatym, żeby go utrzymać w Paryżu, ojciec wystarał mu się o posadę woźnego samoistnego w jednym z mniejszych miast departamentowych.

Skoro się zainstalował, uczuł niezawisłym i niejako panem sytuacji młody Laridon, przestał czuć nad sobą samym, i w krótkim czasie popuściwszy wodze swojej łapczywości, złożył dowody tak wielkiej zręczności, że aż musiał się wdać w tę sprawę prokurator sądowy.

Po dwóch latach zaledwie został zrzucony z urzędowania i mógł jeszcze czuć się szczęśliwym w tej niedoli, że się nie dostał po prostu do kryminaliku.

Wobec rezultatu tak smutnego a niespodziewanego swoich starań i zabiegów, poczciwy stary fabrykant powozów uwarł ze zgrzyoty. Laridon odzie-

dziczył po ojcu sumkę wcale okazałą i puścił się na różne spekulacyjki, jawne i skryte, jakie lubią namiętnie awanturnicy, żyjący wiecznie na bakier kodeksem prawnym i po za obrębem ucziwego społeczeństwa.

Stworzył i otwierał po kolei agencję dla zastępców wojskowych, bióro stręceń, hotelik tani, służący za przytulisko dla sług bez obowiązku, i tak dalej. Te rozmaite przedsiębiorstwa nie przynosiły mu wprawdzie wielkich korzyści, ale za to zapoznały go bliżej z całą szajką urwiszów i łotrów z klas najniższych. Ta zgraja i woźny z urzędu zrzucony byli stworzeni, aby się nawzajem poznać i ocenić. Zrozumieli, iż mogą jeden drugiemu oddawać przysługi bardzo wielkie. Laridon zgromadził co mu jeszcze gdzie zostało, wziął konsens i za tę sumkę założył tandetę na ulicy Pas-de-la-Mule.

Ten konsens, jak się łatwo można domyśleć, był li parawanikiem, za którym ukrywały się handelki o wiele niebezpieczniejsze i bardziej podejrzane. Laridon, jako przechowywacz kradzionych przedmiotów, odbijał na nich to, co tracił na tandecie. Trudnił się tem samym co Rodille, nie robiąc tamtemu bynajmniej konkurencyi.

W posiadaniu znacznego kapitału obrotowego, Rodille, osobistość zmieniająca się jak kameleon, kupowała jak wiemy, złoto, srebro i klejnoty.

Nie tak bogaty a mniejszem się zadawałnający, Laridon nabywał rzeczy nie tak kosztowne a więcej zagracające. Nie gromadził wielkiego majątku na tym handlu niebezpiecznym, ale mógł jednak żyć

dostatnio a nawet zadawałniać swoje dzikie i lubieżne zachcianki.

W chwili gdy Vaubaron przekraczał próg magazynu, tandeciarz nie był sam.

Rozkładał przed jakąś klientką, wyjmując z dużego pudła, gdzie były zepchane w największym nieładzie koronki rozmaite; rozkładał pyszny garnitur ze starej gipiury weneckiej i równie stare koronki flandryjskie. Wszystko to było ukradzione.

Klientka tandeciarza liczyła lat ze czterdzieści, na pierwszy rzut oka jednak wydawała się o wiele młodszą, dzięki niesłychanej kokieteryi i staraniom drobiazgowym, aby wystroić się najbardziej do twarzy.

Ta kobieta musiała być kiedyś piękną, ale pięknością zmysłową, pospolitą a pełną pretensyi. Wzrostu małego, dziś trochę już za otyła, ścisła się gorsetem bez miłosierdzia, aby kibić utrzymać ile tyle wcięta w pasie. Krew, nie mogąc swobodnie krążyć po żyłach, uciskanych z prawdziwem okrucieństwem przez brykle żelazne i rogi w gorsecie, mściła się, uderzając gwałtownie do twarzy. Policzki też zaczynały się trądem pokrywać, a nosek, niegdyś bardzo foremny i cieniutki, grubiał i na koniuszku przybierał przybierał odcień fioletowy, widoczny mimo potężnej warstwy blanszu na całej twarzy.

Włosy kręte i bardzo gęste były tak czarne jak skrzydło kruka, i dotąd ani jedna nić srebrna w nich nie świeciła. Oczy czarne, wypukłe, z białkiem jakby z perlwoej macicy, iskrzyły się blaskiem młodocianym.

Usta trochę za pełne i krwią nabiegłe zdradzały zmysłowość i lakomstwo.

Taka, jaką była klientka Laridona, mogła się jeszcze podobać a nawet wydać się bardzo poętną komuś nie koniecznie wybrednemu. Strój jej ranny bił w oczy zdaleka. Nadto bogaty, krzyżący nie zdradzał wcale dobrego smaku. Czuć ją było piżmem na sto kroków, patchoulą i różnymi perfumami odurzającymi. Dwa grube złote łańcuchy spływały po jej biuście majestatycznym. Jeden z nich przytrzymał zegarek złoty, wysadzany drogiemi kamieniami, drugi złotą lornetę. Prócz tego miała na szyi kilka sznurków perel uryańskich, dużą broszkę z brylantami na piersiach i także w uszach długie kolce.

Tandeciarz zdawał się ją wielce poważać, a mimo to w jego z nią rozmowie przebijała się pewna poufalskość.

Opuścił ją na sekundę, gdy mechanik drzwi otwierał, i zawołał poznawszy wchodzącego:

— Oho! czy mnie wzrok nie myli?... pan Vaubaron, mój sąsiad z pierwszego piętra... Pańska żona była coś chora, ile słyszałem?... ile słyszałem?... Czy już jej lepiej?

Jan potrząsł głową przecząco.

— Ejże!... to źle... bardzo źle... — mówił dalej tandeciarz. — No, ale zawsze można spodziewać się polepszenia... Witam pana, witam... Czy masz może do pomówienia ze mną, panie Vaubaron?

— Tak jest.

— Skoro tak... chciej pan laskawie zatrzymać

szą chwileczkę. Muszę wpierw załatwić mały interesik, także z sąciadką... panią Urszulą Renaud... pan pozwoli, nieprawdaż?

I nie czekając na Jana odpowiedź, eks-woźny skoczył nazad do klientki z obleśną uprzejmością i nadszkakiwaniem.

Jego klientka była rzączyni a raczej pani domu w pałacu barona de Viriville.

## XXI.

Vaubaron ukrywszy starannie pod bluzą narzędzia, które chciał sprzedać, aby zaspokoić przynajmniej na dni kilka głód Clanki, usiadł na niskim stołeczku, w najciemniejszym kącie magazynu i zapadł w ciężką zadumę, nie troszcząc się o to, co się w koło niego działo.

— Jakże moja śliczna paniusiu? — tandeciarz przemówił słodziutko do kokietki trochę podstarzałej — czy się pani decydujesz na ten kołnierz i mankiety z point d'Alecon?... Cudności!... coś pięknego!... a dla paniusi drogiej jak ulał!... Najjaśniejsza królowa Francyi nie nosi z pewnością nic wspanialszego!

— Ież pan to cenisz?

— Bagatelkę! jak Boga kocham! tyle właśnie co nic... nędznych 80 franków...

— Naprzykład!... i pan taką sumę niczem nazywasz?!...

— Modniarki z ulicy Vivienne żądały by za to od pani ze sto talarków, jak mego Pana Boga kocham!... Ja bo daję za darmo!... Ot! chcę paniusi

prezencik ofiarować...

— Dziękuję za taki prezent!... za drogi dla mnie...

— Nie nie może być za drogie dla pięknej kobiety, a paniusię, mogłabyś na śmiało stanąć w szranki z boginią Venus, we własnej osobie!... Pasterz Paris nie wahał by się ani chwili, gdyby miał być panią do wyboru; oddał by ci natychmiast berło piękności.

Urszula Renaud zaczęła stroić minki niewiniątka:

— Ależ to z ciebie szarmant i pochlebca panie Laridon!

— Nie pochlebiam, chroń Boże! tylko mówię szczerą prawdę... czy mam zawinąć koroneczki?...

— Byłoby szaleństwem z mojej strony, dawać za nie tak wielką cenę!...

— Wolne żarty... wolne żarty!...

— Ty bo mnie uważasz za milionerkę, panie Laridon!...

— Jeżeli pani nią jeszcze nie jesteś, będziesz niebawem... Czerpiesz w worku, którego by nie były w stanie wypróżnić koronki z całej Belgii i Anglii razem wzięte.

— Któż to śmie utrzymywać?

— Cały świat...

— No! to cały świat grubo się myli!... Baron de Viriville, co prawda, jest na mnie bardzo łaskaw... nie mogę się skarżyć na niego... ale ja nawzajem pielęgnuję go szczerze, niemieszając się wcale do jego interesów majątkowych... To, o co mię błaga usilnie, żebym przyjęła w zamian za moją troskli-

wość o niego i procenta od mojego skromnego kapitaliku, wystarczają na moje małe potrzeby...

— Wiem o tem! wiem doskonale!... Wszyscy uwielbiają poświęcenie paniusi!... Ale przecież baron z sobą do grobu majątku nie zabierze... Komuż go da, jak nie swojej drogiej pani Urszulce?... Tak przynajmniej wieść ogólna niesie...

— Proszę pana... jakże by to się stać mogło?...

— Mój Boże! najprościej w świecie... Gdzieś tam istnieje, przysiągł bym!... testamencik zapisujący wszystko ślicznej paniusi!...

Urszula stanęła cała w ponsach z dumy i najwyższego zadowolenia!

— Być by to mogło — bąknęła wymijająco — baron nie ma żadnych spadkobierców, a do mnie jest niesłychanie przywiązany... nie wiem jednak, czy w ogóle pomyślał o jakim testamencie... Jestem tak czułą z natury... tak bezinteresowną...

— Oh! z paniusi anioł, czysty anioł!... To głos powszechny na całym naszym przedmieściu!... Jeden przez drugiego śpiewa pani pochwały!... Czy mam zawinać te koroneczki?

— Ha, cóż z panem począć!... wezmę je zresztą...

— Może pani jeszcze co rozkaże?

— Na dziś i tak dość się zrujnowałam... Kiedyś... wkrótce... znowu do pana zaglądnę... Oto cztery luidory panie Laridon!...

— Dzięki stokrotne!...

— Ale, ale!... — Urszula głos zniżyła, spoglądając z pod oka na Jana, któremu się ani śniło podsłuchiwać. — Mam pana prosić o małą przysługę...



— Pani wiesz, żem ci oddany z duszą i z ciałem!...

— Widziałeś może wczoraj pana Rodilla?...

— Wczoraj go nie widziałem...

— To może dziś?...

— Dziś prawdopodobnie... a nawet zobaczę go na pewno!...

— W takim razie, kochany panie Laridon, jeżeli przyjdzie tu dzisiaj, oddaj mu to do własnych rąk... czy zgoda?

Wyjęła z zanadru liścik starannie zapieczetowany i woniejący, wręczając go tandeciarzowi.

— Jakby go już miał, uśmiechnął się Laridon oblesnie, wsuwając list do szufladki. — Ah! szczęśliwy hultaj z tego Rodilla.

Niczego więcej nie miała tu do załatwienia rządczyni barona Viriville; wyszła zatem z magazynu, odprowadzona ceremonialnie i z nader niskimi ukłonami przez Laridona aż na ulicę.

— Tak, tak! szeptał sam do siebie, wracając — baba będzie kiedyś dyabelnie bogata... milionerka... fu, fu!... do niej by można zastosować piosneczkę:

„Człowiek choć pracuje zawsze w błocie,

„Baba bez mazoły, tonie w złocie!“...

— Hej, hej! to by był interes nie lada, babie głowę zawrócić, i ożenić się nie tyle z nią... ile z jej szkatułą... Ba, jam do tego nie dorósł, anim dość młody, ani dość pokaźny żeby babę skusić... a to koneserka! ho, ho!... zresztą miejsce już zajęte przez Rodilla'a. Ten baby na pewniaka z rąk nie wypuści.

Vaubaron wstał, widząc samego tandeciarza i wysunął się z kąta.

— Ah, przepraszam! zapomniałem o kochanym sąsiedzie na śmierć, czem mogę służyć? przemówił kupiec.

Mechanik rozwinął z wolna pakiecik, i z rumieńcem wstydu na czole rozłożył na kantorze swoje narzędzia.

— Radbym się tego pozbyć — szepnął głucho, oczy spuszczać. — Może pan kupisz?

— I owszem!... Będzie to jednak od ceny zależało...

— Ileż pan dajesz?

— Niech wprzód usłyszę, ile pan żąda... Ale cóż to się znaczy sąsiedzie, że już narzędzia sprzedajecie? Musi być kręto koło was, co?

— Naturalnie, — Jan odpowiedział z taką szczerością rozpaczliwą, że aż Laridon uczył się tem prawie wzruszony. — Idzie mi coraz gorzej... nie ma kęsa chleba w domu.

Wzruszenie tandeciarza było zjawiskiem niesłychanem, a takie zjawiska fenomenalne nie trwają długo. Po tem tedy wzruszeniu nieprawdopodobnem nastąpiło rozumowanie nader loiczne:

— Skoro nie ma chleba w domu, sprzeda mi te narzędzia za ćwierć ceny...

Lichwarz bezecny był niejako uosobieniem tej myśli, prostej a jasnej.

— Żal mi pana serdecznie, kochany sąsiedzie — wtrącił słodziutko jak zawsze — i radbym mu szczerze dopomódz... No, ileż chcecie za to wszystko?

Jan zastanowił się przez chwilę:

— Sto pięćdziesiąt franków... — szepnął z pewnym wahaniem.

Tandeciarz aż podskoczył.

— Ejże, chyba żartujecie sąsiedzie kochany! — wykrzyknął — na pewno!

— Kosztowały dwa razy tyle...

— Eh! wcale nie zaprzeczam!... ale kupić a sprzedać, to jak niebo do ziemi do siebie niepodobne!... Sąsiad kupowałeś nowe... ja albo zbudę przypadkiem... albo mi będą leżały wieczyście, jak tyle innych rupieci... To zmienia postać rzeczy...

— Narzędzia tak, jakby były nowe.

— Zapewne... zapewne, ale choćbyś ich pan nigdy nie używał, czyż tandeciarzowi kto kiedy zapłaci wartość realną? Skoro do mnie przychodzi, każdy chce kupić za pół darmo... Zresztą, wyciąłeś pan na ręczce swój monogram, to piękne, ozdobne, ani słowa! ale przedmiot przeto traci na wartości...

— No, daj mi pan choć sto franków, — bąknął mechanik, nie mając ani chęci, ani odwagi targować się długo. — Sto franków, to dla pana drobnostka.

— Niepodobna! niepodobna!... interes interesem... czasy ciężkie... pieniądz staje się coraz rzadszym, coraz trudniej na czym zarobić.

— Koniec końców, ileż pan dajesz?

— Posłuchajcie, kochany sąsiedzie... Dla was... tylko dla was! powiem wielkie słowo, ale słowo ostatnie... jak mego Pana Boga Kocham!... wolno wziąć, wolno zostawić...

Jan jeszcze niżej głowę na piersi opuścił, jak człowiek przygotowany dostać po niej maczugą.

Laridon kończył spieszenie:

— Innemu, któryby mi był obojętny, nie wzbudzał we mnie szczerą sympatyj, wahałbym się dać za to dwadzieścia pięć franków... panu wyłącznie ofiaruję pięćdziesiąt. Robię najgorszy w świecie interes. Ha! takie już mam miękkie serce. Na coś przecie człowiek ma sąsiadów. Chcę i muszę panu dopomóc w nieszczęściu!... A więc, słowo się rzekło. Pięćdziesiąt franków!

Vaubaron jęknął.

— Przystajesz pan? — spytał kupiec.

— Może gdzie indziej — wybełkotał Jan nieszczęśliwy — znajdę lepszą cenę?

— Wolna wola! wolna wola, sąsiedzie, — odburknął sucho Laridon — tylko jak raz z tą wydziecie, proszę się więcej do mnie nie trudzić... Zapowiadam, że wtedy i za darmo nie wezmę!...

— Mógłbym wreszcie zastawić?

— Ha! ha! ha! — tandeciarz parsknął śmiechem. Sąsiedzie! dam dwieście franków, jeżeli wam kto na ten kram pożyczy w banku zastawniczym bodaj sto groszy!... No! kończmy bo mam jeszcze rachunki do zrobienia i to natychmiast... Cheecie brać pięćdziesiąt franków, to bierzcie!...

— Przyjmuje... bo muszę! — Vaubaron szepnął głosem zaledwie dosłyszonym. — Nie mam co dać dziecku głodnemu!...

— Oto pieniądze... Do zobaczenia, kochany sąsiedzie... uszczęśliwionym, że mógł wam w czemś

dopomóż... zawsze gotów na wasze usługi, zawsze.

Jan słowa nie rzekł więcej, pieniądze zgarnął do chustki, włożył w zanadrze i poszedł na miasto kupić trochę wiktuałów.

Laridon, skoro drzwi się za nim zamknęły otworzył księgę handlową, w której policya wymaga, żeby wszelkie zakupna zrobione przez tandeciarzy, były zapisywane dzień po dniu, przyczem ma się wymienić nazwisko sprzedającego i jego adres najdokładniejszy. Czyż potrzebujemy dodawać, że ów spis, z pozoru przynajmniej był utrzymywany u Laridona ze ścisłością wzorową?

Miał właśnie wymienić nowy nabytek i zapisać nazwisko mechanika Jana Vaubaron'a, gdy drzwi się na oścież roztwarły i nowa zupełnie osobistość pojawiła się na progu.

Wyobraźcie sobie państwo chłopca tegiego, z miną czupurną i wesolą, z manierami pospolitemi i pełnemi efronteryi, tym słowem: najdoskonalszy i w całym komplecie komiwojazer, hałaśliwego, gadatliwości nieposkromionej, zresztą dobrego koleżkę, że choć go do rany przyłóż! jeden z tych typów, które dziś uważamy za zaginiony... Tylkoż nie żalujmy tego, na miły Bóg!

Spojrząwszy na tę twarz pełną i rumianą, na te oczy błyszczące dowcipem i wesolością, na te usta, wiecznie śmiejące się od ucha do ucha, na tę całość dyszącą życiem hulaszczem z dnia na dzień i najbiegleszy w swoim fachu sędzia śledczy, umiejący przenikać do głębi serc tajniki, nie mógł by się był domyśleć pod tą pokrywką najniewinniejszą

łotra niebezpiecznego; nie był by go posądził o zbrodnie knute i wykonywane bezkarnie, o całą egzystencyę, pełną strasznych tajemnic.

Kostium wybrany przez Rodille'a licował najwyborniej z całą fizyonomią i układem, przez nas opisany. Niczego tam nie brakowało: Kapelusz z długim włosem, nazywany bolivar, trochę na bok z fantazyą założony. Krawatka trójkolorowa, z daleka w oczy bijąca. Krótki surducik, jasno szafirowy z dużemi świecącemi guzami metalowemi, z kołnierzem wysoko podniesionym i z rękawami bufującymi. Kamizela ponsowa wcięta w pasie i na biodra opadająca. Pantalony nankinowe à la hussarde wchodząca w buty rycerskie, wysokie ze sztylpami.

W prawej ręce Rodille wywijał młyńca ze zręcznością kłowna w cyrku, prześliczną laską bambusową, ze srebrną galką cyzelowaną. Laska była ozdobiona ponsowym jedwabnym sznurem z dwoma kutasikami.

Strój cały w najgorszym guście, kołysanie z nogi na nogę, kręcenie laską w powietrzu, wszystko zdradzało hulakę, jednego z filarów knajp i izb szynkownych, który pędził życie, kurząc fajeczkę na krótkim cybuszku, pijąc sznapsika i grając w bilard.

Rodille chciał się takim wydawać, dzięki zaś talentowi cudownemu przemieniania się i wcielania w każdą postać, dzięki zresztą studyowaniu typów różnorodnych, udawało mu się zwieść i omamić oczy najbystrzejsze, wzrok najbardziej badawczy i na wskrósź przenikający.

## XXII.

Tandeciarz odrzucił na bok pióro, które już był zanurzył w kałamarzu i zamknął księgę, nic w niej nie zapisawszy.

— Ejże! na prawdę pan Rodille! — wykrzyknął.

— Witajcie! witajcie!... o wilku mowa, a wilk tuż!... Gdy się o słońcu wspomina, widzi się jego promienie...

Eks-Werner, eks-Legrip i tam dalej... stanął w pozycyi mistrza szermierki, który idzie do ataku, a posługując się laską, niby fleuretem, złożył się i wykonał kilka cięć, za każdym razem godząc niby to w pierś tandeciarza, przyczem spiewał na cały głos, starą jak świat i najgłupszą w świecie piosneczkę:

„Dzieńdobry panie Laridon!

„Don, don, don, don,

„Dondaine, don, don!...“

Potem dodał tonem zwykłym:

— Oto jest słońce tak pożądane! Czy rzeczywiście mówiłeś o twoim wiernym druhu Rodille'u?

— Ot... przed małym kwadransikiem.

— A można wiedzieć, kto był drugim w tej rozmowie pełnej uroku?

— Ładna kobiecina, pańska dobra znajoma.

— To nie jest żadna odpowiedź, ja nie a nie nie rozumiem.

Rodille wykręcił się na pięcie, udając że się nie domyśla, choć wiedział doskonale o kim mowa.

— Znam tyle ładnych kobietek...

— Ta o której mowa, ubóstwia pana.

— Ba! ciekawym która z nich za mną nie szaleje, skoro mnie pozna... Tłumacz się jaśniej, przyjacielu i przestań dręczyć moją ciekawość... Kimże jest ta damulka?

— Pani Urszula Renaud...

— Bogini! istna bogini... i cóż mówiła o mnie ta najcudowniejsza...

— Prosiła mnie usilnie, żebym panu wręczył ten oto bilecik woniejący... Laridon odpowiedział, wyjmując list z szuflady.

— Nie będzie odpowiedzi? — spytał eks-woźny z uśmiechem Satyra, gdy Rodille papier przebiegłszy oczami, wsunął go w zanadrze.

— Oh! odpowiedź będzie, ma się rozumieć... ale ja sam zaniosę.

— Ah! panie Rodille, co to za świetny interes!...

— wykrzyknął Laridon z zapalem. — I jakiś pan szczęśliwy, żeś chłopcem takim tęgim i przystojnym!

— Umiem cenić moje szczęście i powodzenie u płci pięknej jak należy... ale o jakim to myślisz interesie kochanku?...

— Daj go katu! o pańskim małżeństwie z panią Urszulą!... Baron ledwie lazi... widziałem go tu kiedyś jadącego w karecie, żółty jak cytryna!... Ta figlarka wszystko po nim odziedziczy i pan się obudzisz miljonerem pewnego pięknego poranku... Tylko tego dnia... lękać się zaczynam... może nie zechcesz pan już znać twoich dawniejszych przyjaciół...

— Tak dalece ich znać chcę i będę, że posta-



nowilem sobie w razie, gdybym na prawdę został bogatym, przekazać tobie Laridon, don, don! sto tysięcy talarów...

— Ah, panie Rodille!... ileż wdzięczności...

— Cicho, cicho!... zaczekajj z podziękowaniem, aż będzie po harapie, a ja ujrę się najszcześniejszym małżonkiem nadobnej Urszulki...

— Ależ to tak pewne, jak dwa a dwa cztery!...

— I ja tak sędzę... kochamy się nawzajem z Urszulką, jak para turkawek gruchających!

— A więc widzi pan, że mogę śmiało liczyć na owe sto tysięcy...

— Byleś się nie przeliczył... baron jeszcze żyje, a takie skrzypliwe koła najdlużej ciągną!...

— Ja zaś raz jeszcze powtarzam, że biedakowi trzy ćwierci do śmierci... Przejedzie się lada moment w lepszy świat, a wtedy zabierzemy się do weseliska... Te sto tysięcy jakbym już miał w kieszeni!...

— Nie mów hop, póki nie przeskoczysz!... Nie łap, kochany Laridon ryb przed niewodem... a nuż w testamencie znajdzie się inny spadkobierca?...

— To być nie może! Otworzą ten testament błogosławiony i znajdą w nim wypisaną na imię i nazwisko, panią Urszulę Renaud, jako jedyną legatorkę... Co to będzie za radość tego dnia, panie Rodille! Niech żyją państwo młodzi!... Toż to wtedy sobie pohulamy!

Zostawmy Laridon'a przekonywującego o prawdziwości swoich przepowiedni przyszłego nowożeńca,

a wróćmy na pierwsze piętro do pomieszczenia Vaubaron'ów.

Była godzina druga z południa. Marta drzemała jak zwykle. Mała Blanka, drząc chwilami od febry pótajemnej, bawiła się u kolan ojca, smutno, jakby przygnębiona.

Jan nadaremnie silił się i przymuszał do pracy. Nadto miał ciężką głowę i nadto drżące ręce, od trawiącej go gorączki. Co chwila podnosił głowę od warsztatu patrząc z bolem i miłością niewypowiedzianą to na żonę, to na córkę.

Dziwne bo myśli snuły się po tej biednej, zafrasowanej srodze głowie. Wiemy, że Jan był po trochę idealistą, że łudził się wiecznie i zawsze. Otóż i teraz, w obec tak rozpaczliwej rzeczywistości, więcej może niż kiedykolwiek oddawał się jakimś mrzonkom nieokreślonym, mówił sobie, że ponieważ gorzej być już nie może, będzie im lepiej, nie chciał wierzyć w orzeczenie lekarza, nie przypuszczał żeby Bóg mógł mu zabrać Martę, żeby chciał jego i Blankę tak strasznie osierocić.

Te mrzonki gorączkowe (inaczej tego nazwać nie możemy) już mu trochę ulgi przyniosły. To mu jednak nie wystarczało. Potrzebował gwałtem czegoś cudownego, czegoś nadprzyrodzonego, w czemby mógł z ciałem i z duszą utonąć.

W epoce, w której odgrywał się dramat przez nas wiernie opisywany, cały Paryż interesował się nadzwyczajnie osobistością dziwną, adeptem Mesmera i Cagliotstra, jakimś lekarzem Niemcem,

który nazywał się (a przynajmniej казал się nazywać) Fritz Horner.

Ten lekarz uzdrawiał chorych za pomocą magnetyzmu. Miał przy sobie młodą dziewczynę, coś w rodzaju lunatyczki, czy też po prostu jasnowidzącej. Tłumy cisnęły się do pomieszkania Hornera, a jak wieść niosła, jasnowidząca miała pomódz bardzo wielu osobom, zapisując im recepty, nakazując kuracye rozmaite, nawet takim, których już lekarze odstąpili.

Jan słyszał o tych cudach razem z innymi. Strzeliło mu do głowy, poradzić się jasnowidzącej o żonę i córke, i natychmiast uznał tę myśl jako natchnienie z góry pochodzące.

Konsultacye u Hornera drogo kosztowały. To jedno Jana wstrzymywało. W jego rozpaczliwem położeniu każdy znaczniejszy a bezcelowy wypadek był szaleństwem i zbrodnią niemal.

Stąd pochodziło jego zafrasowanie, o to staczał sam ze sobą walkę zaciętą.

Wyniku tej walki można się było z góry domyśleć. Majaki promieniste uludnej nadziei, jak zawsze, miały i tym razem zwyciężyć, zagłuszając głos zdrowego rozsądku.

Tak samo jak wczoraj zdecydował się w jednej chwili pójść do domu gry, tak dziś poszedł za natchnieniem: szukać porady u jasnowidzącej.

Wstał od warsztatu, wyciągnął z komody strój odświętny Blanki, skromny, ale czyściutki i zgrabnie skrojny, i zaczął dziecko przebierać. Przypomniało mu się, że lekarz przypolecał mu rozrywki i świeże

powietrze, dla małej dziewczynki.

Oddawna nie chodząc na przechadzkę, Blanka patrzyła zdziwiona i rozradowana na ojca przygotowania.

— Czy pójdziemy do miasta, tateczku? — spytała wahająco, lękając się odpowiedzi niweczającej jej błogą nadzieję.

— Tak moja maleńka, pójdziemy... — Jan odpowiedział. — Czy ci to sprawia wielką przyjemność?

— Oh, tatku! tateczku! i jaką jeszcze... Co za radość, co za szczęście... Żal mi jednej rzeczy.

— Czegoż?

— Że moja najdroższa mateczka z nami pójść nie może...

— Moje dzieciątko, — szepnął Jan do lez rozczulony tą odpowiedzią tak prostą a tak rzewną.

Wziął Blankę na ręce i do serca przycisnął, okrywając pocałunkami.

— Tatku? — szczebiotała dalej Blanka, oddawszy ojcu z procentem jego pieśszoty. — Czy pójdziemy daleko?... Czy zobaczymy te ulice długie, szerokie, gdzie tyle osób przechodzi, tyle powozów przejeżdża z pięknymi paniami?...

— Wszystko to zobaczymy dziecino, bo idziemy na bulewary...

Blanka plasnęła rączkami:

— Cóż za szczęście! Co za szczęście! — powtórzyła. — Oh! będę długo pamiętała tę przechadzkę, bo ta ulica na której mieszkamy tatunciu, bardzo smutna, nikogo się nigdy nie widzi, nie spotyka...

Skóro skończył z dzieckiem, Jan zaczął się sam ubierać. Kończył właśnie kiedy Marta ocknęła się na chwilkę ze snu ciężkiego, w którym obecnie była stale pogrążoną.

Moja żoneczko najdroższa! — przemówił, czule ją ściskając — sprawy ważne wywołują mnie z domu... Blanka tak dawno nie wychodziła, więc i ją zabieram.., Czy niczego nie potrzebujesz? i czy możesz zostać samą na parę godzin?...

— Mogę, mogę doskonale! — odpowiedziała chora ze zwykłą słodyczą i uległością — nawet mnie to uszczęśliwia, że Blanka trochę się przejdzie... Zdaje mi się, że dziecina w tych dniach przybladła... Daj że mi ją na łóżko, niech ją ucałuję na pożegnanie... Idźcie nie troszcząc się o mnie wcale... Zamknij drzwi i weź klucz ze sobą...

W chwilę później Jan prowadząc Blankę, szedł krokiem przyspieszonym ku bulewarom.

Niemiec Fryc Horner, lekarz-magnetyzer, mieszkał na bulewarze du Temple, nazywanym również przez pospólstwo bulewarem zbrodni, z powodu kilku teatrzyków na nim zbudowanych, a w których przeważnie grywano straszliwe Melodramato, pełne trucizn, sztyletów i tym podobnych awantur, à la Rynaldo Rynaldini!

Radość Blanki nie miała granic, w miarę jak się posuwali w głąb bulewaru, dziś już nieistniejącego. Wszystko znikło pod młotem bezlitośnym niszcycieli w imię porządku i upiększenia. Ile pamiątek, ile budowli starożytnych, prawdziwie pięknych zburzono i z ziemią zrównano!

## XXIII.

W roku 1830, na tym samym bulewarze du Temple, gdzie dzisiaj wznoszą się olbrzymie kamienice na sześć piąter, tuż pod bokiem teatru pani Saqui, przemienionego później, na Délassements-Comiques, a z drugiej strony mając sławny Salon Figur woskowych Curtiusa, który od dawna nie istnieje, były szlachty, a raczej rodzaj muru z desek, oddzielający obejście od ulicy. Na prawo wisiała na mocnym drucie rączka porcelanowa, przeznaczona żeby poruszyć dzwonek w głębi domu.

Nad drzwiami, na płycie metalowej, był wyryty napis wielkimi różnokolorowemi głoskami.

Fryc Horner

Dyplomowany doktor chirurgii i medycyny, na uniwersytecie w Düsseldorfie — Członek akademii w Wiedniu, w Studgardzie, i w Berlinie, niżej zaś małemi głoskami:

Konsultacye magnetyczne od godziny jedenastej rano do piątej z południa.

Po za murem z desek rozciągał się ogród obszerny ze szpalerami grabowemi, ciętymi na wzór staro-francuzki, który kończył się aż przy uliczce Fosses-du-Temple, najbrudniejszej wówczas i najbardziej błotnistej z całego Paryża.

Na tej przestrzeni wznosił się domek a raczej rodzaj pawilonu kwadratowego, z pomieszkaniem na dole, z piąterkiem mniejszem od dołu i z izdebkami na poddaszu. Fryc Horner wynajął ten domek i zaj-

mywał go od góry do dołu ze swoją lunatyczką i swoją służbą.

Aby dostać się do bramki, do której Jan znalazł drogę, trzeba było przechodzić koło Salonu Curtius'a, i przepychać się przez tłum żołnierzy, nianiek z dziećmi i kumoszek rozmaitych, gapiących się z gębą szeroko rozdziawioną i oczami wylupionemi. na jedno z owych widowisk naiwnych w swojej prostocie, a któremi gawiedź paryska nie może się nigdy nasycić.

Oto jakim było widowisko:

Salon Curtius'a na zewnątrz przedstawiał się jak prosta buda jarmarczna, w której pokazywacze prezentują publiczności dzikie zwierzęta i inne ciekawości rozmaite.

Kilka stopni drewnianych prowadziło do drzwi wchodowych, zasłoniętych niby kortyną szeroką firanką w pasy białe i ponsowe. Stary żołnierz inwalida, w kapeluszu trójgraniastym, z fajeczką w zębach, siedział na krześle przed małym stolikiem, do którego szuflady zgarniał datki. Ten inwalida z nogą drewnianą miał o ile o tyle reprezentować władzę, zaprowadzać porządek i nakazywać poszanowanie dla prawa.

Na lewo od drzwi a naprzeciw stolika na podwyższeniu stała grupa figur woskowych, jako wabik i próbka rzeczy nadzwyczajnych i do głębi wzruszających, które mieściły się po za firanką.

Grupa, co prawda, była wyrachowana i wybrana, aby pobudzić ciekawość do stopnia najwyższego. Był to akt ostatni a raczej epilog dramatu grozą przejmującego

Ofiara, umarła czy dogorywająca, był to mężczyzna w sile wieku, w stroju wykwintnym, z twarzą bladą, z dużemi, gęstemi, czarnemi faworytami, słaniający się w ramiona dwóch kobiet zrozpaczonych, ubranych jak na bal, które jego podtrzymując jednym ramieniem, drugą ręką nosły chusteczki do ócz załzawionych. Koszula cienka z żabotem haftowanym, roztwarta na piersiach, odsłaniała ranę głęboką, z której krew buchała strugą purpurową.

Zbrodniarz, jedną ręką wywijając długim, zakrwawionym sztyletem, w drugiej ścisnął worek z pieniędzmi, odwracając głowę od zamordowanego i z nogą podniesioną do ucieczki.

Sprawiedliwość i zemsta za zbrodnię dokonaną były reprezentowane przez dwóch żandarmów paradnych, w pełnym rynsztunku, którzy zastępywali drogę złoczyńcy, pokazując mu łańcuszki na ręce i nogi.

Grupa, przedstawiająca scenę do głębi wzruszającą, musiała pociągać widzów niby magnes żelazo... tem bardziej, że wstęp był przystępny dla najuboższych, wynosił bowiem tylko dwa sous!

To powtarzał co chwila krzykacz postawiony przy drzwiach wehodowych.

— Panowie wojskowi i dziatki niżej lat sześciu płacą połowę... Dwa sous! Dwa sous!... Proszę wejść! piękne panie i przeczaci panowie!...

Gawiedź tłoczyła się do stolika, a pieniądze padały jak grad do szufladki przed inwalidą.

Jan z Blanką mijali właśnie budę.

Dziewczynka olśniona widowiskiem przechodzą-



cem jej najśmielsze marzenia, spróbowała stanąć.

— Tatku!... tateczku! — błagała — tylko chwileczkę się zatrzymajmy... proszę cię... to coś cudownego!... tak bym chciała zobaczyć!...

Wiemy jak pilno było pilno Janowi i że mu rozchodziło o rozwiązanie pytania: Śmierć czy życie?

Nie zatrzymał się też, rzuciwszy Blance obietnicę mimochodem:

— Później moje dziecię!... później... Teraz niepodobna!...

Biedna mała bez słowa skargi, ze zwykłą cichą i łagodną uległością poszła z ojcem.

Vaubaron pociągnął za rączkę od dzwonka. Furtka sama się otworzyła i zamknęła za wchodzącymi.

Szpaler prosto wycięty prowadził do domu. Na progu w sieniach, dziwacznie udekorowanych, Jan spotkał wielkiego draba w jaskrawej liberyi, kapiącej złotemi galonami, w dużej peruce pudrowanej, z miną kwaśną i pełną arogancyi.

Lokaj zmierzył mechanika od stóg aż do głowy lekceważąco, niemal impertynencko, a znalazłszy zapewne, że strój jego nie zapowiada klienta możnego i ze sfer arystokratycznych, zatrzymał go ruchem brutalnym, szorstko pytając:

— Czego czecie?

— Jan był nodto zajęty smutnemi myślami, aby zwrócić uwagę na gburowate postępowanie sługusa.

Odpowiedział po prostu:

— Chcę zasięgnąć rady doktora Hornera.

— Czy wiecie, ile wynosi konsultacya? — spytał drwiąco sługus.

— Właściwie... nie wiem dokładnie... Bylbym panu wdzięczny, gdybyś mnie oświecił pod tym względem...

— Kosztuje dwadzieścia franków..

— Dwadzieścia franków! powtórzył Jan przerażony ogromem sumy.

— Nie inaczej!... i tu nie ma targu! przestrzegam!...

Zawahanie machinalne Jana, trwało jedno oka mgnienu zaledwie. Nie byłby się cofnął, gdyby nawet byli od niego zażądali całych pięćdziesięciu franków. wszystkiego, co obecnie posiadał.

Wyjął z kieszeni 20 franków, i podał lokajowi

Fizyonomia sługusa zmieniła się natychmiast. Z chmurnej i swarliwej zrobiła się uprzejmą i uśmiechniętą.

Otworzył małą szkatuleczkę, stojącą w sieniach na konsoli marmurowej i wyjął z niej znaczek okrągły z kości słoniowej z numerem siódmym, czerwoną farbą wydrukowanym i wręczył mechnikowi.

— Proszę pana — przemówił z niskim ukłonem. — A teraz chciej pan wejść do sali poczekalnej.

Jednocześnie podniósł portyere zieloną aksamitną i drzwi otworzył.

Jan zatrzymał się na progu, widząc kilku mężczyzn, to siedzących, to przechadzających się po sali.

— Co to za jedni? — spytał.

— Nasi klienci... przychodzą tak samo jak i pan,

radzić się doktora Hernera.

— Nie będą więc z nim sam na sam.

— Będziesz sam na sam z nim i z jasnowidzącą, o tem proszę ani chwili nie wątpić.

— A ci tam wszystkie?

— Czekają i wejdą do gabinetu, gdy na ich numer kolej przyjdzie.

— Ja zatem wejdę aż po nich?

— Naturalnie!... Masz pan dopiero numer siódmy.

Całkiem po sprawiedliwości...

Vaubaron machnął ręką niecierpliwie.

— Eh! niemasz pan na co narzekać! — sługus zauważył. — Trafieś dziś doskonale!... Bywają takie dni że czeka po kilkadziesiąt osób... Widziałem nieraz takich, którzy od jedynastej rano dopiero mogli o piątej po południu, rozmówić się z doktorem... Cóż pan chcesz? jesteśmy w modzie... mamy powodzenie...

— Ileż mniej więcej będę czekał?

— Trudno ściśle oznaczyć...

— Ale jednak?...

— Ba, co najmniej godzinę...

— Czy muszę ten cały czas tu przesiedzieć?

— Oh! wcale nie!.. Jeżeli masz pan w pobliżu co załatwić, proszę by się przynajmniej nie żenować... Byłeś pan był z powrotem, gdy numer 6 skończy konsultację... Zapewniam że pańskiego numeru nikt nie zabierze.

— Dobrze... powrócę zatem za godzinę — Jan wyszedł, ujawszy Blanę za rączkę.

## XXIV.

Vaubaron z Blanką małą znaleźli się powtórnie pomiędzy tłumem zgromadzonym przed wejściem do Salonu Curtius'a.

Wykrzykujący, człeczyna mały, z twarzą chudą i smutną, ale obdarzony głosem przenikającym mury nieledwie i niezmordowanym, chodził jak sztyldwach wzdłuż estrady i wychwalał cuda niesłychane, znajdujące się wewnątrz budy.

Blanka słuchała opowiadań rozmaitych z zachwyceniem i najwyższem zadziwieniem. Jej ciekawość rosła w miarę jak krzyaczcz coraz nowe rzeczy obiecywał.

Jej policzki pałały ogniem gorączkowym, oczka były szeroko rozwarte, a małe serduszko mało z piersi nie wyskoczyło.

Tatku!—szepnęła głosem drżącym od wielkiej pożądliwości — tateczku! pokaż mi te cudowności!... Proszę cię na wszystko!... Będę tak szczęśliwa!... taka bardzo uszczęśliwiona! Nieprawdaż tateczku, że zrobisz to dla mnie...

Vaubaron zawachał się na jedno mgnienie oka. Ale jakże mógł odmówić prośbie dziecka ukochanego? Zresztą lekarz przypolecił jak najwięcej rozrywek dla Blanki. A mogłaż być tańsza rozrywka?

— Tatku! nie odmówisz mi tego? — dziecku już się zaczynały łezki kręcić w oczach.

— Nie, nie dziecino!... chodźmy!

Blanka zaledwie zdołała stłumić okrzyk radośny, i pociągnęła ojca czempredzej po kilku stopniach ku-

rzem okrytych, które prowadziły do tego świata cudów, Vaubaron zapłacił trzy sous inwalidowi, i korytna podniosła się cokolwiek, wpuszczając ich dwoje do środka.

Przeszli przez ciemny i ciasny korytarz, na końcu którego mały murzynek, ubrany w sukno pasowe, otworzył im na oścież drzwi do salonu.

Była to wielka rotunda (niektórzy z naszych rówieśników, może ją sobie jeszcze przypomną) oświetlona z góry, przez dach ze szkła grubego szlifowanego.

W okolo biegła estrada, nie bardzo wysoka, a na niej w pewnej odległości, były poustawiane figury woskowe. Poręcze żelazne nie psując efektu, bronily od napaści widzów niedyskretnych Henryka IV, Fualdés'a, Cleopatę i setki innych znakomitości.

Ściany rotundy pokrywała materya wełniana.

Twarze blade osób umarłych, lub przedstawionych w chwili konania, jak i oblicza żywe i rumiane, odbijały doskonale od tego tła jaskrawego.

To co krzykacz przed budą obiecywał, nie było wcale kłamstwem i przesadą, jak się zdarza najczęściej. Rzeczywistość przechodziła jeszcze wszystko, o czem on opowiadał. Nie myślimy wyliczać scen wzruszających, osobistości historycznych, lub sławnych z urody, które publiczność miała prawo podziwiać za liehe dwa sous'y.

Daremnie byśmy się kusili opisać zachwyty i uczucia miotające zrazu całym jestestwem, w sposób gwałtowny, Blanki maleńkiej, gdy się naraz znalazła wśród tych figur nieruchomych wprowadzie,

ale tak strojnych, a czasem tak dziwacznych, i grozę budzących. Zrazu była olśniona, oszołomiona, jakby skamieniała z podziwu. Zdawało się jej, że nagle ze świata rzeczywistego, gdzie zwykle żyła, przeniosła się w krainę cudów w sfery nadziemskie.

Zwolna jednak uspokajała się, oswajała z otaczającymi ją czarami, i zaczęła naprawdę używać widoku zachwycającego, przechodząc z ojcem od jednej grupy do drugiej.

Oprócz Jana z córką, ze dwadzieścia osób zwiędzało w tej chwili Salon Curtius'a. Pomiedzy ciekawymi, uwijał się mężczyzna przystojny, ze szlachetnem ułożeniem, ubrany w czarne spodnie aksamitne, i takiż szpencer, w trzewiki z klamrami i w białą krawatę.

Człowiek ten nosił na piersiach złoty łańcuch, a w ręce prawej trzymał laseczkę hebanową, zakończoną srebrną gałką. Był niewyczerpany w swojej uprzejmości; zawsze gotów dać każdemu żądane objaśnienie; laseczką zaś hebanową w miarę jak opowiadał, wskazywał tę lub ową figurę.

Ten grzeczny człowiek, nie wyglądając wcale na prostego wrzaskliwego cycerona, był ni mniej ni więcej, tylko samym dyrektorem i właścicielem Salonu.

Wkrótce Salon się wypróżnił, i zostali w nim tylko Jan z córeczką.

Dyrektor zbliżył się do nich, uderzony pięknymi rysami, i wyrazem genialnym fizjonomii mechanika, rozpoczynając z Janem rozmowę.

Vaubaron dowiedział się z pewnem zdziwieniem,

że począwszy od sławnego Curtius'a, pierwszego w tej sztuce, Impresarios figur woskowych, szli po sobie, syn po ojcu, niby ród monarchów z Bożej łaski bez przerwy, bez zmiany w dynastyi, i że każdy z nich przymnażał majątku.

— Bierzemy miedziaki... — kończył z dumą dyrektor z uśmiechem zadowolenia — a jednak gromadzimy złoto powoli... Ot ja naprzykład, za jakich lat dziesięć zwinę cały interes, będąc wtedy dostatecznie bogatym.

— Gdybyś pan tylko zechciał — zauważył Jan — mógłbyś to samo zrobić za lat pięć, a byłbyś dwa razy bogatszym...

— Jakim sposobem, jeżeli wolno wiedzieć?

— Po prostu wydoskonalając figury.

Dyrektor uśmiechnął się niedowierzająco, trochę podrażniony śmiałą uwagą:

— Cóż u diabła! chcesz pan jeszcze udoskonalać w moim salonie? — spytał drwiąco. — Popatrz tylko na całe grupy, czy na każdą figurę z osobna... czy której braknie czego?... Skoro która przypadkiem zblakuje, lub strój nie dość już świeży, każę przetapiać i daję nowe ubranie... Staram się zawsze o nowości, będące w modzie i na porządku dziennym... Liczba moich wielkich ludzi i sławnych zbrodniarzów, zwiększa się z każdym rokiem... Kostiumy, (osądź pan sam,) są czysto historyczne, a tak świetne, że wytrzymują krytykę najsurowszą!... Niczego się nie szczędzi, ani co do bogactwa materiału, ani co do ścisłości historycznej, byle wywołać efekt jak największy!... Nie znajdziesz pan

jednej łątki nigdzie, i jednej dziury, chyba w stroju bandyty kalabryjskiego, i żebraka z Neapolu, których ku wielkiemu mojemu zmartwieniu, musiałem przybrać w brudne łachmany, aby zostać wiernym prawdzie lokalnej... Nie jeden z kostyumów na które pan patrzysz, jest nawet bardzo kosztowny. Naprzykład: suknia Kleopatry jest haftowana czystem złotem, a kamizela z aksamitu zielonego Padiszacha, jest ozdobiona sztrassami i pół drogiemi kamieniami, za kilka tysięcy franków. Że już nie wspomnę o innych. Otóż mogę powiedzieć, z ręką na sumieniu, że nikt by nie potrafił trafić lepiej w gust przeciętnej publiczności, i bardziej ogół zadowolnić, i utrzymuję na śmiało, że ulepszenie moich figur, jest wprost niemożliwe!...

— Wszystko to najchętniej przyznaje panie dyrektorze, ja też myślę o zupełnie innym rodzaju udoskonalenia.

— Chciej że się pan jaśniej wytłumaczyć... Słucham go z całą uwagą i najwyższym interesem...

— Masz panie dyrektorze zbiór najdoskonalszy, pod względem kolorytu prawdy historycznej, i strojów wspaniałych... Te figury wydawałyby się niemal żyjącymi, gdyby ich nieruchomość nie psuła ułudy... Brakuje więc im warunku głównego...

— Czegoż naprzykład?

— Ruchu.

— Ejże! — pan chyba ze mnie żartujesz! — Dyrektor znowu uśmiechnął się trochę drwiąco.

— Przeciwnie, mówię całkiem seryo panie dyrektorze i utrzymuję, że byłoby możebnem, a nawet



przyszłoby to z łatwością nadać ruch pewny tym manekinom przez sprężyny wewnątrz; wlać w nie rodzaj życia pozornego, czego im właśnie brakuje, a przez to zwiększyłyby się stokrotnie efekt każdej sceny. Weźmy na przykład grupę złożoną z trzech figur; królowę Kleopatę, węża i niewolnika...

— Patrz pan tylko i podziwiaj naturalność całej pozy królowej... piękność tej twarzy, wyraz przeżycia malujący się w rysach skurczonych niewolnika, na widok żmyi, a ten puszek na brzośkwiniach w koszu!... bierze ochota zjeść z jedną! — dyrektor mówił z zapalem, z nawyknięcia jakby deklamował przed szeroką publicznością.

— Podziwiam nie mniej od pana, ale grupa jest nieruchoma i jakby skamieniała... Za chwilę wzruszenie doznane na pierwszy rzut oka przechodzi... Przypuśćmy jednak, iż rzecz się tak odbywa jak ja myślę... Królowa Kleopatra jest sama, leżąca na swoim łożu paradnym... Podnosi się zasłona... wchodzi niewolnik z koszykiem w ręce... Królowa siada na łożu... niewolnik robi dwa kroki naprzód... Kleopatra bierze z jego rąk koszyk, odsuwa owoce... żmija wyskakuje sycząc i kąsa pierś królowej, podczas gdy niewolnik przeżuty, cofa się, głowę odwracając od strasznego widoku... Cóżbyś pan powiedział na podobne widowisko?

— Ma się rozumieć, iż toby wywierało wrażenie kolosalne, ale zdaje mi się niepodobieństwem osiągnąć podobny rezultat... Figury woskowe, musiałyby się zmienić chyba w prawdziwe automaty.

— Dla czegoż pan to uważasz za coś niepodobnego?

— Czyż pan nie wiesz, że sławny automat grający na flecie, sporządzony przez Vaucanson'a, kosztował około trzydziestu tysięcy franków?

— Oh! wiem o tem!

— Ja zaś posiadam w moim salonie do trzysty figur... Porachuj pan ile by mię to kosztowało!... Cóż pan na to?

— Za całą odpowiedź powiem panu: Jestem sam mechanikiem... długo szukałem... próbowałem i wreszcie zdobyłem sposób, przez który można nadać pewne ruchy, za pomocą przyrządu prawie nie kosztującego, ruchy niemal tak zdumiewające, jak u owego automata grającego na flecie.

— I pan byś się podjął podobnej pracy?

— Nie tylko bym się jej podjął, ale na pewno do skutku doprowadził.

— Dajże mi pan dowód, że to wszystko nie jest mrzonką, nie jest li ułudą!

— W jaki sposób mam złożyć panu ten dowód?

— Zostaw mi pan swój adres... Jeszcze dziś wieczór poszlę panu na próbę jedną z moich figur. Zrób pan z niej automat, za cenę ile tyle przystępną, a nie tylko hojnie panu za robotę zapłacę, ale przypuszczę pana do spółki w przedsiębiorstwie, bo uważałbym za krzyżącą niesprawiedliwość, gdybyś nie miał skorzystać z majątku olbrzymiego, który zbiorę tym sposobem... Przystajesz pan?

— Czy przystaję?! — wykrzyknął mechanik rozpromieniony. — Oh! przystaję panie dyrektorze

i błogosławie Opatrzność, która mnie tu cudownie sprowadziła!

Rozmawiali dobrą godzinę. Blanka tymczasem wszystkiemu się przypatrzyła, wszystko dostatecznie napodziwiała i uczuła przesyt a nawet zmęczenie fizyczne. Bolały ją oczy olśnione przez tak długi przeciąg czasu.

Vaubaron wyszedł z córeczką ze salonu, podawszy adres dokładny dyrektorowi.

Po raz pierwszy od bardzo dawnego czasu, przyszłość wydawała mu się jasną i promienistą. Jego wynalazki nie będą odtąd wybrykiem li bujnej fantazyi, mrzonką, nieprzynoszącą żadnej korzyści. Jego praca zapewni byt spokojny dwom istotom droższym mu nad własne życie.

— Szczerście prawie zawsze w parze idzie! — pomyślał upojony radością niesłychaną. — Jasnowidząca, która się nigdy nie myli, odkryje przedemną, jestem przekonany! że lekarze skłamali przez nieświadomość i że za pomocą starań usilnych i wielkiej miłości, Marta moja może być jeszcze uratowaną!

Takie myśli krążyły po głowie Jana, gdy wracał z Blanką do doktora Hornera.

## XXV.

— Zjawiasz się pan w samą porę! — zapowiedział Janowi ów sługus kapiący od złota, a pełniący służbę woźnego u dokora Hornera. Numer szósty wszedł właśnie do gabinetu.

Równocześnie otworzył drzwi do poczekalni.

— Ależ — zmieszał się Jan rzuciwszy okiem po sali. — Osób było dwa razy tyle!

— Cóż to pana ma obchodzić?... Przyszli później i nie wejdą do gabinetu aż po pana... a może weale dziś doktor nie odbędzie z nimi konsultacyi, bo już pora dość spóźniona... Usiądź pan wygodnie w jednym z tych miękkich foteli i nie troszcz się o nic, tylko wchodź do gabinetu, skoro doktor zawoła: Numer siódmy!

Jan usiadł według danej mu wskazówki i wziął Blankę na łono.

W kilka minut, skrzypnęły drzwiczki boczne, zupełnie ukryte w obiciu, a głos gardłowy przysłuszony, nieprzyjemny, z silnym akcentem germańskim zawołał:

— Numer siódmy!

Vaubaron pospieszył na wezwanie, a przestąpiwszy z córeczką próg gabinetu, nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu, niby jakiejś trwodze zabobonnej.

Komnata do której weszli, była bardzo wysoka i obszerna, cała obita aksamitem granatowym, tak ciemnym, że się prawie czarnym wydawał, takie same firanki u okien i portyery u drzwi, robiły pokój ciemnym, nawet w dzień biały.

Światło jedyne padało od lampy zawieszonej u sufitu z umbrą mleczno-białą, zostawiając kąty sali w pomroku zupełnym. W gabinecie za całe umeblowanie stała wielka sofa kątowa, pod ścianą w jednym z rogów kilka foteli rozrzuconych tu i owdzie, a w samym centrum komnaty, umieszczono

karło głębokie i olbrzymie. Kobierzec ponsowy, bardzo gruby i jaskrawy, przykrywał posadzkę, przyciszając każde stąpięcie.

W dużem karle siedziała w postawie na pół leżącej, kobieta młoda, któraby mogła być nawet za piękną uchodzić, gdyby nie twarz kredowej bledości, równająca się niemal z białemi, powłóczytymi szatami, które ją okrywały, gdyby nie wyraz znużenia śmiertelnego w całej fizyonomji i nie czarne obwódki pod oczami, jakby tuszem nakreślone. Ta młoda osoba była tak szczupła, a raczej chuda, że widząc ją siedzącą, każdy musiał spytać w duchu, czy mogłaby wstać i chodzić, nie gnąc się we dwoje i nie łamiąc? Twarz okalały loki długie, czarne jak smoła, robiąc ją jeszcze bardziej ponurą i prawie straszną.

Vaubaron domyślił się od razu, że to być musi owa lunatyczka.

Doktor Horner, mężczyzna około lat czterdziestu, wysoki, chudy ale silnie zbudowany, stał za karłem.

Był ubrany, à la Werther, w surducik czarny, aksamitny, krojem niesłychanie dziwacznym, w kamizelkę białą, szeroko wyłożoną, w spodnie krótkie, jasno popielate i w buty rycerskie, sięgające do kolan. Złote okulary wcale się z tym strojem nie zgadzały.

Fizyonomja doktora nie mogła wzbudzić sympatii. Nos spiczasty, a zakrzywiony ku dołowi, przypominał dziób ptaka drapieżnego. Jego bure oczy rzucały z pod okularów spojrzenia niemile i przenikające. Usta, skoro je otwierał, ukazywały dwa

rzędy zębów ostrych i rzadkich jak u wilka.

Ta twarz zrazu niepokoiła, a wreszcie przerażała. Przeszłość magnetyzera da się skreślić w kilku słowach.

Fryc Horner był rzeczywiście Niemcem i na prawdę lekarzem, nawet bardzo biegłym i uczonym.

Skończywszy nauki świetnie, zdobył sobie w mieście rodzinnem sławę zupełnie zasłużoną i to bardzo prędko. Jego talent, niemal gienialność mogły i powinny były utorować mu drogę do sławy nie tylko w jego ojczyźnie, ale w całej Europie, przysparzając i majątku w sposób najuczciwszy. Na nieszczęście miały nim namiętności tak gwałtowne, że nie był w stanie nad niemi zapanować. Poświęcił wszystko, wiedzę moralnie zdobytą, stanowisko, ufność i szacunek współziomków, oddając się grze w karty i wszelkim chuciom zmysłowym, tonąc w rozpuście najbrudniejszej.

Takie życie nie mogło na długo pozostać w tajemnicy. — Maska obludna z twarzy opadła, a raczej została zerwaną przez proces skandaliczny. Za drogie pieniądze Horner dał się użyć pewnemu magnatowi do spędzenia płodu jego kochance, przyczem i młoda matka umarła. Uciekł za granicę przed wyrokiem surowym, skazującym go na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia. Udało mu się przekraść do Paryża, dzięki sumie złożonej przez magnata do owego Centrum świata całego, gdzie niestety! dają wszyscy, tak samo ludzie wiecy gienjuszem, jak i najwięksi zbrodniarze.

Horner zresztą nie łudził się wcale co do le-

karskiej praktyki. Wiedział doskonale, że gdyby się miał li na nią ograniczyć, umarł by wkrótce z głodu i nędzy, wyczerpawszy przywieziony kapitalik; że musiałby biegać i szukać klientów po ulicy, on, cudzoziemiec nikomu nie znany.

Jednocześnie atoli powiedział sobie, że ze wszystkich krajów na całej kuli ziemskiej, Francya jest tem Eldorado, gdzie szarlatanizm wszelki najrychlej zapuszcza korzenie i przysparza majątku w sposób iście cudowny. Przypomnił sobie Mesmera, któremu wszyscy na ślepo wierzyli, a nawet sama królowa raczyła czasem go odwiedzać. Podniecony tem wspomnieniem, postanowił przyprowadzić na nowo do mody magnetyzm, którym nikt się już nie zajmował w roku 1830 i nawet zapomniano o znaczeniu tego słowa.

Jako Niemiec czystej krwi, Horner studyował długo i nader wyczerpująco ową siłę dziwną, niepojętą, tajemniczą, która musi wytwarzać bądź fanatyków na pół szalonych, bądź też sceptyków zupełnie w nią nie wierzących. Jako materialista, Horner w głębi duszy, stał pomiędzy tymi ostatnimi i wcale nie wierzył w magnetyzm. Przeczył wręcz wszelkim tegoż objawom nadnaturalnym. Adepti tej siły tajemniczej, byli w jego mniemaniu zręcznymi kuglarzami a wierzący przez tamtych oszukiwanymi i eksploatowanymi głupcami w sposób najhaniebniejszy!

Co jego to jednak obchodziło? Nie chodziło mu, aby sam uwierzył, głównem jego zadaniem było, wmówić w drugich, żeby na ślepo wierzyli

Zaraz też wziął się do tego.

Traf częstokroć pomagający w złem, sprowadził go z młodą kobietą, równie zepsutą, równie przewrotną, jak on sam i nie przebierającą w środkach, byle zrobić majątek.

Ta hetera, na imię i nazwisko Pamela Verrier mimo lat młodych, liczyła zaledwie lat dwadzieścia i cztery, w życiu hulaszczem i rozpustnem starła prędko z twarzy urok młodociany; piękność, która stanowiła jej cały kapitał, zwiędła, zdrowie podupadło, została jej tylko chytrość i przebiegłość. Horner uznał ją, jakby umyślnie stworzoną do roli, którą jej przeznaczał. Porozumiał się z nią, obiecał zrobić z niej lunaticzkę i jasnowidzącą, zaproponował spółkę, a ona to wszystko przyjęła z entuzjazmem.

Horner najął natychmiast ów dom w ogrodzie, umeblował go z przepychem i zapowiedział konsultacye magnetyczne.

Nowość zachwyciła mieszkańców Paryża. Powodzenie rosło z dniem każdym. Horner i Pamela, byli oboje komedyantami niezrównanymi. Najwięksi sceptycy pod tym względem dali się złapać na wędkę, i uwierzyli w sen na jawie lunaticzki, w jej odpowiedzi dawane tonem patetycznym, pełnym natchnienia, lub z pewnem wahaniem i pół-słówkami, co wszystko wywoływało efekt kolosalny. Ma się rozumieć, iż Horner z równą zręcznością zadawał jej pytania.

Reputacya magnetyzera szerzyła się jak ogień na dachu ze słomy. Oszukiwani niegodnie mnożyli się jak grzyby po deszczu. Wkrótce Horner i Pamela nie mogli nastarczyć konsultacyi, tyle się po



nie zgłaszało.

Opis gabinetu i szkic pobieżny doktora i jego Medyum, wystarczył zapewne, abyśmy potrafili wyrozumieć, wzruszenie przelotne, ale nie mniej głębokie, które Jan uczuł, tu wchodząc.

— Panie! — magnetyzer przemówił tym samym głosem gardłowym i niemiłym — mój czas, i tej pani — wskazał na Pamele — jest skarbem drogo-cennym dla całej ludzkości... Nie mamy prawa, tracić daremnie choćby jednej sekundy!... Proszę mi zatem powiedzieć natychmiast, i jak najzwieżlej, co pana do nas sprowadza?... a raczej odpowiadaj pan na moje pytania, bez czezej gadaniny i długich określań, jasno i dobitnie... Czy o siebie, chcesz się pan radzić?...

— Nie! — odpowiedział krótko mechanik.

— Może szukasz pan rady dla tej małej?

— I to nie...

— Dla kogóż zatem?

— Dla osoby droższej mi niż własne życie, a którą choroba do łóżka przykuwa... Chcę wiedzieć sposób (jeżeli jaka rada jeszcze dla niej istnieje!) żeby jej przynieść ulgę, żeby ją uzdrowić... Czy pańska wiedza, zdolną jest oświecić mnie pod tym względem?

— Wiedza, której ja jestem li tłómaczem, a ta pani kapłanką natchnioną, nie ma granic. Dowiesz się pan o wszystkim, o czem pragniesz wiedzieć, jeżeli masz przy sobie cokolwiek, coby ta chora osoba nosiła na sobie... To warunek niezbędny!...

Jan uczuł dreszcz śmiertelną po tej zapowiedzi

doktora. Ani pomyślał o czemś podobnem! Na szczęście przypomniał sobie, że od dnia ślubu nosi na piersiach medalion ze szkłem podwójnem, zawieszony na sznureczku jedwabnym, a mieszczący wewnątrz kosmyk włosów miękkich i jasnych, jego Marty ukochanej.

Zdjął medalion ze szyi i podał doktorowi.

— Dobrze!... to wystarczy! — Horner skinął ręką. — Teraz wezmę się do uśpienia jasnowidzącej.

Zwrócił się do Pameli z zapytaniem:

— Czy pani myślisz, że sen magnetyczny, każe długo na siebie czekać?

— Bynajmniej! — Pamela odpowiedziała głosem złamanym, a tak eichym, że lewdie można go było usłyszeć. — Czuje że usnę natychmiast!... Nie męcz że mię pan bez potrzeby i nie przygnębiaj, całemi potokami fluidu! Oszczędzaj mnie, błagam!... Jestem i tak śmiertelnie znużoną!...

Horner skinął głową potakująco, i zaczął robić pociągi magnetyczne, dotykając się lekko głowy Medyum, piersi i kolan.

Teraz jest niezbędnem opisanie dokładne, całej sceneryi:

Oto jak były umieszczone osoby znajdujące się w gabinecie Hornera.

Na pierwszym planie, pod światłem lampy, Pamela, na pół leżąca w dużem karle, z którego nie zeszła weale.

Na przeciw niej, plecami obrócony do Jana, magnetyzer, cokolwiek na przód podany, i rękami posuwający z góry na dół.

Za Hornerem, o dwa kroki, Jan niemy, skamieniały, blady jak chusta, zaniepokojony, i mówiący sobie w duchu, że za chwilę dowie się prawdy pocieszającej, lub rozpaczliwej, znajdzie rozwiązanie zagadki: Śmierć, czy życie?!...

Na koniec, na tym samym planie co Pamela, tylko trochę bardziej w głębi pokoju, przy sofce kątowej, mała Blanka, z oczętami wytrzeszczonemi, zdziwiona, niespokojna, niemal przerażona, pytając sama siebie, a nie umiejąca na to odpowiedzieć, czy znowu patrzy na widowisko, tylko jeszcze dziwniejsze i bardziej odurzające niż poprzednio, owe figury woskowe?

Magnetyzer nadając oczom i całej fizyonomii ptaka drapieżnego, wyraz odpowiedni, mądrze wymyślony i skombinowany, robił dalej pociągi, z powolnością na efekt obliczoną.

W miarę jak jego ręce białe, długie, niemal przezroczyste, dotykały się członków lunatyczki, ta drgała nerwowo, nawet rzucała się słabo, niby opierając się fluidowi magnetycznemu.

Nareszcie wszelki ruch w niej ustał.

Wyraz spokoju głębokiego, niczem nie wzruszonego, i błogości nadziemskiej, wystąpił na twarz Pameli, tak przed tem bladej i znużonej. Przez chwilę głowa jej chwiała się w prawo i w lewo, nareszcie opadła na wznak, na poduszki karła. Powieki przymknęły się, oddech stał się równym i spokojnym. Horner uśmiechnął się tryumfująco, i zaprzestał ruszać rękami!

— Spi!... szepnął, zwracając się do Jana.

## XXVI.

— Spi!... — powtórzył magnetyzer.

— A czy ta pani będzie mogła mówić? — spytał Jan nieśmiało — mimo snu głębokiego?

— Myśle...

— Nie jesteś pan więc pewnym tego?...

— Nie... przynajmniej nie w tej chwili... Sen magnetyczny bywa czasem zupełnie milezący...

— Jakże pan się o tem możesz przekonać?

— Badając uspioną...

Horner pociągnął dłonią prawą po czole Pameli i spytał:

— Spisz, nieprawdaż?

Przez chwilę panowało głucho milczenie, wreszcie lunatyczka drgnęła, pierś jej się podniosła, jakby westchnieniem, i prawie ust nie otwierając, szepnęła:

— Tak jest... spię...

— Czy jesteś w stanie jasnowidzenia?

— Jestem...

— W jakim stopniu?

— W najwyższym...

— Widzisz zatem?

— Jeżeli mi każesz widzieć... zobaczę...

— A jak się o co spytam, odpowiesz?

— Odpowiem...

— Przypadek usłużył panu doskonale — Horner wrócił się powtórnie ku Janowi — Lunatyczka wydaje mi się bardzo dobrze usposobioną i zupełnie jasnowidzącą...

— Czy mogę ją teraz zapytać, o to co mi tak cięży na sercu?... — spytał mechanik najnaiwniej w świecie, nie posądzając ani o kuglarstwo, ani o szarlatanizm, i wierząc święcie w to, na co patrzył.

— Daremnie byś pan próbował — odrzucił magnetyzer — nie mogłaby ciebie ani słyszeć, ani tobie odpowiadać... Musisz pan wprost do mnie mówić, a ja jej pytania powtórzę... Ale najprzód, wprowadzę ją w stosunek magnetyczny, połączę prądem z osobą, o którą panu idzie...

Horner wziął medalion z rąk Jana, przyłożył do serca Pameli i spytał:

— Kim jest ta kobieta, której włosy są zamknięte w medalionie?

Na to pytanie nie Pamela nie odpowiedziała.

Zaledwie magnetyzer przestał mówić, odezwał się cieniutki głosik dziecięcy, ale tak drżący, tak zmieniony, że Jan zadrzał słysząc go i zaledwie mógł go poznać. Był to głos Blanki.

— To moja matka — rzekła jasno i dobitnie.

— Cicho, mała! — wykrzyknął doktor — nie mieszaj się do tajemnic, które się odbywają w twojej obecności, ale których zrozumieć nie możesz.

— Nie każ mi milczeć! — zaprotestowała energicznie dziewczynka tonem pewnym i głosem mniej drżącym. — Przeciwnie każ mi mówić, bo dusza moja buja w eterach zdala od ciała uspionego, a moje oczy widzą i przenikają to, czego w stanie zwykłym widzieć by nie mogły...

Zdumiony taką odpowiedzią, która wydała mu się czemś nadnaturalnem w ustach dziecka pięcio-

letniego, Horner zbliżył się do sofki, przy której dziewczynka stała podczas całej sceny poprzedniej.

Teraz Blanka leżała przez pół z głową opartą o jedną z poduszek sofki. Powieki miała przymknięte; policzki to bladły to czerwieniały; po twarzy przesuwaly się niby chmurki na jasnym tle nieba, wrażenia gorączkowe, to niepokoju, to pewnej obawy nerwowej.

Niepodobna było wątpić, i tym razem sam Horner uwierzył w cudowne zjawisko. Blanka Vaubaron spała snem magnetycznym; słyszała, widziała; słowem: była wszechwiedząca...

Oto co zaszło nadspodziewanego w tem siedlisku zręcznego oszukaństwa i kłamstwa bezwstydnego...

W chwili, gdy lekarz grał z Pamelą zwykłą komedye, powtarzaną co dzień i co godzina, Blanka uczuła na prawdę prąd magnetyczny. Zrazu włoski się jej zjeżyły na główce, niby mrówki przeszły po ciałku, nareszcie senność ją opanowała, ubezwładniając powłokę cielesną, a pozwalając duszy, z więzów ciała uwolnionej, przenikać tajemnice zakryte przed ogółem śmiertelników.

Koniec końców, w chwili, gdy Horner, zwrócony do Jana a wskazując na Pamelę, rzekł: — „Spi!” — Blanka uspiąca rzeczywiście, padała na sofę bezwładna.

Przez krótką chwilę zdziwienie głębokie, niesłychane, nieokreślone, sparaliżowało niemal magnetyzera.

Jego położenie można było przyrównać do augura sceptycznego w Rzymie starożytnym, który był go-

tów śmiać się sam ze siebie i z głupców przez niego oszukiwanych a słuchających go z poszanowaniem religijnem, gdyby mu kto był nagle powiedział, iż na prawdę posiada dar proroczy i że bezwiednie przyszłość na seryo przepowiada.

Jedna chwila tryumfowała nad całym życiem niedowiarka. Uparté i wieczne negowanie materyalisty wszystkiego, czego się dotknąć nie mógł, rozbijało się w puch, w obec faktu rzeczywistego i niemal dotykającego. Czego dzieł tyle nie dokazało przez Hornera sumiennie przewertowanych, to miał zdziałać sen Blanki, dowodzący namacalnie, że magnetyzm istnieje.

Zakończenie dziwaczne i niespodziewane jednego z jego szachrajstw na wielki kamień! Horner był zmuszony wyznać sam przed sobą, że sztuka, którą praktykował, nie jest prostem oszustwem!... Jasnovidzenie pewnych istot, obdarzonych wyjątkowym ustrojem nerwowym, było dla niego faktem dokonanym!... posiadał zatem na prawdę ową siłę straszniejszą i tajemniczą, która przemieniła była sławnego Cagliostro w rodzaj mytu legendowego.

Przygnieciony, spiorunowany zrazu tem odkryciem, doktor miał jednak tyle siły nad sobą, iż natychmiast zapanował nad gwałtownem wzruszeniem, odzyskał krew zimną, ukrywając starannie przed Janem swoje zdumienie i niesłychane pomieszanie.

Jan, tak samo widząc co się dzieje, nie zdziwił się z tej prostej przyczyny, że jak dotąd niczego nie rozumiał.

— Popatrz pan! — doktor przemówił tonem nie-

mal uroczystym — patrz tylko, jak potężną jest siła, którą władam! Atmosfera w tym pokoju przepelniona fluidem magnetycznym wywarła i na pańską córeczkę wrażenie, któremu oprzeć się nie mogła... Spi i jest w stanie jasnowidzenia... Ona sama powie panu wszystko, czego zechcesz się o jej matce dowiedzieć.

— Boże miłosierny! — Jan krzyknął przestraszony. — Blanka miałaby być lunaticzką!... To, o czem najmędrsi nie wiedzą, ona ma wiedzieć...

Doktor za całą odpowiedź skinął głową. Vaubaron mówił dalej głosem drżącym z trwogi śmiertelnej:

— Ten sen mnie przeraża!... Jak długo trwać może?...

— Chwilę przelotną, skoro pan tego zażadasz, mogę natychmiast obudzić pańską córeczkę... Dla czegoż jednak nie mielibyśmy popróbować?... Jasnowidzącej nie grozi żadne niebezpieczeństwo, nie dla jej zdrowia niekorzystnego nie wyniknie z tego snu, który pana tak przestrasza...

— Czy ręczysz mi pan za to?

— Ręczę moją głową!... Uwierz pan i przestań się lękać...

— Skoro tak jest — szepnął Jan pokonany — badaj pan Blankę... przystaję...

— O co chcesz ją pan pytać? — wtrącił lekarz — ja mogę li być pańskim tłumaczem...

Mechanik zebrał myśli i zadał kilka pytań, które magnetyzer powtórzył natychmiast jasnowidzącej.

Nie będziemy powtarzali słowo po słowie bada-



nia długiego i szczegółowego, podczas którego Blanka na chwilę się nie zawahała, nie okazała zmięszania lub niepewności.

Jej odpowiedzi potwierdzały poniekąd nadzieję, której dotąd oddawał się Jan i która głównie sprawdziła go tutaj.

I ona wprawdzie wspominała, że stan zdrowia matki jest opłakany, siły żywotne prawie zupełnie wyczerpane, przyczem używała wyrażen technicznych, tak niezrozumiałych i skomplikowanych, że zaledwie doktor Horner, uwagę wyteżając, mógł się znaleźć w tym labiryncie, aby ile tyle zrobić je przystępnymi dla profana w sztuce medycznej; cały jednak wywód mądry niesłychanie zakończyła temi słowami: Że można by jeszcze przedłużyć matki życie, gdyby Bóg jej użyzył dwóch warunków niezbędnych; mianowicie: spokoju niezem niezachwianego i dobrobytu. Dodała równocześnie, że wystarczyłaby wielka boleść, silne wzruszenie moralne, aby zabić chorą na miejscu jakby uderzeniem piorunu.

Daremnie Horner zapytywał kilkakrotnie i pod rozmaitemi formami, która z tych dwóch ostateczności jej matce przeznaczona?

Blanka uparcie odpowiadała:

— Nie wiem i nie mogę powiedzieć... Przyszłość, o której chcecie się dowiedzieć, gruba zasłona kryje przed moim wzrokiem...

— Przebij oczyma tę zasłonę i zobacz! — rozkazywał z naciskiem magnetyzer.

Twarzyczka dziecka przybierała wyraz zniechęcenia a głosem omdlewającym powtarzała:

— Próbuje... radabym... ale nie mogę!...

Widocznie Medyum było wyczerpane, zmęczone i niczego więcej nie można się już było spodziewać.

Horner, zaciekawiony i chcąc posunąć doświadczenie do granic ostatecznych, które dla niego było bezcennem, zaczął badać Blankę nie już o matkę ale o jej ojca i o nią samą.

Dopóki pytał o przeszłość i teraźniejszość, wszystko szło dobrze. Odpowiedzi otrzymane były jasne i jak kryształ przeźroczyste; skoro jednak wkraczał w dziedzinę przyszłości, Medyum bladło jak ściana i zapadało w uparte milczenie.

Horner chciał nadużyć władzy absolutnej, przysługującej magnetyzerom:

Przestał prosić, zaczął rozkazywać.

— Patrz i odpowiadaj! — krzyknął impetycznie.  
— Chcę tego!... rozkazuję!...

Rezultat nastąpił zaraz, ale nie taki, jakiego oczekiwał.

Zmiana dziwna i nagła zaszła w całym jęstwie dziewczynki; twarz straszliwie pobladła; ciało drgające konwulsyjnie w tył się wyprężyło; powieki uniosły się w górę, odsłaniając źrenice szklanne nieruchome, wlepione w jakiś przedmiot, dla reszty zgromadzonych w pokoju niewidzialny, z wyrazem najwyższego wstępu i przerażenia. Usta wykrzywiły się kurczowo, wydając krzyk przeraźliwy, przzerwany łkaniem spazmatycznym. Blanka zaczęła się więc posofce w gwałtownym ataku nerwowym.

Vaubaron, tracący niemal zmysły z trwogi i nie-

pokoju, o mało się nie rzucił rozjuszony na magnetyzera, niby lwica, której lwięta mordują!

Horner zrozumiał grożące mu niebezpieczeństwo i pospieszył takowe zażegnać:

— Przysięgam panu! — zawołał — że jej nie będzie!... Ten atak nerwowy wywołało chwilowe znużenie i zbytne rozdrażnienie... Obudzę natychmiast pańską córeczkę i oddam ją panu spokojną i uśmiechniętą.

— Rób że pan to! i rób prędko! — mruknął gniewnie Vaubaron — bo biada wam wszystkim! gdyby mojej Blance miało się co złego przytrafić!

## XXII.

Po kilku pociągnięciach lecz przeciwnych onym, których doktor u Pameli przedtem używał, nastąpił skutek, przez Hornera przewidziany.

Atak nerwowy ustąpił jak za dotknięciem laski czarodziejskiej, oczy małej zamknęły się a potem znowu rozwarły. Członki jej odzyskały gibkość a oblicze dawniejszy spokojny wyraz.

Blanka podniosła się i utkwiała w doktorze wzrok ciekawość zdradzający, do czego atoli rychło bojaźń przyłączyła się.

Potem rzuciła się nagle ojcu w ramiona jakoby pomocy szukała.

— Widzisz pan, że dotrzymałem słowa — rzekł magnetyzer do Vaubarona — a teraz proszę pana, zapytać córki, ażali pamięta, co się z nią działo.

Lecz patrz! Mała nawet nie rozumiała pytań, które jej ojciec zadawał.

W chwili obudzenia się zatarły się w jej pamięci wszystkie wrażenia snu magnetycznego.

Pierzchły one podobnie cieniom nocy przed światłem słońca nikaącym.

Podczas gdy Vaubaron z tkliwością trzymał Blankę w objęciu, doktor Horner zastanawiał się tymczasem nad rozmaitemi rzeczami.

— Dobrze urządzona komedia — mówił do samego siebie — przyniosła mi szczęście. Hm! Coby to nie było, gdyby zamiast kłamstwa prawda stała! Mógłbym publiczności zamiast mamedel istotną rzeczywistość pokazać! Zamiast fałszywej jasnowidzącej tajemnicze i ciemne wyrocznie dającej, które każdy sobie może wytłumaczyć jak mu się podoba, miałbym rzeczywistość. Tak przychodzą do mnie ciekawi, którzy jako oszukani głupcy dom ten opuszczają, lecz rzeczywistość jasnowidzącą, a do tego w wieku dziecięcym będącą, o tej nikt, nawet największy niedowiarek, nie poważyłby się pomyśleć że zostaje ze mną w porozumieniu, i w jakich dwu latach mógłbym się łatwo stać z nią milionerem. Tobą był rzeczywiście bardzo dobry interes. Muszę się starać zawrzeć układ.

Skutek jego myślenia i obliczeń nie dał długo czekać na siebie.

Zamiast zadowolonego klienta czempredzej wyprawić, jak to dotąd zwykł był dawniej czynić, aby daremnie czasu nie tracić, — Horner tym razem poprosił gościa aby był łaskaw usiąść, a potem rzekł nie obwijając w bawelnę:

— Czy chcesz pan przestać być ubogim i wejść

w położenie takie, iżbyś mógł chorą żonę otoczyć spokojem i potrzebnem staraniem, aby przyszła do zdrowia?

— O zapewne życzę sobie tego! zawolał mechanik — i abym to mógł uczynić, dalbym sobie chętnie krwi utoczyć.

— Dobrze, więc ofiaruję panu majątek. Uważaj pan dobrze, bo mówię zupełnie seryo i nie przyrzekam nigdy nic, czego bym niemógł dotrzymać. Jeżeli pan przyjmiesz wniosek, który panu stawiam, to dam panu natychmiast dziesięć tysięcy franków i zobowiązę się notaryalnie wypłacać panu co miesiąca przez lat dziesięć po trzysta franków. Aby pana zupełnie ubezpieczyć, złożę kaucyę. Cóż pan na to?

Vaubaron bliskim był omdlenia i zdawało mu się, że śni, zbladł i ledwie mógł wyjąkać:

— Ach mój panie! Na czemże polega to, cobym miał za to uczynić?

— To jest bardzo prosta rzecz i łatwą do zrobienia, chodzi tylko o prawny układ, mocą którego pan na całe lat dziesięć ustąpisz mi wszelkich praw ojcowskich względem tego dziecięcia!

— Jak to, moich praw ojcowskich? zapytał mechanik niepojmujący jeszcze dobrze, o co właściwie chodziło.

— Tak jest.

— Lecz w jakimże celu?

— W tym prostym celu, aby przy mnie pozostała, mnie służyła, a potem po dziesięciu latach zwrócę ją panu bogatą i szczęśliwą.

— A co pan z małą chcesz począć? zapytał zdziwiony mechanik.

— Chcę jej użyć do rozgłosu najwspanialszej umiejętności a zarazem ciągnąć korzyści z jej władzy jasnowidzenia, słowem chcę nią zastąpić dotychczasową moją jasnowidzącą Pamełę, której zdrowie od niejakiego czasu podupadać zaczęło.

Na twarzy Vaubarona jawnie się uwidocznił wyraz odrazy i przerażenia, gdy to usłyszał, poczem szybko pociągnął ku sobie Blanę i rzekł żywo:

— Co jabym miał dziecię opuścić? Miałbym je zostawić w obcym domu i oddzielić je od tych, dla których jest wszystkim? Nie, tego ja nie zrobię.

— Zastanów się pan dobrze, radzę panu, zanim mi dasz ostateczną odpowiedź — przemówił doktor — wniosek mój jest tego rodzaju, że bez głupoty wcale odrzuconym być nie może.

— Lecz ja go stanowczo odrzucam i nie potrzebuję się ani chwili zastanawiać.

— Może pan tego potem żałować.

— Przenigdy mój panie.

— Może moja ofiara wydaje się panu za małą. Dobrze więc, pierwszą sumę zapłacę z góry gotówką a oprócz tego podwoję jeszcze datek miesięczny. Czego pan chcesz jeszcze więcej! Mówże pan przecież!

— Możesz mi pan ofiarować, cokolwiek chcesz, lecz ja nie przyjmę ani sto tysięcy franków, ani miliona, ani nawet całego królestwa, którebyś mi ofiarował.

— Więc to jest pańskie ostatnie słowo?

— Raz na zawsze.

— W każdym razie masz pan własną wolę i możesz robić, co ci się podoba, chociażby to było z największą szkodą dla niego, lecz możesz teraz sam powiedzieć, że ci się raz w życiu szczęście nadarzyło i że tę rękę, która ci to szczęście przynosiła, odepchnąłeś samowolnie mogąc tak łatwo pochwycić.

— Wolę mój panie żyć w nędzy niż rozkoszować w dostatkach, za cenę mego dziecięcia — odpowiedział Vaubaron stanowczym głosem. — Gdybyś pan sam był ojcem, mój panie, tobyś pojął także, że nie masz nic podlejszego i bardziej niegodziwego, jak sprzedać własne dziecko, chociażby za największą cenę.

— Niech i tak będzie, lecz podaj mi pan przynajmniej swe nazwisko i adres.

— A na co panu tego?

— Możebym za kilka dni pana odwiedził.

— Daremniebyś się pan trudził, bo jak teraz tak i potem odrzuciłbym wszystko, co byś mi ofiarował.

Horner już nie nalegał dłużej, bo obaczył jasno, iżby daremnie walczył z tą nieprzełamaną naturą. Czuł on, że Vaubaron do owych ludzi się liczy, którzy nigdy z drogi prawa i sumienia sprowadzić się nie dadzą.

Przecież doktor nie wyrzekł się swego przedsięwzięcia, lecz postanowił tylko inną drogą zdążyć do zamierzonego celu.

— No, to dajmy spokój — rzekł potem obo-

jętnie — każdy jest panem własnej woli.

Rzekłszy to, pociągnął za dzwónek. Drzwi bez szelestu otworzyły się, i na progu jawił się służący.

— Odprowadź tego pana i tę panienkę — rzekł doktor do służącego, który się na bok usunął aby Vaubarona i Blanę przepuścić mimo. Przytem spostrzegł służący osobliwsze mrugnięcie oczyma jakie mu pan jego przesłał i niepostrzeżenie dał znak ręką, że pojął dobrze.

Zaledwie ojciec z córką za drzwiami zniknęli, doktor pospieszył czempredzej do innego pokoju, który cały niebieskawym dymem i zapachem wspaniałego cygara był napelniony.

Jakiś młody człowiek spoczywał wygodnie na fotelu, palił ze smakiem wyborne cygaro i przyprawiał sobie grok z rumu i cytryn, dolewając pierwszego żywiołu w obfitej ilości.

Tym młodym człowiekiem była owa ciekawość wzbudzająca, stokrotnie pomnażająca się osobistość, którąśmy dotychczas już nie jednokrotnie poznali, mianowicie pan Rodille.

— Ach! toś ty panie doktorze? — zawołał puszczając z gęby gęste kłęby dymu — cóż się stało do dyabła, i dla czego wpadasz tu jak wicher szalony? Czy ogień wybuchł w domu, czy też może Pamela, ta miła istota, raz w rzeczywistości w magnetyczny sen popadła i pan teraz przychodzisz, abym ją obudził?

— Wstawaj, wstawaj panie Rodille — zawołał doktor — i dalej na polowanie.

Rodille zerwał się jakby pchnięty sprężynami,



pochwyił szklanę groku, a wypróznwszy ją duszkiem, rzekł:

— Czy mam pójść za kim?

— Tak jest.

— A za kim że to?

— Za pewnym, dość jeszcze młodym człowiekiem z małą dziewczynką, który właśnie co wyszedł z mojego gabinetu i jeszcze w ogrodzie znajduje się. Nie pierwej mu otworzą bramę ogrodową, aż go pan z oczu nie będziesz mógł więcej stracić.

— Dosyć. Pan się zapewne chcesz dowiedzieć o nazwisku i mieszkaniu tego człowieka?

— Tak jest w rzeczywistości.

— Rozumiem, biegnę, a po chwili będę z powrotem.

Rodille chwycił za kapelusz i wybiegł.

W chwili gdy dom opuścił, Vaubaron z córeczką byli blisko bramy.

Na znak Rodilla służący otworzył bramę i Rodille pospieszył za tropem swych ofiar.

Znał on bardzo dobrze zasadę roztropnych policyantów, która zależy, aby iść naprzód tego, kogo się śledzi a nie z tyłu za nim. Tym sposobem nie łatwo obudzić podejrzenie.

Postępując wedle tej zasady począł Rodille przybywszy na Boulevard przepychać się przez tłumy ludzi, aby mógł potem przeciąć drogę Vaubaronowi.

Ujrzawszy Vaubarona, zaledwie mógł ukryć zdziwienie.

— A to co takiego? Dalipan, że to rzecz osobliwsza! Ten chłopak za którym mi doktor postępywać kazał, toż to jest ten sam, któremu pewnego wieczora w Palais-Royal do pozbycia się ciężaru kilku tysięcy franków tak zreźnie dopomogłem. Nie jestem w istocie zabobonny, ale ten szczególniejszy przypadek, który mi tego człowieka na drogę sprowadza, każe się spodziewać, że nie jestem dla niego bynajmniej wróżbą wielkiego szczęścia.

Z Boulevard du Temple aż na ulicę Pas-de-la-Mule wcale nie jest daleko, lecz Blanka szła po mału a Vaubaron musiał zboczyć, aby się udać do woźnego, który mu w nieszczęściach swe nieklamane współczucie już nie raz okazał.

Mechanik budował teraz nadzieje na robocie jaką mu dyrektor gabinetu figur woskowych przy obiecał i liczył z pewnością na to, że uzyska krótką zwłokę, jeśli pod słowem honoru zobowiąże się dłużnikowi do dni ośmiu znaczną część zaciągniętego długu spłacić.

Vaubaron jednakowoż nie zastał woźnego w domu, bo wyszedł, aby jakieś dokumenty sądowe dać podpisać, i prosił przeto pisarza, aby doniósł o tem, co sam woźnemu miał do powiedzenia.

Zaledwie to załatwił, Vaubaron udał się do pomieszkania nie zatrzymując się nigdzie.

Prześladowca i szpieg jeszcze bardziej niż przedtem zadziwił się, obaczywszy, że mechanik udał się na ulicę Pas-de-la-Mule, a to zadziwienie jego jeszcze bardziej urosło, gdy zobaczył, że przedmiot jego uwagi udał się do tego samego domu, dokąd

sam uczęszczał, to jest do domu tandeciarza Laridona.

W tej chwili, gdy ojciec z córką drzwi magazynu tandeciarza mijali, wyszedł tenże i wręczył Vaubaronowi stemplowany papier.

— Panie sąsiedzie — rzekł — podczas pańskiej niebytności, przyszedł ktoś do pana, lecz gdy drzwi pomimo długiego dzwonienia nikt nie otwierał, zostawił ten papier u mnie.

— Dziękuję panu — rzekł mechanik, na którym widok podanego papieru wywarł ten sam skutek, jak gdyby mu kto toporem głowę rozplatał — dziękuję za grzeczność. — Rzekłszy to, pobiegł na górę.

Rodille, chcąc się upewnić, ażali szpiegowany tego domu już nie opuści i rzeczywiście tu mieszka, stanął na czatach w niewielkiem oddaleniu od bramy.

### XXVIII.

— Dobrze — pomyślał Rodille — spostrzegłszy, że szpiegowany już się nie pokazał — nie potrzebuję dłużej czekać. A to mi się dobrze trafiło!

Rzekłszy to wstąpił do tandeciarza, który mu wybiegł naprzeciw, mówiąc:

— A! Pan już z powrotem, panie Rodille?

— Tak mój stary, ale nie na długo, na minutę tylko, a potem znowu odchodzę.

— Dokąd, czy nie do panny Urszuli Renaud?

— Mój przyjacielu! Jesteś pan za nadto ciekawy, a ja za nadto milezący i nie rad mówię wiele o tem, co mnie dotyczy, nie lubię także, aby mnie

o to pytano, lecz co się tyczy drugich to chciałbym wiedzieć wszystko, i właśnie chciałbym wiedzieć, kto jest ów młody człowiek, co z dziewczęciem przed chwilą wszedł do tego domu, a któremu pan jakiś papier wręczył?

— To był Vaubaron, mój sąsiad z pierwszego piętra, ubogi ale bardzo poczciwy człowiek — odpowiedział tandeciarz — z powołania mechanik, który właśnie dziś sprzedał mi swoje narzędzia, aby miał żyć z czego. Rzeczy te ot tam leżą obok pana, a co się tyczy papierów, które mu wręczyłem, to wiedz pan, że takie w jego biedzie jak z deszczem spadają. Żona jego, którą ubóstwia, jest bardzo chora i dni jej dawno już są policzone.

Rodille wzruszył ramionami z wyrazem zupełnej obojętności, lecz słuchając, co Laridon mówił, wziął jedno ze sprzedanych narzędzi w rękę, mianowicie rylec bardzo pięknie cyzelowany i bawił się nim niby w roztargnieniu.

— Coż oznaczają te litery? — zapytał.

— To są litery początkowe jego imienia i nazwiska: Jan Vaubaron.

Rodille położył narzędzie, które w rękę trzymał.

— I ten człowiek ma tylko to jedno dziecko? — zapytał dalej.

— Tak, tylko jedno małe dziewczę, które pan widziałeś, lecz powiedz mi pan czy to przypadek tylko, czy też masz jakąś szczególną przyczynę, że się tym nieborakiem tak żywo zajmujesz?

— Niech mnie pan Bóg broni! Słyszę o nim po raz pierwszy i nigdy w życiu nie widziałem go.

— No! a dlaczego pan o niego tak obszernie się wypytujesz?

— Ot tak tylko, aby mówić, lecz nie znam go wcale.

— Ten łajdak kłamie, jak najęty — pomyślał Laridon — lecz w gruncie rzeczy nie mnie to wcale nie obchodzi.

Potem udał się Rodille znowu na ulicę Boulevard du Temple do domu magnetyzera.

— No! cóż tam słychać? — zapytał Horner zaraz na wstępie.

— No! poszedłem za tym człowiekiem z dziećciem.

— I dowiedziałeś się pan o jego nazwisku i pomieszkaniu?

— Całkiem dokładnie. Nazywa się Jan Vaubaron i jest mechanikiem, mieszka na ulicy Pas-de-la-Mule, jest przytem bardzo ubogi ale bardzo poczciwy, ma długie, małe dziecię i umierającą żonę. Oto są wyniki moich poszukiwań, krótkie ale dostateczne.

— Panie Rodille! pan jesteś człowiekiem pełnym ducha, zręczności i bardzo czynnym. Pan możesz jeszcze do czegoś doprowadzić.

— Do diabła! nie inaczej i ja także tak myślę, lecz powiedz mi szanowny panie doktorze, czy mnie jeszcze do czego potrzebujesz?

Magnetyzer nie odpowiedział natychmiast, lecz przechadzał się wielkimi krokami po komnacie, widocznie wzruszony. Zdawał się głęboko myśleć o tem, jakie ma powziąć postanowienie.

W końcu zdecydował się, zaprzestał chodzenia tam i nazad, a stanąwszy przed Rodillem rzekł:

— Tak, mój kochany panie, jeszcze pana potrzebuję.

— O cóż się rozchodzi?

— Nie zbywa panu ani na odwadze, ani na energii — mówił doktor dalej.

— Mam tego dostateczny zapas i chodzi tylko o dobrą zapłatę, abym to stwierdził czynami.

— Niczego się pan nie złękiesz?

— Nawet niemożliwość mnie nie odstraszy, jeżeli nagroda będzie po temu.

— Czyś się pan przypatrzył tej córeczce Vau-baron'a?

— Piękną jest jak Cherub i godną pęzła mistrza.

— Przed godziną zrobiłem temu człowiekowi propozycją, aby mi co do tego dziecięcia ustąpił na lat 10 wszystkich praw ojcowskich, za co mu ofiarowałem bardzo znaczną sumę.

— I on tego nie przyjął?

— Niestety.

— A to głupiec!

— Tym jest także w moich oczach, tymczasem uważaj pan dobrze. Ta mała musi popaść w moją moc, musi zniknąć z koła swej rodziny, ale tak żeby najenergiczniejsze poszukiwania odnaleźć jej nie mogły.

— A do dyabła! — zawołał Rodille.

— I czy panu się zdaje, że to leży po za granicami możliwości? — mówił Horner dalej z trwożliwym oczekiwaniem.

— Ja myślę, że na świecie niema nic niemożliwego.

— I pan byłbyś gotów podjąć się wykonania tej rzeczy?

— To od tego zależy...

— Od czegoż na przykład?

— W zupełności od wynagrodzenia, jakie mi pan przynacysz. Od tego jedynie cała rzecz zależy.

— A zatem na wypadek, gdyby się to udało, ofiaruję panu trzy tysiące franków.

— Na Boga! tylko trzy tysiące franków! — krzyknął Rodille z drwiącą miną — co to za suma i jaki z pana wspaniałomyślny człowiek, nie do uwierzenia! Jeźliś pan tę ogromną sumę Vaubaronowi ofiarował, to wcale się nie dziwię, że odmówił, przecież on nie jest tak głupim, jak z początku myślałem. Ja tak zrobię jak i on, jestem poczciwym człowiekiem i nie przyjmuję.

— No! żebyś pan wiedział, że lubię słuszność, więc powiem sześć tysięcy franków.

Rodille tylko pokiwał głową.

— Jakto, pan jeszcze więcej żadasz? — zawołał Horner — jak, cóż pan sobie myślisz właściwie?

— To jest rzecz zanadto ryzykowna. Wykraść sześćioletnie dziecko w pòsrodku Paryża, to jest zanadto niebezpieczna sprawa, a pobyt w więzieniu nie ma szczególniejszych powabów dla mnie. Daj pan dziesięć tysięcy franków panie doktorze, a wezmę tę rzecz na siebie.

— Więc za oznaczoną sumę wydasz pan dziewczynę w moje ręce?

— Tak jest i chęć jeszcze co więcej i co lepszego uczynić. Przyniosę panu kontrakt, że Vaubaron zwrotu dziecka nigdy nie zażąda.

— A w jakim sposobie chciałbyś pan tego dokazać?

— To jest moja rzecz, a co zresztą może panu na tem zależeć, jaką ja drogą zdążę do celu. Czy zatem układ zawarty?

— Zawarty — odpowiedział doktor.

— W takim razie, mój uczony panie, podpisz pan to i odlicz czempredzej swe dziesięć tysięcy franków, bo je zapewne w krótko zarobię.

Skoro tylko obydwaj lotry umówili się, Rodille nie zatrzymywał się dłużej w domu na Boulevard du Temple lecz wybrał się natychmiast w drogę i dążył ku ulicy Pas-de-la-Mule zwolna i z pochyloną głową, jak człowiek, w którego głowie ważne pomysły się tłumią lub jako ten, kto jakieś trudne, zawikłane przedsięwzięcie chce sobie jasno ułożyć.

Zanim jednakowoż w powieści naszej dalej pójdziemy, potrzeba, abyśmy o początku i sposobie stosunków między Hornerem a Rodillem dali niejakie wyjaśnienie.

Pamela, owa oszukańcza jasnowidząca posłużyła do zawiązania węzła między szarlatanem a bandytą.

Dama ta liczyła Rodilla do swych bliższych znajomych w owym czasie, kiedy jeszcze w ukryciu, w przestrzeni najniższej warstwy ludzi żyła, i zetknęła się z nim przypadkowo wkrótce potem, gdy u magnetyzera swe czynności już rozpoczęła była. Dumna na swe nowe, świetne stanowisko,



zaprosiła go też, aby ją odwiedził, przy czem Fryderyk Horner, wyborny fizyognomista i znawca ludzi, na pierwszy rzut oka poznał, że znalazł zręcznego, i odważnego towarzysza, który ani żadnych uprzedzeń, ani wątpliwości delikatniejszego sumienia nie posiadał.

— Ten urwisz — rzekł do samego siebie — może mi w danym razie bardzo być pożytecznym, muszę sobie tego człowieka zabezpieczyć.

Wiemy, że doktor wcale się nie zawiódł.

Idąc z wolną drogą, zadawał sobie Rodille następujące pytania:

— W jaki sposób może się to udać, aby uniemożliwić Vaubaronowi strzeżenie dziecka?

Jak mogę dziecko uprowadzić? Jak wreszcie uda mi się wszelkie poszukiwania daremnymi uczynić? Hm! Jak ja to wszystko zrobić mogę?

W końcu uderzył się pięścią w czoło i podobnie jak niegdyś Archimedes krzyknął „Odkryłem“ — tak on teraz mruczał pod nosem: Znalazłem.

W tych kilku minutach wymyślił on sobie plan, jaki chyba tylko w głowie samego dyabła powstać może. Najbardziej zbrodniczy człowiek nie mógłby przyjść na coś podobnego. Dwa przedsięwzięcia zupełnie odrębne miały się nawzajem wspierać, jedno z nich miało być poniekąd podwalnią, na której drugie postanowił zbudować.

— W najbliższej nocy — mówił do samego siebie — muszę skończyć z tą Urszulą Renaud i jej starym baronem Viriville. Posiądę jego kasę a pojutro za mojem przyczynieniem się padną wszy-

stkie powody do podejrzenia na mechanika. Otoczę go siecią szpiegów policyjnych, aż w końcu do więzienia pójść musi. Dziecię jego, które natenczas przez ojca już nie będzie strzeżone, będzie należało do mnie. Vaubaron wtenczas będzie mógł krzyczeć, jak mu się podoba, a nikt go słuchać nie będzie. Wreszcie jego własne sprawy zajmą go nadto wiele, aby się mógł mojemi zajmować, a potem nie będzie miał czasu robić hałas o dziecię, chroniąc własnej głowy przed hakiem szubienicy.

## XXIX.

Tego wieczora nie udał się Rodille do swej małej, tajemniczej izdebki na ulicy Radziwiłłowskiej. Nie miał przyczyny przebierania się bo nie szedł ani do owej podziemnej jadalni sławnej dla nówek cielecych na sposób kurcząt przyrządzonych, ani do ogrodu Palais-Royal.

Myśl wielkiego przedsięwzięcia tak go teraz zajęła, że ani na chwilę nie pomyślał o swych zwykłych interesach, podobnie jak doświadczony dowódzca, który widzi zbliżającą się godzinę walnej bitwy i wszystkie siły duchowe skupia, aby wynik tejże obliczyć, wszystkie środki zebrać i niczego, nawet najmniejszej rzeczy niepewnemu przyпадkowi nie zostawić.

Zanim jeszcze 20 minut upłynęło już był na ulicy Pas-de-la-Mule i stał przed domem, gdzie tandeciarz i mechanik mieszkali, i badał okiem znawcy uważnie wszystkich szczegółów a zwłaszcza dobrze się przypatrywał oknom mieszkania Vaubarona.

Było tych okien, jak już wiemy, trzy, a przed niemi znajdował się żelazny ganek, który swą brzuchołą wypukłością wystawał nieco po nad dach jednej ze stajni hotelu barona Viriville.

— A! wszakże to wygodniejsze od wschodów, mrucał Rodille ukończywszy swoje badania.

Wbiwszy sobie wszystko dobrze w pamięć, udał się do małej restauracyi w tej dzielnicy miasta, przepędził potem część wieczoru grając w bilard w jakiejś pokątnej kawiarni, a wreszcie na kilka minut przed dziesiątą udał się przed hotel barona i stanął tu milczący, oparłszy się o słupiec bramy.

Zegar na najbliższej wieżycy kościelnej wskazywał dziesiątą godzinę.

W roku 1830 dzielnica Marais była o godzinie dziesiątej wieczorem już zupełnie opustoszała i bardziej głuchą niż dziś jakikolwiek kątek w mieście chociażby prowincjonalnem. Psy nie mające panów i zgłodniałe koty stanowiły jedyne zaludnienie smutnych ulic.

Zaledwie przebrzmiały głosy dzwonu w powietrzu, podniósł Rodille swą laskę z ołowianną gałką i trzykrotnie lekko do bramy zapukał.

Pukanie to zdawało się być niecierpliwie oczekiwanym znakiem, bo małe drzwiczki w bramie umieszczone otworzyły się natychmiast, kobieca ręka ujęła Rodilla za ramię i wzruszony głos rzekł cicho, ale namiętnie:

— Przecież raz przyszedłeś mój drogi, kochany przyjacielu. Dwa długie dni minęły a nie widziałam

pana ani razu. Ach mój Boże! jak długim wydał mi się ten czas.

— A cóż dopiero mnie, moja ty droga Urszulo! — odpowiedział ogniście bandyta, i przytknął namiętnie usta do białej, pulchnej rączki gospodyni domu — prawdziwie pożerała mnie tęsknota, czułem prawie że umieram i nie mogłem się doczekać tej chwili, w której cię oglądam i tak jestem szczęśliwy.

Na dziedzińcu hotelu było ciemno. Urszula poszła naprzód a za nią udał się Rodille nie ociągając się wcale, jak człowiek, który z miejscowością, gdzie się znajduje, doskonale jest obeznany. Po wchodach szli obok siebie, przeszedłszy potem przez obszerną sień weszli do małego saloniku, który tylko skąpo nocna lampa oświecała.

— Stąpaj pan jak najciszej — rzekła Renaud zaledwie słyszalnym głosem, wstąpiwszy do salonu, — baron ma dziś atak podagryczny, cierpi jak skazaniec i pewnie jeszcze nie śpi.

— Nie prawdaż, że między nim a nami tylko te jedne drzwi się znajdują?

Gospodyni odpowiedziała tylko skinieniem głowy.

Polecenie stapania cicho, jakie Urszula wydała, było zresztą wcale zbyteczne, bo człowiek, którego odwidzinami cieszyła się, posiadał tę wszystkim zręcznym złodziejom wspólną własność, z której Jack Sheppard tak doskonale ciągnął korzyści, w jak najwyższym stopniu.

Oboje potem dostali się do komnat, których gospodynia wyłącznie używała. Komnaty te były bogato przybrane. Na ścianach wisiały drogocenne

malowidła. Moznaby z pewnością twierdzić, że żadna jeszcze gospodynia tak pięknych pokoi nie posiadała, a ktoby był nieobeznany ze stosunkami i tu wszedł, tenby przysiągł, że się znajduje w najpiękniejszych pokojach samej właścicielki hotelu.

Na środku pokoju, dokąd weszli, stał okrągły stół a na nim znajdowały się dwa przepyszne nakrycia z najpiękniejszej porcelany.

Na mniejszym obok dużego stojącym stoliku, ustawiona była dość znaczna ilość większych i mniejszych flaszek z rozmaitemi napisami.

— A moja bogini przy stole — rzekł żartobliwie Rodille — nie można lepiej mówić o miłości, jak gdy się je i pije. Przypatrz no się pani tym kurczętom i temu pasztetowi! Cudowny widok.

— Ach! znajdujesz pan ten pasztet ponętnym? Nadziałam go trufkami z Perigord i spodziewam się że będzie godzien pańskiego apetytu.

— A zatem, gdy jest tak szlachetnego rodzaju, więc na nim zrobimy początek.

— I polejemy tem hiszpańskiem winem, co się jak złoto połyskuje, nie prawdaż?

— Niech żyje nasza miłość, moja ty królowo!

— I nasze bliskie małżeństwo, mój kochany!

Zbójca postawił próżną szklankę na stole i przybrał minę poważną.

— O czem dumasz mój kochany? zapytała spiesznie Urszula.

— Myślę o naszym przyszłym szczęściu i mojej najbliższej przyszłości — odpowiedział Rodille niby ocknąwszy się z marzeń, lecz rychło dodał:

— Myślałem także o testamencie starego.

— A! ten jest w najlepszym porządku.

— Czytałaś go pani?

— To nie.

— Jeżeli tak jest kochana Urszulo, to nie wiesz wcale, jakie ostateczne rozporządzenie baron uczynił.

— Co? Toby me miało być na moję korzyść? zapytała Renaud szydlerczo — co do tego punktu jestem zupełnie spokojna. Baron mówił o tem ze mną więcej niż dwadzieścia razy, a potem komużby mógł w ogóle majątek zostawić?

— Nie ma dzieci — rzekła po chwili — nie ma żadnych krewnych, jestem wszystkim dla niego, a chociażbyśmy przypuścili, iżby myślał o tem, aby mnie wydziedziczyć, to, czyż w takim razie nie byłby w najwyższym stopniu niewdzięcznym?

Rodille słysząc to, przygryzł wargi, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem, bo to, że Urszula mówiła o niewdzięczności barona, wydało mu się nad miarę komicznem.

— Masz zupełną słuszość, ty wzorze Wenery — rzekł po kilku sekundach, których użył, aby powściągnąć ochotę wynurzenia wesołości — masz zupełnie słuszość i jestem daleki od tego, abym nie uznał tego, co mówisz, lecz tacy starzy ludzie są zwykle dziwaczni i widziano już często, że najlepsze spadki z rąk się wysuwały tym, którzy się uważali za najpewniejszych dziedziców.

— To u mnie nigdy nie nastąpi, daję na to w zakład moję głowę! Baroń jest do mnie przywiązany więcej, niż o tem mówić mogę.

— To pewne, bo każdy, kto się do niej zbliży, musi być jej niewolnikiem, tymczasem zawsze byłoby lepiej mieć pewność w tym względzie.

— W jakim względzie?

— No, co do treści testamentu. Jeźliby ten nie był tego rodzaju, iżby w zupełności odpowiadał życzeniom pani, to w takim razie możnaby się postarać o to, aby umierającego nakłonić do zmiany swego rozporządzenia.

— Tak, rozumiem, lecz jakby się to dało uskutecznić?

— Czy wiesz pani, gdzie testament przechował?

— O wiem! Baron umieścił go w mojej przytomności w dobrze zabezpieczonej skrzyni, w gabinecie, który do jego sypialni przylega.

— A gdzież jest klucz do gabinetu?

— Tkwi w zamku, drzwi stoją zawsze otworem.

— A klucz do skrzyni?

— Ten leży pod poduszką barona i nigdy z nim się nie rozstaje.

— I nie byłoby to dla pani możliwą rzeczą przyjść do posiadania tego klucza bodaj na kilka minut?

— Ba, kiedyż?

— Jeszcze tej nocy.

— Wielki Boże! Czego to mi pan doradza?

— Ja? nie, tylko rzeczy bardzo pożytecznej i jeżeli pani chcesz, wcale koniecznej. Zresztą stanie się to tylko w jej własnym interesie, który mnie zawsze zarówno obchodzi jak jej własny. Powiedz pani zatem, jeszcze raz proszę, czy to jest możliwe, tak albo nie?

— Nie mogę powiedzieć „tak“.

— Dlaczegoż pani nie możesz?

— Ten stary głupiec, zapewne nie spi, a chociaż przypadkiem zasnął, toby się zaraz obudził gdyby kto do jego pokoju wszedł. Cóż dopiero gdyby się kto tknął jego poduszki.

— Cóż to może znaczyć? Nie brakuje pani na dowodzie tłumaczenia się. Powiedz pani żeś się obawiała, czy mu nie jest gorzej i żeś przyszła aby mu co podać. Przy tej sposobności będziesz mogła dopiąć swego.

— Jeżeli pani klucz posiadasz — mówił dalej Rodille — to udasz się potem do gabinetu, otworzysz skrzynię, wyjmiesz testament i przyniesiesz mi do salonu. To wszystko może się stać w jednej minucie.

— A co pan myślisz zrobić z testamentem?

— Przeglądnię go, podczas gdy pani nacieraniem, herbata i pociechą będziesz się starała uśmierzyć cierpienia barona. Taki papier można prędko przeczytać. Przekonawszy się o jego treści, zwrócę go pani w tym samym stanie, w jakim mi go wręczyłaś, a pańską troską dalej będzie zanieść go na dawne miejsce, na co nawet minuty czasu nie potrzeba.

— To wszystko jest bardzo piękne, lecz nieprzełamana przeszkoda czyni wykonanie wcale niemożliwym.

— Cóż to za przeszkoda?

— Jest nią koperta opieczętowana, a na pieczęci znak barona wyciśnięty pierścieniem, który zawsze



nosi na palcu. Jakżeż pan kopertę otworzysz, nie naruszywszy pieczęci, a pojdziesz pan, kochany panie Rodille, iżbym względny pana barona na zawsze utracić mogła, coby mnie całego szczęścia w przyszłości pozbawiło.

— Tak, tylko pieczęć panią niepokoi?

— Myślę, że to więcej niż dosyć.

— Wielka myłka i nie więcej. Odbyłem studia w tym względzie, będąc w mojej młodości przez czas dłuższy na praktyce u pieczętarza. Pieczęć nie jest dla mnie żadną przeszkodą i zwróć pani testament tak, jak gdyby go nikt w rękę nie miał. Takie próby robiłem już wiele razy i żadna mnie nie zawiodła. To tylko zabawka, do której prócz trochę zręczności niczego więcej nie potrzeba.

— A jesteś całkiem pewny swej rzeczy, kochany panie Rodille?

— Co? czy myślisz moja najdroższa, iżbym był wstanie mojej najukochańszej bodaj najmniejszą sprawić nieprzyjemność?

— No, to chodźże pan teraz — rzekła Urszula już zdecydowana.

Rodille zatarł ręce z wyrazem niezmiernego zadowolenia.

### XXX.

Po tych słowach Urszula Renaud wstała, wzięła świecę ze stołu i udała się szybkimi ale cichymi krokami do komnaty barona.

Rodille tuż za nią postępował niby cień.

Na obliczu tego człowieka malował się teraz

wyraz, który mu zresztą nie był właściwy.

Wątpliwość, obawa, niepewność i chęć zysku przemykały szybko po jego twarzy i wyraz jego rysów tak był zmienny jak fale morza lub piasek pustyni.

— Jeżeli Urszula odziedziczy, jak sama sądzi — rzekł bandyta do siebie — to postać rzeczy zmieni się zupełnie, dam baronowi umrzeć w spokoju, ożenie się i będę milionerem, czy atoli odziedziczy, to jest pytanie bardzo ważne.

Oboje przybyli tedy nie mówiąc ani słowa do salonu, do sypialni barona prowadzącego.

Tu dopiero zwróciła się kobieta do swego towarzysza.

— Pan musisz tu pozostać i mnie oczekiwać — wyszeptała cichym głosem.

Rodille usiadł sobie wygodnie w fotelu, rozparł się, założył nogę na nogę i zrobił minę, którąby tak wyjaśnić można:

— No tak! siedzę tu sobie wygodnie a na cierpliwości nie powinno mi zbywać.

Urszula przyłożyła ucho do klamki i słuchała z nateżoną uwagą.

— Nie słyszę nic, wcale nic — szeptała — może rzeczywiście usnął.

Trzymając światło w lewem ręku, pocisnęła prawą klamkę u zamka. Drzwi rozwarły się bez najmniejszego szelestu i kobieta przekroczyła próg komnaty.

Zaledwie za drzwiami zniknęła, podniósł się

Rodille, zbliżył się na palcach do nieco rozwartych drzwi i słuchał uważnie.

Sypialnia baróna była obszerna i wysoka, białymi tapetami wyłożona i złoconymi prętami obita. U stropu widziałaś niezmierną liczbę namalowanych bożyszcz miłości i pasterek. W pokoju znajdowały się meble w guście czasu Ludwika XV.

Na ścianach wisiały malowidła przedstawiające dość płóche sceny miłosne.

Ze wszystkiego można było wnioskować, że baron lubiał jasne barwy i wesołe wrażenia

Ogromne kotary z chińskimi tłami zasłaniały potężnymi fałdami bogato zaścielone łóże.

Zaledwie Urszula po miękkim kobiercu kilka kroków naprzód postąpiła, gdy nagle fałdy kotary poruszyły się i ozwał się głos od przestachu drżący:

— Kto tu? Czego chce?

— Ach kochany panie boronie — odpowiedziała kobieta głosem słodkim jak syrop — a któżby to mógł być, jeśli nie ja?

— Tak, to ty kochana Urszulo — odpowiedział zawsze jeszcze drżący głos — lecz cóż to nadzwyczajnego sprowadza cię o tej godzinie do mego pokoju.

— Niepokój przygnał mnie tutaj.

— Mój Boże! czyż jestem bardziej chory, niż zwykle, bardziej, niż mi to zawsze mówicie?

— Bynajmniej, lecz ponieważ pan baron na podagrę dziś bardziej cierpiał niż zwykle, a zwłaszcza w chwili, kiedym go opuściła, więc chciałam, za-

nim się udam na spoczynek, jeszcze raz zajrzeć i zapytać, czy mnie pan baron nie potrzebuje.

— Któraż to godzina?

— Jeszcze niema pół do dwunastej. Właśnie przyszedłam tu w celu usłużenia mu i chciałabym na krześle obok niego noc przepędzić.

W czasie tej rozmowy przystąpiła Urszula do łoża barona i światło świecy padło teraz na wychudłe oblicze barona. Na głowie miał bawelnianą mykę, do czoła wstążką przypasaną jak to w owym czasie było w zwyczaju.

Głowa barona ukryta była w trzech częściach w poduszkach najdelikatniejszymi koronkami obszytych.

Oblicze jego pokryte było niezliczonymi zmarszczkami a głęboko zapadłe oczy patrzyły trwożliwie i miały barwę wyciśniętej zeschłej cytryny.

Widząc to pergaminowe oblicze i to otoczenie, możnaby wziąć barona za Naboba na żółtą febrę umierającego.

Pomimo letnich upałów, cierpiący nakryty był kilkoma pierzynami, bo lekarz sądził, że silne poty uśmierzą upartą podagrę.

— Jesteś dobra i pełna poświęcenia, moja kochana Urszulo — mówił chory — i dzięki ci za to składam z całego serca, jednakowoż nieczego mi tak bardzo nie potrzeba jak snu, a na nieszczęście, tego mi dać nie możesz pomimo najszczerzej woli. Ach! to jest dobro, którego żadnymi pieniędzmi opłacić nie można. Dziękuję ci za ofiarę, którą mi chcesz złożyć, lecz przyjąć jej nie mogę. Dziękuj

Bogu, że sama spać możesz, lecz mnie to szczęście tej nocy nie dostanie się w udziale.

— Niechże i tak będzie, lecz pozwól mi pan przynajmniej poprawić poduszki, tak to wszystko leży bez porządku i przywała pana. Mógłbyś się pan w tem udusić.

Nie czekając dłużej odpowiedzi, postawiła Urszula światło na stole i poczęła na pozór z jak największą troskliwością usuwać nieporządek, który właściwie dopiero sama narobiła.

Poprawiając poduszki pod głową starca, wsunęła ostrożnie rękę pod nie i pochwyciła za klucz od wspomnianej, starannie zamkniętej skrzyni.

— No — rzekła potem — jakże teraz panu?

— O wiele lepiej, czuję się teraz wygodniej.

— To dobrze, lecz pójdę teraz i przygotuję panu filiżankę odwaru z makówek.

— Wiesz pani przecież, że przed dwoma godzinami wypilem już jedną.

— Tak, lecz nie sprawiło pożądanego skutku jak pan widzisz, a zatem druga będzie koniecznie potrzebna.

— Ależ napój już jest całkiem zimny.

— W trzech sekundach przygrzeje. W salonie mam lampę spirytusową.

Urszula wzięła świecę, postawiła srebrną filiżankę na nocnym stoliku, a zasunawszy potem kurtary nad łóżkiem barona, wyszła z gabinetu.

Baron westchnął, bo znał Urszulę Renaud i wiedział dobrze, że wszelkie jego przedstawienia byłyby daremnymi, gdyż Urszula nie ustępowała ni-

gdy i zawsze postawiła na swoim.

Urszula tymczasem otworzyła szybko skrzynię i dobyła z niej pakiecik dobrze opieczętowany z następującym napisem:

„To jest mój testament“.

Urszula schowała dokument do kieszeni, zapaliła potem lampę spirytusową, postawiła na niej srebrną czarkę z odwarem, a wreszcie zbliżyła się ku drzwiom sypialni i rzekła wcale niezmięszana:

— Pański napój panie baronie będzie w minucie gotowy.

— Spiesz się pan — rzekła potem do bandyty, ale tak cicho, że ledwie własny głos słyszeć mogła, — pozostaje nam zaledwie kilka chwil wolnych.

Rodille pochwycił testament i pobiegł do pokoju Urszuli, gdy ta tym czasem do barona się udała i pocieszała go wszelkim możliwym sposobem, zapewniając go ciągle o swem zupełnem rzetelnem poddaniu się.

Śmiały urwisz usiadł tymczasem przy stoliku, wziął nóż do ręki, rozegrzał go dobrze nad świecą i zdjął nim potem pieczętkę tak dobrze, że herb barona nie był w niczem uszkodzony.

Można było łatwo poznać jak zręcznym był w tego rodzaju operacyach.

Z koperty wyjął Rodille poczwórnie złożony papier, który w całości był zapisany. Czytał go szybko, przy czem oblicze jego nie wyraziło ani radości, ani gniewu, ani też zdziwienia.

Uporawszy się z tem, wziął arkusz czystego papieru, złożył go i wsunął w kopertę, schowawszy

testament po prostu do kieszeni. Potem rozegrzał znowu ostrze noża i rychło pakiet tak samo był zapieczętowany, jak przed tem.

Do wykonania tego wszystkiego zaledwie trzy minuty czasu był potrzebne.

Zanim upłynęła czwarta, Rodille wręczył już Urszuli pakiet, na który z niecierpliwością i trwogą czekała.

Oboje współwinowajcy nie zamienili z sobą ani jednego pytania. Potem Urszula pospieszyła się, aby pakiet zamknąć w skrzyni, a wsunąwszy następnie z niepospolitą zręcznością klucz pod poduszkę barona, naląła choremu czarę odwaru a wreszcie pospieszyła do pokoju, gdzie był Rodille, który się właśnie z całą energią zabrał do pasztetu truflami nadzianego.

— No jakże się udało? — zapytała zadyszana — czy dobrze?

— A dlaczegożby nie miało być dobrze? Jeszcze nigdy nie podjąłem się czegokolwiek, czegobym szczęśliwie nie wykonał.

— Więc przeczytałeś pan testament?

— O tak: nie jest on wcale długi.

— A jakaż treść?

— Składa się tylko z jednego rozdziału i tak jest jasna, jak sobie tego moja ty hoża przyjaciółko tylko życzyć możesz. Posłuchaj tylko, brzmi ona dosłownie:

— Zapisuję bez najmniejszego ograniczenia wszelki mój ruchomy i nieruchomy majątek, gotówkę, srebro, słowem wszystko, co posiadam pannie Urszuli

Renaud, mojej jedynej, wiernej przyjaciółce.

Słyszac te słowa, które jej najsmielsze nadzieje przewyższały, Urszula poczuła takie wzruszenie, że omal nie omdlała. Lice jej zbladło i niechybnieby runęła na ziemię, gdyby jej Rodille nie podtrzymał i na fotelu nie posadził. Urszula ścisnęła mu serdecznie rękę i kilka łez potoczyło się po jej policzkach.

Ten stan wzruszenia atoli nadmiarem radości spowodowany, nie trwał wcale długo. Urszula opamiętała się rychło i rzekła potem czułym głosem:

— Dziedzicę wszystko, co posiada, a to są miliony! Co za wspaniały człowiek! O! wiedziałam to dobrze, że się nie okaże niewdzięcznym. Ach! co za szczęście! On nie pożyje dłużej nad ośm dni! O Rodille! Rodille! ty ze mną podzielisz to szczęście. Ach! to jest myśl która mi rozum odbiera.

Bandyta tymczasem zachował swój niewzruszony spokój, nalał szklanke wina i podał ją Urszuli.

— Uspokój się moja droga przyjaciółko, uspokój się i wypij to.

Kochana wychyliła duszkiem podaną szklanke.

— Tak! a teraz pogawędzimy — rzekł Rodille.

### XXXI.

Postanowiono tedy, że małżeństwo między Urszulą a Rodillem nastąpi zaraz po śmierci barona Viriville, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa za kilka dni miał umrzeć z pewnością.

Aby wszystkiemu zapobiedz, coby tę piękną przyszłość odwlec mogło, postanowiono, że Rodille



następnego wieczora znowu do hotelu przyjdzie, i wszystkie familijne papiery do zawarcia związku małżeńskiego koniecznie potrzebne, z sobą zabierze.

Rodille, który się często przebierał, miał także w tej odległej dzielnicy miasta pomieszkanie, na szóstym piątrze domu mało zamieszkanego.

Zaledwie tam przybył i zaświeceł świecę, rzucił się czempredzej na siedzenie i długo nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— No! chciałbym widzieć twarz tej głupiej gąski — mrucał pod nosem — gdyby się dowiedziała, jak ten stary grzesznik z niej sobie zadzwilił. Ona liczy na kilka milionów rocznego dochodu. Otóż to znaczy spaść z pieca na łeb! Zaiste to dzieło miłosierdzia, jeżeli przed tą kobietą ukryję prawdziwy stan rzeczy, bo takie rozczarowanie mogłoby ją zabić na miejscu.

Potem rozwinął poczwórnice złożony papier i czytał półgłosem:

— „Dziś dnia 7. lipca 1830 roku, zdrowy na umyśle, lecz chory na ciele, piszę własnoręcznie niniejszy testament czyli ostatnie woli rozporządzenie.

„Wszelki mój ruchomy i nieruchomy majątek zapisuję moim krewnym, których atoli nazwać nie mogę a to z tej prostej przyczyny, że ich nie znam wcale i nawet nie wiem, ażali żyją na świecie. Miałem wprawdzie brata, lecz od lat czterdziestu wcale o nim nie słyzałem i nie wiem, czy jeszcze jest przy życiu, a jeżeli jest przy życiu, nie wiem, ażali jest żonaty lub nie i czy będąc żonatym ma dzieci lub nie ma żadnych. Nie starałem się nigdy

odnaleźć go.

„Brat mój nazywał się Szymon Bernard, co jest także mojem nazwiskiem. Tytuł barona Viriville jest mu zapewne wcale nie znany. Brat mój urodził się podobnie jak i ja na folwarku Saint Feroel w górach Jura.

„Wykonawcą tego mego testamentu mianuję pana Durada Menneville, mojego notaryusza, który wszelkich środków użyje, aby moich spadkobierców odnaleźć. Proszę pana Durada Menneville, aby jako pamiątkę po mnie przyjął dyament, który w czerwonym, skórzanem etui w moim sekretarzyku znajduje się.

„Z gotówki, którą pozostawiam, należy wziąć tyle, aby moja gospodynia Urszula Renaud miała ztąd zabezpieczony roczny dochód sześćset franków. Dochód ten, razem z oszczędnościami, jakie w czasie dziesięcioletniej służby u mme uzbierała, wystarczy jej zapewne na jakie takie utrzymanie.“

Takie było ostatniej woli rozporządzenie, poniżej którego znajdował się spis posiadanych wartości, znakomitą sumę czterech milionów wynoszących.

Niżej spisu znajdowały się wyraźnem pismem umieszczone wyrazy:

„Andrzej Bernard znany pod nazwiskiem barona Viriville“.

— Toby się dało w danym razie bardzo dobrze spieniężyć! — rzekł Rodille do samego siebie, chwytając papier. — Jeżeli notaryusz kopii tego testamentu nie posiada, co mi się wydaje być wcale prawdopodobnem, to z miłości bliźniego sambym

się mógł wiać do odnalezienia krewnych. Nie byłoby to wcale z nader wielkimi połączone trudnościami i mógłbym znalazłszy, drogo sprzedać tajemnicę. W istocie mam tu w perspektywie bardzo dobry interes i zastanowię się nad nim zdrowo, jeżeli się tylko z nagłą sprawą terażniejszości uporam.

Bezpośrednio po tych budujących uwagach, Rordille położył się do łóżka i w krótkim czasie zasnął snem sprawiedliwego.

Baron Viriville a raczej Andrzej Bernard był synem pracowitego wieśniaka w górach Jura. Uznał on wcześniej, że dlań rodzina tylko ciężarem być może. Jako roztropny i przezorny człowiek starał się przeto uwolnić.

Licząc zaledwie lat ośmnaście, opuścił zatem wioskę rodzinną, ojca i młodszego brata i udał się w świat, aby szukać szczęścia i gonić za bogactwem.

Gonić za szczęściem! W jakim sposob można dojść do tego celu?

Andrzej Bernard znalazł sposób do tego.

Posiadał on w wysokim stopniu zdolność umysłową do wszelkich interesów handlowych, lecz zbywało mu przytem na wszelkich uczuciach a zwłaszcza na sumieniu.

Był on poczciwym lecz tylko dlatego, że poczciwością najłatwiej mógł zdobyć zaufanie ludzi i żyć jakoś na tym świecie.

Przypadkowość jego niestałego, w początkach bardzo trudnego młodocianego życia zawiodła go do Havre, gdzie bez grosza w kieszeni jako chłopiec okrętowy najął się i pojechał do Ameryki. Tam

przeżył większą część młodości i starał się usilnie z niczego coś zrobić.

Z trudem zarobił sobie jako tragarz okrętowy tyle, że mógł dotychczasowe zajęcie na handel przemienić. Oddając się zawodowi kupieckiemu rezykował wszystko, wdawał się w najniebezpieczniejsze spekulacye, lecz zawsze tylko zyskiwał, bo mu szczęście służyło.

Po niejakiach piętnastu latach powrócił do ojczyzny, osiadł w Hawrze i rozpoczął z pięćdziesięcioma tysiącami franków zawód bankiera, wysełając kupieckie statki na morze.

Szezęście jego było bezprzykładne. Majątek jego rósł jak lawina śnieżna i osiągnął wkrótce wysokość wyżej podanych świetnych cyfr.

Mając lat pięćdziesiąt ośm postanowił Andrzej Bernard zaniechać prowadzenia dalszych interesów i używać nagromadzonych bogactw. Posprzedawał okręty i postanowił osiąść w Paryżu aby używać wszystkich rozkoszy, jakich milionerowi to wielkie miasto użyczyć mogło.

Aby ulokować kapitały, zakupił w Normandyi bardzo rozległe dobra, niegdyś własność baronów Viriville stanowiące. Rodzina baronów w czasach wojen rozprószyła się i znikła z widowni.

Zaledwie Andrzej Bernard stał się Paryżaninem, to wydało mu się rzeczą konieczną swe pospolicie brzmiące nazwisko odmienić. Nazwał się przeto po nabytej własności Viriville i przydał sobie tytuł baronowski, co było przecież rzeczą bardzo prostą.

Miał on zresztą do tego dwa bardzo ważne

powody. Pierwszym powodem była dziecinna próżność a potem obawiał się, aby go nie odkryła rodzina, której członkowie zapewne byli ubogimi, gdy tym czasem on tak znakomicie się zbożcił.

Widzimy z tego, jak uparcie baron Viriville trzymał się zasad i przekonania, jakiego nabył jeszcze w dawnej młodości.

Dokonawszy co zamierzał, kupił sobie baron hotel na ulicy Pas-de-la-Mule, najął pół tuzina służących i oddał się z rozkoszą najglówniejszej swej namiętności — sobkostwu.

Z miłości własnej baron ani myślał pojąć żonę.

Strasznie się obawiał trosk i obowiązków, jakie młoda żona i dzieci z sobą przynoszą.

Chciał on najzupełniejszą zachować niezawisłość i w granicach jej używać, jak tylko można. Jego sny młodociane przedstawiały mu życie starego kawalera w Paryżu jako szczyt ludzkiej szczęśliwości.

Wszystko szło przez jakiś czas bardzo dobrze, lecz na nieszczęście pewnego pięknego poranku przyszło mu do głowy, że to rzecz bardzo nudna załatwiać samemu sprawy domowe i dowodzić służącymi. Miało to ten skutek, że począł polować za gospodynią, którejby mógł te wszystkie kłopoty zostawić zabezpieczając sobie używanie spokoju.

Zaledwie wynurzył te życzenia, a już się zgłosiła doń pewna pani, która jego marzonym oczekiwaniom dostatecznie odpowiadała.

Tą gospodynią była Urszula Renaud, w najlepsze świadectwa zaopatrzona, o dziesięć lat młodsza, przystojna, świeża, jednym słowem prawdziwy ideał

towarzyszki dla starego kawalera.

Natychmiast też została przyjęta.

Pomimo zamiłowania w niezawisłości i wolności, stary beżzennik znalazł się przecie bardzo rychło, prędzej niż się tego mógł spodziewać, w niewoli u pani Urszuli Renaud.

Spostrzegłszy się w końcu, że wolność i niezawisłość najzupełniej utracił, był już zupełnie bezsilnym i najmniej zdolnym, aby skruszyć żelazne łańcuchy, któremi go przykuło.

Urszula była nieobyczajną, zepsutą i bardzo niebezpieczną istotą, mimo tego atoli przecie była nieco lepszą od Rodilla. Czasem okazywała dobrą stronę, lecz złe a dobre było u niej w zupełnem zmieszaniu, przy tem zlego o wiele więcej.

Z Rodillem zesłała się u Laridona i rozogniła się ku niemu ową ślepą namiętnością, która kobietę zupełnie czasem opanuje i do szczytu zmienia. Jego tylko chciała pojąć za męża, chciała się stać jego służącą, niewolnicą, chciała mu wnieść wszystko, co posiadała.

Wiemy jak dobrze była przekonaną o tem, że miliony starego kawalera posiadzie, wiemy także, że baron Viriville sam w niej te nadzieje żywił. Okropne rozczarowanie miało być zemstą barona za przebyte udreczenia.

Nie zależało baronowi wcale na prawowitych spadkobiercach, ci byli mu zupełnie obojętnymi, lecz chodziło mu jedynie o to, aby swoje dostatki ochronić przed echiwemi szponami swej gospodyni.

Słówko tylko, a czytelnicy nasi dowiedzą się,

co potrzeba, o położeniu niektórych osób naszej powieści.

Prawny spadkobierca barona wcale nie znał swego krewnego Viriville a raczej Andrzeja Bernard, a przecież ten spadkobierca żył blisko, prawie pod jego bokiem.

Umierająca żona mechanika nazywała się przed ślubem, jak wiemy, Martą Bernard, i była jedyną córką młodszego brata Virivilla z nazwiska Szymona Bernard, który bez majątku jako porucznik na pensyi żył przez czas dłuższy w Paryżu a wreszcie umarł.

Był to przecież szczególniejszy kaprys losu. Mając przed oczyma milionowy spadek na mocy prawa i woli spadkodawcy im się należący, wiodła matka i córka nędzny żywot pełny niedostatku. Lecz prawda, że nie one o tem nie wiedziały a może i nigdy wiedzieć nie będą.

Nie było to wreszcie szczególniejszem zrzędzeniem losu, że Rodille, posiadacz testamentu, dlań zupełnie bezużytecznego, nosił się z myślami, aby nieszczęśliwego Vaubarona w proces kryminalny uwikłać, żonę jego zgubić a dziecko jedyne wydrzeć?

### XXXII.

Następnego popołudnia udał się Rodille do Laridona i rozmawiając bez celu o najrozmaitszych rzeczach, czekał, aby się kto z kupujących pojawił.

Lecz kupujący, jak wiemy przychodzili tu bardzo rzadko i Rodille musiał długo czekać zanim się zjawił jakiś kupiciel. Gdy przybyły z tandeciarzem

targował się o jakąś rzecz, pochwycił bandyta za dłućko i ukrył je starannie. Dłućko to należało do owych narzędzi, które Vaubaron przed kilkoma dniami tandeciarzowi był sprzedawał. Na dłućku były rzeźbione początkowe litery nazwiska właściciela.

Przyszedłszy w tak nieprawy sposób do posiadania cudzej rzeczy, opuścił Rodille ulicę Pas-de-la-Mule, udał się na ulicę Radziwiłłowską i tamże po wschodach dostał się do swego pomieszkania, jakie już znamy, w którym skład rozmaitych strojów znajdował się. Tam jak się zdaje urządził sobie zbrodzień główny skład do skutecznienia przemian. Małym kluczykiem, który zawsze nosił przy sobie, otworzył w kącie stojący duży kufer. Kufer ten dla prokuratora państwa byłby bardzo ciekawym, bo zawierał najrozmaitsze rzeczy, któreby go wielce zajęły. Znajdywało się tam wielkie mnóstwo złodziejskich przyrządów rozmaitego rodzaju, ba nawet drabina sznurowa.

Z kufra dobył Rodille dwa przyrządy, naprzód małe lecz mocne kleszcze i guzowaty sznur, cieńki ale mocny. Na jednym z końców tego sznura był hak stalowy.

Uporawszy się z tem, zamknął kufer.

Potem wsunął do kieszeni maleńką flaszeczkę z niebieskiego szkła, w niczem się nieróżniącą od flaszeczek, jakich w aptece dostać można, tylko była jak powiedzieliśmy bardzo mała, zkad było można wnosić, że zawarty w niej płyn tem większej skuteczności być musiał.

Teraz rozebrał się do połowy, opasał sznurem



silne piersi, wdział na to kamizelkę i ubrał się potem w obszerny, pod samą szyję zapięty surdut. Do kieszeni tego surduta wsunął kleszcze, dłutko i faszeczkę, a oprócz tego fałszywą brodę i wasy.

Potem opuścił pomieszkanie, a my także opuścimy i nie pierwaj z nim się znowu zdybiemy, jak o godzinie dziesiątej wieczorem.

Jakkolwiek to było około połowy września, przecież słońce paliło jak w lipcu i spiekota była ogromna.

Wieczorem wielka była parność i zanosilo się na burzę.

Czarne, gęste chmury pokryły niebo. Błysk płomiennej błyskawicy rozdzierał je od czasu do czasu. Powietrze elektrycznością napelnione, było skwarne i duszące. Każdy oczekiwał w milczeniu dalekogośnego uderzenia gromu.

Było rzeczą pewną, że jeszcze przed północą gwałtowna burza Paryż nawidzi.

Przed uderzeniem dziesiątej godziny zapukał Rodille lekko do bramy hotelu barona, poczem Urszula Renaud otworzyła równie spieszenie jak dnia poprzedniego.

— Ach mój kochany Rodille — rzekła kobieta wprowadziwszy bandytę na dziedziniec — mężczyzna nie uwierzy nigdy z jakim utęsknieniem kochająca go kobieta wyczekuje. Zawsze go z taką niecierpliwością czekałam a najbardziej dzisiejszego wieczora. Coś dziś jakby w powietrzu wisiało i boję się. Tak mi się ciągle zdaje, jakby co straszniejszego miało nastąpić. Tej nadciągającej burzy, tej

samotności już dłużej znieść nie mogłam. — No! lecz w końcu pan przyszedłeś i nie obawiam się już niczego. Pańska obecność zabezpiecza mnie i uszczęśliwia.

We dwie sekundy siedzieli Urszula i Rodille przy tym samym okrągłym stoliku, co wczoraj, a przygotowana wieczerza jeszcze pyszniejszą woń rozszerzała, niż to miało miejsce dnia poprzedniego.

Ku nie małemu zadziwieniu spostrzegła atoli, że jej kochanek pomimo wyborności potraw mało się jadłem zajmował. Zdawało się, jak gdyby Rodille chciał tylko wieczerzę przedłużyć. Jakkolwiek wszystkich sił używał, aby się wydać wesołym jak zwykle, przecież nie mógł się zdobyć na żywość, którą swą uszczęśliwioną bogdanę tylekrotnie zachwycał. Tak minęły dwie godziny.

Około północy zapytał nagle bandyta:

— Moja droga Urszulo! Czyś już wyszukała familijne papiery, które mnie najszczęśliwszym z ludzi uczynić mają, umożliwiając nasz związek małżeński?

— Już są.

— Czy raczysz mi je oddać?

Gospodynia wstała spiesźnie od stołu i otworzyła małą szafkę w kącie pokoju stojąca. Zaledwie obróciła się plecyma do kochanka, ten czempredziej dobył flaszeczkę z kieszeni. Szklanka Urszuli była jeszcze w dwóch częściach napelniona winem cypryjskiem o żółtej barwie.

Bandyta wlał czempredziej kilkanaście kropel bezbarwnego płynu do szklanki Urszuli a potem

w okamgnieniu ukrył znowu flaszeczkę.

Urszula usiadła teraz znowu przy stole.

— Oto jest moja metryka — rzekła — a to są karty śmierci moich rodziców. Ale mój Boże! lękam się prawdziwie, kochany Rodille... oddając ci te papiery. Boże! gdybyś mnie pan kiedy przestał kochać! Nie jestem już tak młodą! Jabym tego nie przeżyła! Jabym umarła!

Urszula niby badała papiery z największą uwagą i rzekła w końcu:

— Wszystkie są w jaknajlepszym porządku. Jutro pomówię w tym względzie z merem. No! pijmy tymczasem na zdrowie nasze i rychłe zaślubiny!

Urszula Renaud chwyciła z zachwyceniem za szklanę i przytknęła ją z zapalem do ust, bo była upojona myślą o związku z człowiekiem, który się jej wydał najpiękniejszym na ziemi.

Rodille także ujął za szklanę, lecz nie mógł być panem siebie i ręka mu drżała. Zamiast pić utkwiał wzrok w kobiecie, wzrok niepokonanej trwogi.

Skutek zadanej trucizny był szybki i straszliwy.

Urszula nie wydała żadnego okrzyku, lecz jej całe ciało wstrząsało się, szklanka wysunęła się z ręki i potoczyła na kobierzec, powieki jej oczu rozwarły się szeroko a głowa nienaturalnie w tył się przechyliła.

Natychmiast powstał także Rodille i zatarł wszelkie ślady po sobie, aby się zdawało, że Urszula sama jadła, zostawił na stole tylko jedno nakrycie, włożył potem otrzymane papiery nazad do szafki, która jeszcze stała otworem, wreszcie wziął świecę

do ręki i udał się do pokojów barona.

Na kilka minut zatrzymał się w salonie tuż przy sypialni staruszka będącym, gdzie poprzedniego wieczoru na gospodynię czekał, która mu testament przynieść miała, testament z ową niebezpieczną klauzulą o jej losie decydującą. Tam będąc wylazł na stół, który do ściany przysunął i za pomocą kleszczy przeciął drut od dzwonka, którym baron na służbę wołał.

Poczyniwszy te kroki ostrożności, wetknął kleszcze nazad do kieszeni, dobył dętka Vaubarona, pochwyił za światło i otworzył z rezygnacją drzwi sypialni zamykając je za sobą...

Upłynęło dziesięć minut. Rodille wrócił.

Na jego obliczu straszna była bladeść. W chustce niósł mnóstwo banknotów, kilka zwitków złota i ozdoby. Nie zapomniał też o drogocennym diamentcie w zielonym, skórzanem etui, który baron Viriville dla wykonawcy testamentu przyznaczył.

Chwilę zatrzymał się bandyta w salonie i złożył owoce swego zbrodniczego działania na stole. Banknotów miał dwadzieścia pakietów, równej grubości, jeden z nich rozwinął i przeliczył. Było w nim dziesięć tysięcy franków. Cała przeto zarobowana gotówka wynosiła dwieście tysięcy.

Nędznik schował potem krwią zbroczony skarb do kieszeni surduta, a przyprawiwszy do twarzy brodę i wąsy wyszedł z hotelu i udał się na dziedziniec, gdzie były stajnie. Nad jedną z tych ostatnich znajdował się balkon Vaubarona.

Nawalnica, która tak długo na niebie wisiała

mogła się zerwać lada chwila. Zadał silny wicher a czarne jak noc chmury gonily po niebie z niesłychaną szybkością. Coraz częstsze rozwidniały noc błyskawice, pioruny były i wznagały się co chwila.

Rodille rozwinął szybko guzaty sznur i starał się hak na dachu stajni uczepić. W tem gdy po kilkakrotnem daremnem usiłowaniu na nowo podniósł rękę do zamachu, wstrzymał się nagle.

W oknie na dachu stajni umieszczonem ujrzał przy świetle błyskawicy sterczący drąg, który służył do windowania na górę wiązań słomy, siana, worków owsem naładowanych, słowem wszystkiego co dla żywienia koni może być potrzebne. Gdy błyskawica ponownie zaświeciła ujrzał bandyta wiszący sznur do końca owego drąga przymocowany.

Chwycił się rękoma za sznur i trzema chwytami dostał się na dach, jak najlepszy ćwiczony gimnastyk. Będąc na dachu zatrzymał się chwilę i odetchnął. Potem laźł z podziwienia godną szybkością coraz wyżej lecz już za pomocą guzatego sznura i po krótkiej chwili wdrapał się na żelazną poręcz balkonu.

— No! myślę, że jestem na miejscu — mruczał, lecz na nieszczęście muszę wybić szybę aby wleźć do środka, a ten Vaubaron, kto go nie wie, czy nie jest tak naiwny, że będzie krzyczał: „łapajcie złodzieja!“ Głupi osioł! Jakby tego wszyscy nie wiedzieli dobrze, że u niego nic ukraść nie można!

Urwisz postąpił naprzód i drżał niemal z radości, mówiąc do samego siebie:

— Jak mi ten los mój nie sprzyja! Wszystko mi się udaje nadspodziewanie, okno jest otwarte i widzę światło wewnątrz.

Zostawmy na chwilę bandytę na ganku i udajmy się do pokoju mechanika. Dyrektor gabinetu figur woskowych dotrzymał słowa.

Już późno wieczorem, gdy Vaubaron z Blanka po odwiedzinach doktora Hornera do domu powrócili, jawił się w domu mechanika komissyoner ze starannie opakowaną figurą woskową, na której mechanik pierwszą próbę swego wynalazku miał odbyć. Mechanik wziął się do roboty z całym zapalem, nie tracąc ani chwili czasu.

Ta praca dla niego tak pociągająca, dawała jeszcze i tę pewność, że mu się w końcu przecież raz uda dotychczasową nędzę na wygodne życie zamienić. Teraz miał nadzieję, że Martę od przewidywanej śmierci przynajmniej na czas dłuższy uchroni. Z taką gorliwością nigdy nie pracował! Jak słodkiem wydało mu się umęczenie, które niem prawie być przestało, bo zbliżało go coraz bardziej od urzeczywistnienia swoich usiłowań.

Pracował przez noc całą bez wytchnienia.

Dopiero nad ranem użył dwugodzinnego spoczynku i to nie z własnego popędu, lecz na usilne naleganie żony. Wstawszy znowu się wziął do roboty, przerywając sobie chwilami chyba tylko na to, aby bądź to Marcie nieść pomoc, bądź nieco się pożywić.

Tak przeminął dzień i robota sporo postępywała, figura woskowa poczęła już być posłuszną kółkom

i sprężynom i będąc przedtem nieruchomą zamieniła się sztucznym sposobem w prawdziwy automat.

Blanka w zachwyceniu klaskała w dłonie a nawet Marta przypatrywała się z niemem podziwieniem robocie, myśląc że Vaubaron przecież raz stanie się wielkim człowiekiem. Tak zbliżył się zmrok a potem nastąpiła noc straszna i burzliwa, jak wiemy, a w pracowni Vaubarona duszno było jak w łaźni. Jakkolwiek okno było otwarte, tak przecież żaden podmuch wiatru nie poruszał światłem na warsztacie stojącym, w około którego niezliczone mnóstwo much krążyło.

Żyły na skroni Vaubarona były naprężone i ciężkie krople potu staczały się po twarzy. Mimo to przecież nie ustawał w pracy i pilował i gładził kończąc robotę.

— Mój przyjacielu odezwala się Marta — znudzysz się zupełnie. Proszę cię, udaj się już na spoczynek. Już cała doba minęła, odkąd bez przerwy pracujesz, każda siła ludzka ma swoje granice. Daj już spokój, jutro dzieło ukończysz.

— Moje kochane dziecko — odpowiedział Vaubaron — pozwól mi jeszcze godzinę popracować, a potem już koniec. Wiesz przecież, że to ostatnia chwila, podobnie jak w bitwie, jeszcze jedno wysilenie i szala zwycięstwa się przechyli. W takiej chwili zatrzymać się lub wcale ustąpić byłoby zbrodnią.

— No, to pracuj jeszcze chwilę — szeptała chora — lecz biore cię za słowo, że za godzinę spać pójdziesz.

— Może do tego czasu zbudzi cię mój okrzyk

zwycięzki — odpowiedział Vaubaron z uśmiechem — takie natężenie sił nie nuży lecz owszem wzmacnia.

## XXXIII.

Najmniejszy szelest, żaden turkot wozów nie przerywał nocnej ciszy, jaka tę ulicę zalegała, tylko od czasu do czasu dawał się słyszeć głos gromu a błyskawice rozświecały ciemności.

W ten czas zawsze lękała się Blanka a wzruszenie jej było co raz widoczniejsze. Mechanik obejmował ją kilkakrotnie ramionami, aby się uspokoiła, a wreszcie położył ją do łóżka, które do łóża Marty przysunął a zasunawszy firanki nad obiema, wziął się dzielnie do pracy.

Tak minęło pół godziny

Duszące powietrze ciężyło nieznośnie na jego piersiach, ręce mu opadły, oczy jego zawarły się i pomimo najszczerzej woli opanowała go nieprzezwyciężona senność. W daremnej walce z gniotącem znużeniem skłonił głowę na piersi i zasnął.

Burza się zerwała. Była to właśnie chwila, kiedy Rodille dostał się był na ganek o żelaznej poręczy. Błyskawica rozdarła niebo i oblala ziemię morzem płomieni. Vaubaron przebudził się i zdawało mu się że marzy we śnie.

Silnie zbudowany mężczyzna, którego oblicze niknęło prawie pod gęstym zarostem brody i wąsów stał przed nim mierząc go gorejącymi oczyma.

W pierwszej chwili zdawało się mechanikowi, że Marta i Blanka są zagrożone, chwycił przeto za młotek na warsztacie leżący aby stanąć w o-



bronie a zarazem otworzył usta chcąc wolać o pomoc.

Nieznajomy a raczej Rodille powstrzymał go rozkazującym skinieniem a zarazem przemówił cichym lecz przekonywującym głosem:

— Bądź pan spokojny, nie masz się czego obawiać, najmniejsze niebezpieczeństwo nie zagraża ci. Daj pokój wszelkiej trwodze i nie obudź żony i dziecka, które spią niezawodnie.

Te słowa, a bardziej jeszcze sposób w jaki wygłoszone zostały, również jak i całe zachowanie się obcego człowieka odjęły wprawdzie mechanikowi wszelką obawę, lecz mimo tego nie mógł się pozbyć zdziwienia z powodu tak niespodziewanego i niewytłumaczonego zjawiska, któreby każdy zabobny lub mniej wykształcony człowiek z pewnością uważał za nadprzyrodzone.

— Nie boję się wcale, bo nie ma się czego obawiać — odpowiedział mechanik również spokojnym, pewnym głosem jak i sam Rodille — lecz zdaje się, że mam wszelkie prawo zapytać pana, po co się wdierasz o północy do mego mieszkania, a przede wszystkim zapytać, kim jesteś?

— Jestem posłaniec opatrzości.

— Tak, a czegoż chcesz?

— Chcę ci przynieść zbawienie!

— Cóż możesz dla mnie uczynić? Lecz pan przemawiasz zagadkowo, a jabym prosił o zwięzłą jasność.

— Chętnie się zgadzam na to i kilka słów wystarczy do powiedzenia wszystkiego. Pan się nazywasz Jan Vaubaron, jesteś poczciwym, zdolnym

i zręcznym człowiekiem, mimo to przecież wszystko, czego się tylko podjąłeś, poszło ci krzywo. Jakkolwiek pracowałeś wytrwale, przecież nie mogłeś pozbyć się trosk i nędzy. Walczyłeś jak bohater lecz zawsze musiałeś uleść, a nawet teraz wzdychasz z powodu ciosu, który twej osobistej wolności zagraża. Jutro porwą cię z ramion rodziny, aby cię osadzić w więzieniu za długi, z którego nie cię wykupić nie zdoła. Czy jest to prawdą, czy nie?

— Tak jest rzeczywiście, wszystko to jest świętą prawdą — rzekł z westchnieniem Vaubaron — widzę zaiste, żeś pan z mojami stosunkami wcale dobrze jest obznajomiony.

— Widzisz zatem, że mi całe twoje położenie jak najlepiej jest znane — mówił dalej Rodille — i budzisz we mnie współczucie. Przypadek, opatrność, świat był dla ciebie zawsze niesprawiedliwy. Przychodzę zatem, aby złe naprawić. Sprawia mi to niekiedy radość, odegrać rolę nieco zapomnianej opatrności; lubię się przytem otaczać tajemniczością pocieszając strapionych, ratując upadłych. Pan cierpiasz, popadłeś w troskę i nędzę — chcę cię wyrwać z tego. Weź zatem, co ci tu przynoszę, zapłać długi, bądź wolny i szczęśliwy!

Mówiąc to położył Rodille cztery banknoty po tysiąc franków zręczną ręką na stole, zarazem atoli opuścił mały jakiś przedmiot, którego jednak wzruszony mechanik wcale nie spostrzegł.

Vaubaron był zdziwiony, odurzony tą niespodziewaną wspaniałomyślnością, która w tak szcze-

gólnych okolicznościach pojawiła się i nie mógł na razie znaleźć słów, któremiby swoją wdzięczność wynurzył, lecz serce jego było przepelnione, z ócz dobywały się łzy, drżał i wyciągnął drżące ręce ku człowiekowi, który mu się teraz nie inaczej wydał jak posłańcem opatrności. Usta jego wymawiały luźne, niezrozumiałe słowa wdzięczności, a opanowany uczuciem, bliskim był rzucenia się przed Rodillem, jak przed świętym na kolana.

Nędznik nie dopuścił do tego.

— Nie dziękuj mi pan, tego nie lubię. Co uczyniłem, o tem niech nie będzie mowy. Przeświadczenie, że dopomógł ubogiej, ale szlachetnej rodzinie, oto jest jedyna nagroda jakiej sobie życzę. Uczyniłem moje, a teraz żegnam pana.

— O mój panie! — błagał mechanik — na Boga, nie odchodź pan tak odemnie, lecz powiedz mi przynajmniej swoje nazwisko, aby żona i dzieci błogosławiły pana, jak ja go błogosławię.

Rodille pokiwał głową.

— Nie mogę i nie chcę — rzekł. — A na cóżby się i przydało, gdybyś pan wiedział? Nie stoi że napisano: „Niechaj twoja lewica nie wie, co daje prawica?”

— Nie poważę się już więcej nalegać na pana, lecz jeżeli już masz pozostać moim nieznanym dobroczyńcą i opiekunem, którego nazwiska nigdy się nie dowiem, to przynajmniej oblicze jego i głos zostaną niezatarte w mej duszy, jak długo mi Bóg życia pozwoli i nie zapomnę ich nigdy. Wspomnienie moje o tobie panie i twej dobroczynności trwać

będzie we mnie dopóki ducha nie wyzionę.

— O do dyabła! — pomyślał bandyta — jak to dobrze się stało, że przypiął brodę i wasy i w ten sposób zmienił moją fizygnomią do niepoznania, lecz także mój organ trzeba podobnie odmienić!

Potem zbliżył się ku drzwiom i rzekł raz jeszcze.

— Bądź zdrów pocziwy człowiecze!

— Nie! nie! — zawołał wzruszony mechanik — nie mów pan tak, ale do widzenia. Nie wiem, co to jest takiego, ale jakiś wewnętrzny, tajemniczy głos mówi mi, że się jeszcze zobaczymy.

— Nie sądzę aby tak było — pomyślał Rodille i opuścił mieszkanie.

Vaubaron chwycił za światło, aby nieznanego odprowadzić i nie pierwszej powrócił, dopóki za nim drzwi domu nie zawarł.

W tej chwili zerwała się burza z całą gwałtownością, ciężkie krople spadały na bruk i dachy, pioruny biły, wicher szalał okropny.

Marta zbudziła się w tej chwili a rozsunięty drżącą ręką firanki nad łóżem rozpięte, rzekła:

— Mój Boże! co tu się dzieje?

Vaubaron pospieszył, aby zamknąć okno, a potem zbliżył się do żony mówiąc:

— Szczęście do nas zawitało moja kochana. Podczas gdy ty spałaś, pan Bóg zesłał nam anioła.

— Jakto? Co ty mówisz?

Wzruszonemi słowy opowiedział Vaubaron co zaszło. Im dalej mówił, tem bardziej rosło zdziwienie Marty i musimy przyznać, że wszystko coraz bardziej zdawało się jej nieprawdopodobnem.

— Ależ mój przyjacielu — rzekła — to wszystko wcale nie jest podobne do prawdy. Niezawodnie zasnąłeś i śniło ci się tylko.

Vaubaron sam uczuł teraz jakąś tajemną trwozę, bo i jemu wydała się ta rzecz najmniej możliwą, opanowała go bojaźń i myślał o tem, ażali nie stał się ofiarą oczarowania.

— Możemy popatrzeć — rzekł — możemy się przekonać.

Rzekłszy to, zbliżył się do stołu i krzyknął.

Zaraz też przystąpił do łóżka trzymając w rękę cztery tysiące franków w banknotach.

— Nie śniło mi się, nie, oto dowód tego. W obec tego faktu, wszelka wątpliwość ustąpić musi. Nie prawdaż, że tego pojąć nie możesz? Mój Boże! ja także nie mogę pojąć i daremnie staram się zgłębić tajemnicę. Lecz cóż na tem zależy? Jesteśmy ocaleni i dziękujmy Bogu.

Ranek zabłysnął, tak czysty, tak pogodny, jak gdyby w nocy żadnej burzy nie było.

Podeczas gdy Marta i Blanka jeszcze spały, wziął Vaubaron trzy banknoty, zwinął je, a schowawszy do kieszeni, udał się do woźnego, który na nim wyrok uwięzienia miał wykonać. Spieszył się bo czuł nad głową wiszący miecz Damoklesa.

Musiał czekać całą godzinę zanim sługa sądowy pojawił się.

— Spodziewam się, po co pan do mnie przychodzisz, kochany panie Vaubaronie — rzekł woźny z wyrazem współczucia na twarzy — pańskiemu wierzycielowi powtórzyłem wszystko, coś mu kazał

powiedzieć, przemawiałem za panem, jak mogłem, ale ja mam ręce związane, jestem tylko maszyną, która działać musi, jak inni chcą. Ten człowiek jest twardy jak kamień, nie da się ubłagać i nie przystaje na żadną zwłokę.

— Mniejsza z tem — rzekł mechanik wesoło — oto jest suma, którą mu dłużny jestem.

— Więc znalazłeś pan środki do częściowego spłacenia dłużnej kwoty? zapytał zdziwiony Baudier.

— Więcej niż to!

— Jakto cały kapitał?

— Kapitał, odsetki i koszty sądowe — oto są.

— Tem lepiej panie Vaubaronie, życzę panu szczęścia z całego serca.

— Dobrze się stało — rzekł woźny dalej — że ludzie, na których liczyłeś, nie zawiedli pana. Gdybyś pan był dziś rano nie przyszedł, to w każdym razie, byłbym go był musiał zaprowadzić do więzienia, jakkolwiekby mi to przykro było, bo prawo jest prawem.

— No, ale przyszedłem wcześniej i sąd handlowy będzie pozbyty trudu zajmowania się moją osobą. Gdzie jest akt egzekucyjny?

— Oto jest.

— Proszę wydać z trzech tysięcy franków, bo jeszcze nie zmieniłem.

Rzekłszy to dobył mechanik pieniądze z kieszeni i wręczył je woźnemu, który je rozwinął, lecz natychmiast na stół opuścił z wyrazem zdziwienia i odrazy.

— Co pan robisz — zapytał Vaubaron.

— Krew jest na tych banknotach — rzekł blednąc Baudier.

— Krew? — powtórzył mechanik.

— Sam pan widzisz.

Vaubaron zgarnął wartościowe papiery i przeląkł się również, zobaczywszy na odwrotnej stronie bankotów świeże, szerokie plamy krwi powierzchniennie tylko nieco zatarte.

— Tak, to prawda, to jest w samej rzeczy krew.

— Czyś pan tego nie wiedział?

— A zkądżebym mógł wiedzieć o tem?

— Otrzymałszy pieniądze, musiałeś je przecież oglądać?

— Tak, zrobiłem to, lecz tylko pobieżnie, zresztą było ciemno, gdy mi je wręczono.

— Tak — rzekł Baudier, przeciągle, z twarzą niedowierzanie wyrażającą.

Ta zmiana w zachowaniu się woźnego nie uszła uwadze Vaubarona i jakkolwiek nie znał przyczyny, przecież czuł się urażonym.

— Zkąd pan te pieniądze wzięłeś?

— Cóż to ma do rzeczy? — odpowiedział zimno Vaubaron niemile dotknięty tonem indagacyjnym, jakiego woźny użył, — dość na tem, że mam pieniądze.

— Masz pan słusność. Wystarcza zupełnie, a reszta wcale mnie nie obchodzi.

Rzekłszy to, powstał i usunął się nieco od swego gościa.

— Mam wydać panu siedmset dwadzieścia pięć franków, oto są. Sługa pana.

Po tych słowach położył woźny wymienioną sumę na akcie sądowym, a potem zamknął podane sobie banknoty w kasie.

— Do widzenia panie Baudier — rzekł mechanik, zabierając papier i pieniądze. — Byleś pan dla mnie zawsze uprzejmym, gdy nieprzyjaciele moi używali pana przeciwko mojej osobie. Dziękuję panu za to z całego serca.

Woźny nic na to nie odpowiedział. Vaubaron chciał mu podać rękę, ale jej nie przyjął.

Mechanikowi uderzyła krew do głowy i była chwila, w której się chciał woźnego zapytać, dla jakiej przyczyny tak się z nim obchodzi, lecz w końcu tylko ramionami wzruszył i poszedł do domu.

### XXXVI.

Biedak opuścił dom w wesołym usposobieniu, jakiego już dawno nie doznawał, lecz po zagadkowym obejściu się woźnego, jakiego się nigdy nie spodziewał, ponure myśli znowu powróciły.

Szedł ze spuszczoną głową i nie jedno go gryzło, czego sobie przecież wytłumaczyć nie umiał.

Gubił się w tysiącznych domysłach, lecz jakkolwiek sobie zadowalającej odpowiedzi dać nie mógł, przecież pytał się ustawicznie samego siebie:

— Co się też obok mnie dzieje tajemniczego i niepokojącego? Zkąd się wzięła krew na banknotach, i co to za szczególny dobrodziej, co mi je dał?

Ku niemałemu zdziwieniu spostrzegł także, że ulica, gdzie mieszkał, zwykle pusta, teraz była tłumami ludzi napelniona, którzy stali kupkami, wszy-



scy przerażeni i głośno w zamieszaniu mówiący.

Zanadto samym sobą zajęty, nie uważał na pół dosłyszane słowa, lecz wstąpił po stopniach do domu a przez kurytarz i wschody do pomieszkania.

Była godzina dziewiąta rano.

Marta po dłuższym wzmacniającym śnie właśnie się obudziła a Blanka, która zwykle sama ubierała się, wybiegła naprzeciw ojcu, który ją objął ramionami i pieścił.

— Mój przyjacielu — rzekła chora — przecież cię nie złego nie spotkało po twoim wychodzie? Czy może złe nowiny przynosisz?

— Nie, wcale nie — odpowiedział Vaubaron pytaniem żony zdziwiony, — lecz dlaczego mnie pytasz o to?

— Bo wyglądasz wcale zmieszany.

— To moje wejrzenie w błąd cię prowadzi, rzekł mechanik siłąc się na uśmiech, a przecież powinno być jeno zwiastunem szczęścia i radości. Byłaby to niewdzięczność, gdybym się w tej chwili nie czuł szczęśliwym i nie patrzył w przyszłość wesołym okiem.

— Jużem się uspokoiła, lecz powiedz mi kochany, co może oznaczać ta ciągła wrzawa na ulicy?

Vaubaron nadstawił uszu i posłyszał głąką wrzawę, zmienną jak bałwany morskie, kiedy biją o skały.

— Myślałby kto, rzekła chora dalej — że mnóstwo ludzi stoi przed naszym domem. Czy może nowa rewolucya wybuchła? Nie słyzałeś nic?

— Nie wcale. Paryż jest spokojny, a zresztą

wrzawa rokoszan brzmi wcale inaczej.

— Cóż zatem dzieje się tam na ulicy?

Vaubaron otworzył okno i przechylił się nad balkon.

Tłum ludzi zdawał mu się teraz dziesięć razy większym, na prawo i lewo ten sam ścisk jak daleko oko sięgało.

Grupa z jakich może jedynasta osób złożona stała w pośrodku dziedzińca hotelu barona Viriville.

Trzej, czarno ubrani ludzie znajdowali się na dachu stajni, po nad którą był ganek Vaubarona. Jeden z nich spostrzegł mechanika i wskazał go palcem obu towarzyszom. Wogóle wszyscy ci ludzie spoglądali ku oknom pierwszego piętra.

W chwili, kiedy się mechanik pokazał, nastąpiła grobowa cisza, lecz trwała zaledwie pół sekundy, a potem jeszcze większy był zgiełk i wrzawa.

Z tych wszystkich tysięcznych gardzieli okrzyków zdawało się Vaubaronowi jakoby słyszał wyrzeczone słowa: To on! To on!

Lecz mógł się mylić, bo wszystko tak było pogmatwane.

Udał się potem do łóża Marty i rzekł:

— Pod naszymi oknami zgiełk nie do opisania lecz nie znam przyczyny. Czy chcesz, abym zeszedł na dół i zapytał?

— A to po co?

— Aby twoją ciekawość zaspokoić, moja kochana.

— Ta mnie nigdy nadto nie piekła. Zresztą jest rzeczą jasną, że to, co się na ulicy dzieje, nie ma z nami najmniejszego stosunku, coż zatem mamy

się troszczyć o to?

Vaubaron sam nie uczuwał wielkiej chęci, aby zejść na dół, przystąpił zatem, jak był zwykł do warsztatu, chcąc ukończyć dzieło, pomimowolnem uśnięciem i odwidzinami tajemniczego gościa przerwane. Po kilku minutach przejął go zimny dreszcz, zarazem dało się słyszeć na ulicy okropne wzburzenie.

— Strach mnie zbiera — rzekła Marta.

— A to dlaczego? — zapytał Vaubaron z uśmiechem.

— Tego nie wiem.

— A ja cię zapewniam, moje kochane dziecko, że nawet nie ma pozoru jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

Zaledwie wymówił te słowa, dały się słyszeć na wschodach mierzone kroki, brzęk szabel i jakby głuchy łoskot uderzenia kolbami o drewnianą poręcz. Za chwilę potem odezwał się dzwonek z niezwyczajną gwałtownością. Vaubaron wstał ze siedzenia, lecz gdy mimo łoża Marty przechodził, chwyciła go za rękę i drżąc na całym ciele rzekła:

— Nie idź, mój przyjacielu, nie idź. Powtarzam ci, że straszna trwoga mnie opanowuje.

— A ja powtarzam ci moja droga, że nie ma się czego obawiać, choćby najmniejszego niebezpieczeństwa.

Zadzwoniono teraz po raz drugi, lecz jeszcze gwałtowniej, niż przedtem. Vaubaron oderwał się od żony i pospieszył drzwi otworzyć.

Przed drzwiami stało kilka czarno odzianych

osób a dwie z nich miały trójbarwne szarfy na piersiach.

Jedną z nich poznał mechanik natychmiast. Był nią ów człowiek, który przed chwilą ze stajennego dachu bardzo znacząco na mechanika palcem wskazywał.

Na wschodach ujrzał uniformy i bagnety, może jakich dwunastu infanterzystów, na widok których pomimo woli cofnął się na kilka kroków wstecz. Do pokoju weszli najpierw czarno ubrani ludzie, a we drzwiach stanęli żołnierze.

— Moi panowie — rzekł półgłosem mechanik — co to ma znaczyć? Czy mnie szukacie?

— Jestem komisarzem policji — przemówił jeden z owych trzech wstępami zdobnych ludzi.

Vaubaron oddał ukłon, a komisarz mówił dalej:

— Mam panu zadać kilka pytań.

— Jestem na usługi pańskie.

— Czy pan się nazywasz Jan Vaubaron.

— Tak jest.

— Jakie jest pańskie zatrudnienie?

— Jestem mechanikiem.

— Czy pan wynajmujesz pomieszkanie, w którym się teraz znajdujemy?

— Zapewne.

— Te okna wychodzą na ulicę?

— Tak, wszystkie trzy.

— Z żelaznym balkonem?

— Nie inaczej?

— Chcemy się przekonać.

Komisarz postąpił kilka kroków naprzód w kie-

runku ku przyległemu pokojowi, żołnierze byli gotowi pójść za nim.

— Mój panie — przemówił Vaubaron z łatwem do wytłumaczenia oburzeniem — jakkolwiek celu pańskich odwiedzin ani się domyślam, przecież zarządzeniom jego będę posłuszny, pozwolę sobie tylko zrobić uwagę, że w tamtym pokoju leży moja żona śmiertelną chorobą złożona, a także córeczka moja jest chora.

— Bardzo dobrze mój panie — odpowiedział komisarz — na szczęście obowiązki względem ludzkości dają się łatwo pogodzić z obowiązkami mego powołania i tylko ci dwaj panowie udadzą się wraz ze mną.

Żołnierze byli posłuszni skinieniu i pozostali w pierwszym pokoju.

Trzej czarno ubrani ludzie i Vaubaron weszli więc do pokoju, gdzie Marta przestraszona i blada jak trup, na łożu się podniosła, wlepiwszy trwożliwy wzrok w przybyłych.

Komisarz pozdrowił młodą kobietę pełnym uszanowania ukłonem, lecz nie mówiąc ani słowa, postąpił ku oknu nad stajnią hotelu leżącemu, otworzył je, wyjrzał na dziedziniec i badał uważnie otoczenie.

Potem przywołał swych towarzyszy i rzekł cichym głosem:

— To jasne jak słońce i nie masz żadnej wątpliwości.

Rzekłszy to zwrócił się komisarz do mechanika, który wszystkiemu co się działo, bardziej z cieka-

wością niż bojaźnią przypatrywał się, bo krótka chwila namysłu uspokoiła go zupełnie.

— Panie Vaubaron, czy możesz pan dowieść świadkami wiarygodnymi, żeś ostatnią noc przebył w towarzystwie przyzwoitych ludzi po za tym domem?

— Ależ mój panie — odpowiedział zdziwiony mechanik — to jest weale zbyteczne.

— Więc pan utrzymujesz, żeś od wczorajszego wieczoru był w domu?

— Naturalnie, aż do godziny siódmej rano, o którym to czasie wyszedłem. Czy mogę się ośmielić zapytać, dlaczego te ciekawe pytania do mnie są zwrócone?

Komisarz spojrział bystro na Vaubarona, jak gdyby chciał w głębokości jego duszy czytać, lecz mechanik spotkał się z nim z otwartością i spokojem co tylko skutkiem czystego sumienia być może.

Żadnego wzruszenia, ani śladu niepokoju albo przestachu — myślał komisarz w duszy.

— Taka pewność napawa mnie wątpliwością. Ten człowiek albo jest niewinny albo strasznie zatwardziały zbrodziej.

— Nie dajesz mi odpowiedzi, panie komisarzu — przemówił Vaubaron po chwili — czy może nie mam prawa zapytać, co to wszystko znaczy, i co pana do mnie sprowadza?

— Co mnie sprowadza? — odrzekł urzędnik nie spuszczać badawczych oczu z osoby mechanika. — To, co mnie sprowadza, jest bardzo przykrym obowiązkiem i nader poważną rzeczą, Janie Vaubaron! Aresztuję pana w imieniu prawa!

## XXXV.

Na te straszne słowa: arestuję pana w imieniu prawa — padła Marta na poduszki, wydała przytłumiony okrzyk, a jej ciało poczęło się trząść jak we febrze.

Mechanik pospieszył do niej, ujął ją za ręce a ściskając pieszczotliwie rzekł:

— Uspokój się moja droga. To, co tu się dzieje jest tylko wypadkiem nieporozumienia i nie ma żadnego znaczenia. Może mam tylko kilka słów temu panu powiedzieć i wszystko się wyjaśni.

Potem zwrócił się do urzędnika, który temu wszystkiemu ze zdziwieniem przysłuchiwał się i rzekł z najzupelniejszym spokojem:

— Teraz pojmuje panie, co mi przed kilkoma minutami jeszcze było niezrozumiałe. Prawdą jest, że dziś rano wyszedłem, aby zapobiedz nakazowi arestowania mnie, co prawdopodobnie pana do mnie sprowadza, lecz udałem się właśnie do woźnego i cały dług zapłaciłem. Akt egzekucyjny jest w mojem ręku i zaraz go panu przedłożę.

Teraz z kolei komisarz nie nie pojmował.

— Co pan tem chcesz powiedzieć?

— Oto jest, rzekł mechanik, dobywając z kieszeni papier, który mu wręczył Baudier.

Urzędnik wziął papier do ręki i przejrzał go w jednej chwili.

— Wszystkim sąsiadom na tej ulicy dobrze wiadomo, że pańskie położenie jest bardzo ciasne.

— Było niem w istocie, panie komisarzu, lecz

nie potrzebuję się mego ubóstwa wstydzić, bo nie powstało ani z lenistwa, ani z lekkomyślności.

— Więc pan zapłaciłeś?

— Trzema banknotami po tysiąc franków.

— Dlaczegoś pan o tak wcześniejszej godzinie pospieszył z zapłatą? Dlaczego wczoraj nie zapłaciłeś?

— Bo wczoraj nie posiadałem jeszcze potrzebnych pieniędzy, aby wierzyciela zaspokoić.

— Więc po wczorajszym wieczorze otrzymałeś pan te pieniądze?

— Tak jest panie komisarzu.

— A wiele?

— Cztery tysiące franków.

— Czy to był dług, który odebrałeś?

— Wcale nie.

— Więc pożyczyleś?

— I to nie.

— Zatem te pieniądze byłyby darowane?

— Tak jest w istocie.

— Czyś je pan wczoraj wieczorem, czy dopiero w nocy otrzymał?

— Dopiero w nocy.

— A od kogo?

Vaubaron zbladł i ociągał się z odpowiedzią bo w tej chwili dopiero począł się domyślać niebezpieczeństwa.

— Pan mi nie odpowiadasz? — mówił dalej komisarz — powtórzę zatem zapytanie: Od kogo pan masz te pieniądze?

— Aby panu na pytanie odpowiedzieć, muszę mu opowiedzieć całą historią.



— A na co? Przeciwnie. Tu się rozchodzi tylko o podanie prostego nazwiska. Chodzi tylko o nazwisko tego przyjaciela i dobroczyńcy, który panu tak wspaniałomyślnie pomocy udzielił.

— Bardzo dobrze, lecz właśnie to nazwisko jest mi wcale nieznane.

Urzednicy spojerali znacząco jeden na drugiego, gdy tymczasem Vaubaron mówił żywo dalej:

— Nazwiska nie wiem wprawdzie, lecz chce wam panowie z całą ochotą rzecz wyłuszczyć.

— To jest całkiem zbędnem i nie mam nawet prawa żądać od pana co do tego punktu jakichkolwiek wyjaśnień, raczej powiedz nam pan, co począł pan z czwartą tysiączką?

— Tę pozostawiłem odchodząc z domu na warsztacie, gdzie zapewne jeszcze leży.

Jeden z urzędników przystąpił do stołu, znalazł banknot i przyniósł go komisarzowi razem z jakimś drobnym przedmiotem, którego mechanik w roztrągnięciu, w nocy wcale nie uważał.

Urzednik rozwinął banknot a przypatrując mu się przez kilka chwil z uwagą, rzekł:

— Tu są plamy krwi. Czy to panu także nie wiadomo, skąd pochodzą?

— I tamte trzy banknoty były krwią zbroczone lecz spostrzegłem je dopiero wtenczas, kiedy mnie na to pan Baudier zrobił uważnym.

Głos, jakim teraz komisarz przemawiał, był zupełnie inny, niż przedtem. Słowa jego były wprawdzie jeszcze i teraz grzeczne lecz ostre i zimne, jak powiew zimnego wichru. Oblicze jego przedtem

współczucie wyrażające było teraz surowe i chłodne jak marmur nie zdradzające najmniejszego poruszenia.

Teraz urzędnik zwrócił uwagę na ów przedmiot razem z banknotem znaleziony, a obracając go w palcach, zapytał:

— Co się tu znajduje w skórzanem etui?

— Co tam jest? Mój Boże... a cóż to jest takiego?

— Właśnie o to się pytam, lecz jak się zdaje, to pan także co do tego żadnego wyjaśnienia dać nie możesz.

Mówiąc to, komisarz nacisnął sprężynkę, a gdy się puzderko rozwarło, zajaśniał brylant w promieniach padającego nań słońca.

— To jest wspaniały dyament wielkiej wartości — rzekł urzędnik — czyś go pan także dziś w nocy od owego wspaniałomyślnego dobroczyńcy z czterema tysiącami franków otrzymał?

Te słowa z szyderstwem wyrzeczone rozjaśniły mechanikowi ciemność, która go otaczała, a w której rozum jego gubił się jak w labiryncie.

— Tak, moi panowie — zawołał — inaczej być nie może. Ów nieznajomy człowiek, który dziś w nocy do mnie przybył, stał najpierw tu przy oknie i niezawodnie on to położył ten brylant razem z pieniędzmi na stole. Tak jest moi panowie. Widzicie sami, jak się wszystko wyjaśnia.

— Rzeczywiście wszystko się wyjaśnia — przemówił urzędnik — chodź pan teraz z nami!

— Z wami panowie? — zapytał Vaubaron — a pocóż jabył miał iść z wami? Już wam powiedziałem, że nic więcej dłużny nie jestem. Pokazałem

wam przecież akt egzekucyjny.

— Mój panie! — rzekł ostro komisarz — niech się panu nie zdaje, że nas w pole wywieść potrafisz. Nikt nie wie lepiej od pana, o co się tu rozchodzi i że nie idzie wcale o błahy zapis dłużny.

— Co? ja jestem aresztowany — zawołał mechanik z rozpaczą. — Ja jestem aresztowany? Ależ panowie! To jest niemożliwe. W życiu nie popełniłem nic złego, mogę przysiąc na to!

— Dowiedzisz pan tego w sądzie, lecz boję się aby się to panu nie udało, a teraz chodź pan ze mną i oszczędź mi przykrej konieczności użycia siły zbrojnej, którą, jak pan sam widzisz, mogę rozporządzić.

— Lecz cóż takiego miałem popełnić? — krzyknął mechanik stłumionym głosem łamiąc ręce. — Toż powiedz mi pan przynajmniej na miłość Boską, o co jestem oskarżony?

— O zbrodnię podwójnego morderstwa i rabunek w sąsiednim domu popełniony — odpowiedział urzędnik najnaturalniejszym głosem w świecie.

— O morderstwo, o rabunek! Ja! Ja jestem o to oskarżony? — krzyczał Vaubaron wznosząc ręce ku niebu.

Byłby może jeszcze więcej mówił, lecz nie mógł, bo słowa zamarły mu w uściech. Zdawało mu się, że oszaleje, że umrze.

Padł na krzesło i przez kilka chwil nie poruszył się wcale, możnaby myśleć że go tknął paraliż.

Marta tymczasem nie mówiła ani słowa, nawet jęku nie wydała. Twarz jej zbladła jak chusta,

ciało skostniało a szeroko rozwarte źrenice zdawały się nie widzieć już więcej.

Dla każdego świadka dopiero co opisanej sceny wina mechanika musiała się wydać udowodnioną. W oczy bijące poszlaki za tem przemawiały.

Wobec zachodzących okoliczności tak dziwnie zgodnych, każdy musiał sądzić koniecznie, że widzi tu zbrodniarza w ręku sprawiedliwości. Nic innego nie można tu było nawet przypuścić.

Komisarz położył rękę na ramieniu Vaubarona i rzekł:

— Wstań i pójdz z nami.

Mechanik wstrząsł się, jakby go dotknęło rozpalone żelazo, zerwał się, lecz zatoczywszy się, omal nie upadł.

— Będę panu posłuszny — wyjąkał cichym głosem — lecz pozwól mi, abym uściskał żonę, zanim mnie zabierzecie.

Urzędnik kiwnął głową na znak zezwolenia. Chwiejnym krokiem poczołgał się nieszczęśliwy do łoża umierającej, przycisnął na pół umarłą do piersi a łkając wyrzekł z trudem:

— Bądź bez obawy moja droga istoto! Rychło powrócę. Bóg wspiera sprawiedliwych, więc i mnie nie opuści. Czekaj na mnie cierpliwie moja droga Marto i uściskaj mnie, abym miał odwagę i ufność.

Lecz słowa jego były daremnymi i nie znalazły posłuchu. Lice jego nie poczuło tehu Marty, ramiona jej nie objęły go, jej zsiniałe usta nie miały już dla niego żadnego głosu.

— Blanka! — zawołał nagle głosem okrutnej

rozpaczy — Blanka, moje drogie, nieszczęśliwe dziecko, niech się Bóg nad tobą zmiłuje! Ojca ci wydierają, nieszczęsna, a matka już umarła!

## XXXVI.

— Ten człowiek jest bezwątpienia winny — pomyślał komisarz, silnie wzruszony tą sceną smutku i rozpaczy — lecz jest przy tem także bardzo nieszczęśliwy. Zbrodnia jego jest wielka, lecz i kara nie mniej straszliwa.

Potem komisarz zbliżył się do łoża, przyłożył rękę do piersi Marty, a poczuwszy jeszcze bardzo słabe bicie serca, rzekł do Vaubarona:

— Pańska żona jeszcze żyje i tylko omdlała, Myślę, że jeszcze przyjdzie do siebie.

— Byłoby lepiej dla niej, bo ta chwila pewnieby ją zabiła.

Na to urzędnik nie znalazł odpowiedzi, lecz rzekł:

— Pójdź pan teraz za nami.

Mechanik nie był w stanie przemówić choćby słowo. Zwiesiwszy głowę i poddawszy się niuunkionemu losowi, wziął potem Blankę na ręce, całował ją i przyciskał z czułością do serca, podczas gdy biedna mała, niema była z przestachu.

Potem oglądał się po pokoju, w którym tyle przebył trosk i nędzy, który atoli w tej czarnej godzinie wydał mu się takim, jak gdyby w nim był bardzo a bardzo szczęśliwy. Potem sam stanął w pośrodku dwu urzędników i skierował kroki swe ku drzwiom.

Vaubaronowi zdawało się, że nie było na świecie okropniejszej męczarni nad te, które teraz na sobie przenosił, a przecież się mylił.

Na drodze cierpień miał on przebyć jeszcze straszliwsze.

Ulica Pas-de-la-Mule była tłumami ludzi przepelniona, które coraz to bardziej zwiększały się, pomimo że żołnierze, którym teraz jeszcze żandar mów przydano, wszystkiego dokładali, aby zbiegowisko uśmierzyć i zrobić przejście w gęstej ciżbie.

W chwili kiedy oskarżony, po bladej twarzy, niepewnym kroku i towarzyszącej straży łatwy do poznania, na progu domu stanął, natenczas podniesiono krzyk okropny, prawdziwie wycie odrazy, nienawiści i pogardy.

Komisarz rozkazał użyć broni, aby się przedrzeć przez tłumy. Najeżonymi bagnętami broniono aresztowanego od napaści. Z prawdziwą biedą dotarli wreszcie żołnierze do rogu ulicy, gdzie na szczęście stał fiakier.

Urzędnik natychmiast użył fiakra, wsiadł z oskarżonym i dwoma żołnierzami, podczas gdy trzeci zbrojny usiadł przy woźnicy. Komisarz kazał jechać wprost do więzienia.

Za godzinę może mechanik siedział już w kazańcu czekając wezwania ze strony sędziego śledczego, aby złożyć pierwsze zeznanie.

My tymczasem powrócimy na ulicę, którąśmy dopiero co opuścili, gdzie Blanka i jej omdlała matka w domu pozostały.

Przy łóżku klęczała mała z twarzyczką ku po-

wale zwróconą, zalewając się łzami. Dziecię oczywiście nie mogło zrozumieć szczegółów tej okropnej sceny, jaka się przed jego oczyma odbyła, ani też była w stanie zmierzyć nieszczęście jakie rodziców dotknęło, bo nie miała jeszcze należytego wyobrażenia o zbrodni, mimo to przecież rozpaczało i myślało, że mu serce pęknie. Wydało mu się tak, jakoby miało zostać opuszczoną sierotą na świecie.

Po kilku minutach Marta poruszyła się, otworzyła oczy i posłyszała płacz dziecka, lecz tak upadła na duchu, że nieprzypominała sobie, co się właśnie stało.

— Co ci jest moje kochane dziecko, czego płaczesz? zapytała.

Dziecię chciało odpowiedzieć, lecz słowa we łzach utonęły.

— Mój Boże! — jęczała kobieta — co tu zaszło? Zapytam się Vaubarona, musi mi powiedzieć.

Dwukrotnie wołała męża po nazwisku lecz nie było odpowiedzi. Gdy dziecko imię ojca posłyszało, poczęło łamać rączki i gorzej płakać niż przedtem.

Marta zawołała Vaubarona po raz trzeci, lecz zaledwie głos przebrzmiał, usta jej rozwarły się i pozostały rozwarte, źrenice rozszerzyły się i przybrały wyraz straszliwego przerażenia, krople zimnego potu wystąpiły na czoło. Pamięć poczęła wracać

Przypomniała sobie, lecz nie mogła wierzyć okropnym rzeczom, które się wydarzyły i teraz przed jej duszą stały.

Światło błysło, zasłona opadła.

Okropny krzyk nieludzkie cierpienie zwiastujący wydarł się jej piersiom.

— Ach! teraz przypominam sobie — jęczała wiem, nie był to sen, on jest oskarżony!

Oskarżono go o zbrodnię morderstwa i rabunku. On siedzi teraz w więzieniu, będzie sądzony a może skazany, a przecież jest niewinny. Na zbawienie mojej duszy przysięgam, że jest niewinny. Niech ludzie mówią, co chcą — on przecież niewinien.

Krew na banknotach jeszcze nie dowodzi niczego. On nie jest w stanie nawet co złego uczynić a nawet pomyśleć. Jak on kocha mnie i dziecię. On jest najpoczciwszym człowiekiem i więcej wart niż wszyscy ci, którzy go oskarżają. Dlaczegoż go wyprowadzili! Dlaczego omdlałam, gdy to się stało! Jabym go była broniła i nie dozwoliła pójść! Jabym im była powiedziała wszystkim: On jest niewinny! Puście go, bo inaczej zabijecie biedną, chorą kobietę, dla której on jest wszystkim! Lecz dlaczegożby się to teraz stać nie miało? Tak pójdę, odnajdę sędziów jego i powiem im, że aresztować tego człowieka, to znaczy uwłaczać sprawiedliwości. Wykażę im, jak nieskazitelnem było jego całe życie i pojmą mnie, uwierzą mi i wrócą go wolności i nam. Czy słyszysz Blanco że naszego ojca uwolnią. Pójdź, poprowadzę cię biedna sieroto. Twój ojciec musi bardzo boleć z powodu że nas nie widzi i uściskać nie może.

Im dłużej Marta w ten sposób przemawiała, tem bardziej wzmagalo się jej wzruszenie i doprowadziło ją w końcu do prawdziwego delirium. Zapomniała o



wszystkiem, i miała teraz tylko jedno życzenie, tylko tę jedną myśl, aby niewinność Vaubarona ogłosić, wyrwać go z rąk sprawiedliwości i przyprowadzić do domu.

Podniosła się z łoża i przejęta gorączkową siłą ubrała się spiesźnie.

Lecz to jej nerwowe wzruszenie nie mogło być długotrwałe.

Zaledwie kilka minut upłynęło, poczęła słabnąć i chwyciła się firanek u łoża wiszących aby nie upaść, lecz słaba, przestarzała materya przedarła się jej w palcach a Marta runęła na ziemię. Ratuując się jak mogła, czogęła się potem ku drzwiom jęcząc a wreszcie upadła. Odddech nieszczęśliwej stawał się co raz trudniejszym, oczy utraciły blask życia i tylko kurczowe drgania ciała świadczyły, że jeszcze żyje. Wreszcie i te ustały.

Ostatnie westchnienie wydarło się jej ustom i skonała.

Marta umarła po rozpaczliwej walce ze śmiercią, bez pociechy kapłana, któryby jej ulżył rozstanie się z tym światem, bramy niebieskie wskazując.

Blanka myślała z początku, że matka tylko zasnęła i starała się jak mogła powstrzymać płacz, aby snu drogiej istoty nie przerwać. Przez niejaki czas lzy jej płynęły w cichości lecz wkrótce spostrzegła ze zgrozą sztywne, nieruchome ciało. Bała się szeroko rozwartych oczu, które zdawały się patrzeć a nie widzieć, a potem tej okropnej bladości twarzy jak z marmuru.

Dziecina chciała matkę zbudzić.

Blanka pochwyciła drogie ręce, lecz te były

zimne jak u statuy kamiennej.

Przestrach nie do opisania opanował jej duszę i pozbawiał rozumu. Jakieś nieokreślone uczucie mówiło jej, że dusza opuściła to ciało i że teraz sama przy trupie się znajduje. Ukryła się w najodleglejszym kącie izby, poczęła krzyczeć i niezrozumiałe głosy wydawać, załamywała ręce a wreszcie wołała ojca... Tak minęło kilka godzin i siły zaczęły ją opuszczać. Jej rozpaczliwe krzyki zamieniły się w łkanie, lecz pomimo tego oczy jej pozostały suchemi. Dostała obłędu i straciła przytomność.

Siedząc skulona w kąciaku nie ruszała się, jak gdyby sama już trupem była.

Mijały godziny a w końcu ciemność pokój zalegała. Blanka siedziała jeszcze ciągle w tem samym miejscu drząc na ciełe.

Nagle wstrząsła się cała i przestraszyła okropnie, bo w przyległym pokoju dał się słyszeć szelst, jakby stąpanie nóg bardzo ostrożne a wreszcie drzwi się otworzyły.

### XXXVII.

Nowa osobistość pojawiła się na widowni, gdzie leżał trup matki i biedna sierotka w kąciaku kucała. Zamknęła drzwi za sobą i zatrzymała się w progu.

Ponieważ było ciemno, Blanka nie mogła widzieć człowieka i tylko oddech słyszała, co jej trwogę jeszcze pomnożyło.

Nagle rozwidniło się w pokoju.

Przybyły odsłonił szybko małą latarke, którą niósł w lewej ręce i zwrócił jej promienie najpierw na trupa matki a potem na drżące dziecko.

Tym obcym człowiekiem jest nasz dawny znajomy, jakkolwiek trudny do poznania, bo, jak wiemy, najrozmaitsze postacie przybierał.

Wobec nas wstąpił on zeszłej nocy do tego pokoju, aby spełnić zbrodnię, która śmierć i nieszczęście zrodziła.

Rył to Rodille.

Nędznik zdawał się być wcale spokojnym. Podszedł teraz ku Blance, która nań jak na straszdyło wielkimi oczyma patrzyła.

Gdy się jeszcze bardziej zbliżył, dziecko wyciągnęło okropnie przestraszone rączkę, jak gdyby się chciało chronić tego potwora i otworzyło usta, aby wydać okrzyk trwogi.

Okrzyk ten mógł być słyszany, coby bandycie wcale nie było na rękę, musiał się przeto starać stłumić go w zarodku.

Stanawszy rzekł cichym przyjaźnym głosem:

— Czy się mnie boisz dziecko?

Dziecina nie była wstanie dać odpowiedzi, lecz bojaźliwy wzrok i śmiertelna bladość twarzy dostatecznie były wymownymi.

Rodille mówił dalej jak najbardziej łagodnym głosem, na jaki tylko zdobyć się mógł:

— Byłoby mi bardzo przykro, moje kochane dziecko, gdybym cię przestraszył, i zarazbym się oddalił, lecz ojciec twój, który cię tak bardzo kocha, przysłał mnie do ciebie, więc odejść nie mogę.

Rodille nie omylił się w oczekiwaniu. Dziecię uczuło się spokojniejszem.

— Czy pan znasz mego ojca? wyszeptano tak cicho, że zaledwie można się było słów domyśleć.

— Czy go znam! Wszakże ja jestem jego najlepszym przyjacielem.

— I widziałeś go?

— Widziałem go moje dziecko.

— A kiedy?

— Zaledwie przed godziną wyszedłem od niego.

— I ojciec powiedział, żebyś pan tu przyszedł?

— Nie mógł tego zrobić bo ci ludzie, którzy go zabrali, dopiero za kilka dni go uwolnią.

— To są niedobrzy ludzie — rzekła Blanka — mój ojciec nie zrobił im nic złego, nie prawdaż?

— Niezawodnie, lecz teraz czuje się bardzo nie-szczęśliwym i tylko jedno mogłoby go pocieszyć to jest, gdyby swoją kochaną Blankę mógł uściskać.

— Ach, ja także tęsknię za temi radabytami i uściskać, lecz gdy tu przyjsz nie może, jakżeż to możliwe?

— Taby się dało zrobić, zaprowadziłbym cię moje dziecko i właśnie ojciec przysłał mnie po to.

— Dobrze, dobrze, więc chodźmy prędko do niego, rzekła Blanka porywcz, lecz nagle potem wstrzymała się w pośpiechu.

— A dlaczegoż się ociągasz, czy nie chcesz pójść?

— To nie, ale gdy my pójdziemy, to biedna mama, która taka zimna na tej twardej leży podłodze, może się obudzić, i byłaby sama w domu, gdy nas nie będzie.

— Prawda, że zostanie samą gdy za nami pójsz

nie może, lecz nasza nieobecność nie będzie długo trwała. Zaraz cię tu nazad przyprowadzę moje dziecko, skoro cię tylko ojciec zobaczy: uściska, a dobre nowiny, które z sobą przyniesiemy mile obudzą śpiącą matkę.

Nie potrzeba było nic więcej, aby pokonać obawy dziecka i wygrana była po stronie Rodilla. Od tej chwili dziecię było uspokojone a ująwszy z ufnością podaną sobie rękę, poszła Blanka z Rodillem.

Nie zdybali na wschodach nikogo, a także na ulicy prawie nie było nikogo. Za ledwie oddalili się nieco od domu, wziął bandyta małą na rękę, aby móżdż pospieszyć i w kilku minutach przybyli na Boulevard.

Tam wsiadł Rodille do fiakra i rzekł do woźnicy:

— Palais-Royal, — jedź szybko. Dwadzieścia sous nagrody.

Blanka od dłuższego czasu nic nie jadła i czuła się przeto osłabiona. Do tego przyczyniło się wzruszenie. To też za ledwie w powozie usiadła, położyła główkę na poduszce i zasnęła.

Przybywszy na Palais-Royal, dokąd przybył li tylko dla omylenia możliwych poszukiwań za dzieckiem, Rodille zszedł z wozu trzymając w ramionach uspione dziecko.

Uszedłszy kawał drogi, wsiadł do innego fiakra i kazał się zawieść na Champs-Elisé, tam gdzie dzisiaj aleje w gwiazdę się zbiegają.

Wysiadł potem, a upewniwszy się, że najgorliwsze poszukiwania nie byłyby w stanie odkryć uprowadzonego dziecięcia, zwrócił kroki ku małemu

domkowi w pobliżu Neuilly.

Plan Rodilla był prosty, lecz we wszystkich szczegółach bardzo dobrze obmyślany. Po śmierci nieszczęśliwej Urszuli Renaud i barona Viriville użył nędznik całej swej dyabelskiej zřeczności, aby ciężar zbrodni zwalić na mechanika.

Widzieliśmy, jak sobie poczynił.

Miał on przytem dwojaki cel na oku, raz, aby uwagę sądu zwrócić na kogo innego, a potem opanować Blanę, która sama i bez pomocy zostając, żadnym sposobem z rąk mu się wysliznąć nie mogła.

Jak sobie czytelnicy przypomną, miało to dziecicę dla Rodilla wartość dziesięciu tysięcy franków, bo taką sumę Horner mu ofiarował, jeżeli mu dziecicę wyda. Oprócz tego miała dlań Blanka jeszcze inną wartość, jak się o tem zaraz dowiemy. Wszystko poszło jak z płatka, lecz Rodille był zanadto chytry a z drugiej strony zanadto cheiwy, aby niemieckiemu lekarzowi oddać dziecicę za tak blahem wynagrodzeniem.

Nie wąpił o tem ani chwili, że przez kilka dni w całej dzielnicy Marais o niczem mowy nie będzie, jeno o tajemniczem zniknięciu córki zbrodniarza Jana Vaubarona.

Z powodu tego postanowił przez dwa lub trzy tygodnie dziecicę trzymać w ukryciu, dopóki powszechna uwaga na inny jaki przedmiot nie zwróci się.

Żadna kryjówka nie zdawała mu się być bezpieczniejszą, jak jeden z owych dwu domków pod Neuilly. Toż gdy wysiadł z dorożki, wziął dziecicę na ręce i poniósł je do jednego z nich.

W chwili, gdy wetknął klucz do zamku, obudzila się mała i westchnęła.

— Moje kochane dziecko — rzekł nędznik jeszcze zawsze tym samym łagodnym głosem, czy cię może co boli?

— Tak jest, czuję się bardzo słabą i oczy mnie pieką... lecz myślę, że mi się polepszy, gdy ojca zobaczę. Czy daleko jeszcze iść mamy?

— Nie, bośmy już przybyli.

Mała nie posiadała się z radości.

— W końcu uściskam ojca — rzekła — co za szczęście.

— Tak jest moje dziecko, za kilka minut; odpowiedział Rodille otwierając drzwi.

### XXXVIII.

Na drodze z Pas-de-la-Mule do więzienia, komisarz kilkakrotnie zadawał więźniowi pytania, lecz nie otrzymał odpowiedzi, a to po prostu dlatego, że Vaubaron nic nie słyszał, ba nawet nie był w stanie przemówić choćby słowo, jakkolwiek nie był zmysłów pozbyty.

Oczy miał otwarte, usta jego poruszały się, siedł prosto lecz osłabienie ubezwładniło chwilowo pamięć jego i władzę myślenia.

Vaubaron podobny był do człowieka, który otrzymawszy silne uderzenie w głowę, traci pamięć myśli i słowa.

Minęły może dwie godziny od czasu uwięzienia mechanika, zanim duch jego przyszedł do siebie. Vaubaron natenczas ujrzał się w ciasnej kazamacie,

którą oświecało tylko jedno małe, dobrze okrątowane okienko, dość wysoko umieszczone.

Słabe oświetlenie zaledwie dało rozpoznać rzeczy w kaźni umieszczone, a mianowicie łoże z grubych kłoców złożone, drewniany stołek, dzbanek i jakieś większe drewniane naczynie, krążkiem nakryte, do cebrzyka podobne.

Vaubaron przypatrywał się na razie tym przedmiotom i nie pojmował niczego.

— Gdzież to się znajdują? zapytał siebie samego — co to za osobliwsze rzeczy i kto mnie tu przyprowadził?

Aby rozpędzić mgły, które umysł jego zciemniały, chciał doprowadzić ręce do czoła, lecz poczuł przeszkodę, ból w zgięciach ręki i posłyszał chrzęst żelaza. Popatrzał na ręce i przeraził się.

Na rękach miał założone kajdany.

— Ach, jak ja jestem nieszczęśliwy — zawołał oprzytomniawszy już zupełnie — uwieziono mnie, oskarżono o straszną zbrodnię, okuty siedzę teraz w ciemnym więzieniu a Marta umiera i woła mnie w straszliwej trwodze. Bóg mnie opuścił i jestem zgubiony!

Vaubaron upadł na duchu bo nie widział żadnego promyka nadziei i powtarzał ciągle:

— Tak, tak, jestem zgubiony!

Głowa jego pochyliła się ku piersiom, począł łkać i gorące łzy potoczyły się z oczu na ziemię.

Łzy sprawiły mu niejaką ulgę i uśmierzyły straszne cierpienia, w skutek których włosy jego w jednej godzinie posiwiały. Uspokoił się nieco.



— Dla czego rozpaczam? zapytał teraz samego siebie. Wszakże już nie raz oskarżono niewinnego człowieka w skutek zbiegu dziwnych okoliczności. Nie jeden już jęczał jak ja w kajdany zakuty, a w końcu wyszedł zwycięzki z ciężkich doświadczeń. Prawdą jest, że mnie oskarżono o zbrodnię, którą znam tylko z nazwiska, lecz oskarżenia tego nie potrzebuję się obawiać, bo polega tylko bądź na pomyłce bądź też na kłamstwie. Przecież nie mogą mieć dowodów, któreby przeciw mnie świadczyły, bo jestem całkiem niewinny, a także przeszłość moja za mną przemawia. Daj tylko Boże, aby moja biedna Marta na śmierć się nie zagryzła i abym ją zastał przy życiu.

Właśnie w chwili, kiedy więzień to życzenie wynurzył, nieszczęśliwa jego żona walczyła ze śmiercią a wreszcie skołała. Stało się to w tym samym czasie, kiedy Vaubaron błagał pana Boga o utrzymanie jej przy życiu...

Cichy szmer, najpierw oddalony a potem coraz bliższy dolatywał teraz do drzwi więziennych i zajął uwagę więźnia, który nie inaczej był przekonany, jak że zbliża się chwila usprawiedliwienia się i odzyskania wolności.

Posłyszał teraz chrzęst w zamku, poczem potężne drzwi więzienia rozwarły się. Blask światła rozwidnił kaźnię i dał spostrzedz gromadkę ludzi z dozorczy więźniów, dwóch urzędników i dwóch żandarmów złożoną.

Ponieważ Vaubaron o tak ciężką zbrodnię był obwiniony, więc było rzeczą naturalną, że dozorca

osobiście chciał się przekonać, ażali zarządzo no  
potrzeba. Nikt nie przemówił choćby słowo.

Mechanik, który się spodziewał, że go pytać  
będą, powstał szybko i był gotów odpowiadać myśląc:

— Bogu dzięki! Więc przecież mnie raz wyrwą  
z pozerającej niepewności, przesłuchają i wymierzą  
sprawiedliwość. Może już za godzinę będę uwolniony.

Potem żandarmi wzięli Vaubarona pod ręce i  
wyprowadzili z kaźni. Urzędnicy postępywali przod-  
dem a dyrektor z tyłu. Tak uszykowani szli wszy-  
scy ponuremi korytarzami więziennego budynku.

Nie ma nic przykrzejszego jak widok takiego  
pochodu w labiryncie krzyżujących się korytarzy,  
kędy od wielu set lat tylko zbrodniarzy wodzono.  
Kilkakrotnie zdybywali się z ludźmi kupkami sto-  
jącymi. Wszyscy zwracali ciekawe oczy na kajda-  
niarza przez dwóch żandarmów prowadzonego.

Vaubaron palił się od wstydu, gdy mimo ludzi  
przechodząc słyszał szeptane słowa:

— Oto jest morderca z ulicy Pas-de-la-Mule!

Zdawało mu się, że umrze z powodu niemożli-  
wości rozprószania tych podejrzeń. Wreszcie wszedł  
więzień i towarzyszący mu ludzie na korytarz, gdzie  
było mnóstwo drzwi liczbami oznaczonych. Były to  
kancelarye urzędników sądowych.

Dozorca wskazał palcem na jedno z tych drzwi.  
Urzędnicy otworzyli je, i żandarmi wprowadzili wię-  
źnia do wnętrza, nie puszczając go z rąk ani na  
chwilę.

Vaubaron stał tedy przed sędzią śledczym, w  
którego mocy było po pierwszym przesłuchaniu bądź

go uwolnić, bądź nazad do więzienia kazać zaprowadzić.

Urzędnik ten, był to pięćdziesięcioletni człowiek ze spokojnem, poważnem obliczem. Kształty czoła jego znamionowały niepospolite zdolności duchowe.

W chwili, gdy Vaubaron wszedł do kancelaryi, sędzia siedział przy stoliku, na którym były złożone: dłutko, guzaty sznur z hakiem na końcu, małe pudełeczko czerwoną skórką powleczone, plik stemplowanych papierów i dość obszerne sprawozdanie komisarza policyi, który mechanika przyaresztował.

Pisarz siedział przy stoliku w niży okna ustawionym, mając przed sobą potrzeby do pisania, kilka świeżo zaciętych piór i kilka arkuszy papieru w pozdłuż zagiętych.

Wszedłszy do pokoju Vaubaron był mocno wzruszony i drżał na całym ciele.

— Mój Boże! — mówił sam do siebie — drzę jak złoczyńca i sędzia niezawodnie uważać to będzie za oznakę bojaźni i złego sumienia. To będzie przeciwko mnie nowym poszlakiem. O mój Boże! Wszystko zdaje się łączyć, aby stanąć przeciw mnie. — Nagle zawołał, nie mogąc się oprzeć wewnętrznemu popędowi: — Panie: żądam od niego sprawiedliwości. Dla innych jesteś pan sędzią, lecz zbawcą dla mnie! Nie zasłużyłem wcale na te udreżczenia, jakie od dziś rana przenoszę, bo jestem niewinny. Przysięgam na Boga, który mnie słyszy, na moją umierającą żonę, na dziecię, które tak kocham, że niewinnym jestem w rzeczywistości.

## XXXIX.

Urzędnik nie odpowiedział, lecz szybkim, sobie tylko właściwym ruchem poprawił okulary, utkwil bystry wzrok w stojącym delikwencie, a badając go z uwagą pomyślał:

— Ten człowiek nie ma wcale złego wyrazu twarzy.

Lecz z tego przychylnego spostrzeżenia nie wyprowadził wcale przychylnych wniosków dla pod sądowego, bo w czasie swej długoletniej służby widział już niejednego łotra w owczej skórce i nie wiele zważał przeto na fizygnomię.

Okrzyk, który mechanik wydał, był prawdziwy i pochodził ze serca, lecz to nie dowodziło niczego, bo Vaubaron mógł być przecież zawsze wielkim zbrodniarzem i większym jeszcze komedyantem do tego. Oczy Vaubarona nadaremnie szukały na twarzy sędziego śladów współczucia, bo znalazły tylko posagową martwość pochodzącą prawdopodobnie z przekonania o winie. Serce Vaubarona ścisnęło się, nadzieja, którą żywił, ustąpiła.

— Przystąp pan bliżej — rzekł sędzia najzupełniej spokojnym głosem i bez najmniejszego wyrazu.

Vaubaron był posłusznym i zbliżył się chwiejnym krokiem.

— Zdajesz się pan być cierpiącym. Usiądź zatem.

Oskarżony raczej padł niż usiadł na krzesło, słomą oplecione.

Sędzia przemówił:

— Pańskie wzruszenie wpada w oczy. Myśle,

że jest rzetelne. Przyjdź pan do siebie. Chcę chwilę zaczekać, zanim rozpocznę zadawać pytania. Rzecz, o którą chodzi, jest największej doniosłości i wymaga, abyś był panem siebie, zachował zimną krew podczas dawanych odpowiedzi.

Jakkolwiek te słowa były chłodno wyrzeczone, tak przecież wyrażały przychylność i świadczyły o współczuciu. Wykazywały one z jednej strony, że sędziemu sprawa Vaubarona wydawała się być bardzo ważną i groźną, z drugiej strony zaś dawały rękojmią, że obrona obwinionego będzie wysłuchana z uwagą i bez uprzedzenia.

Vaubaron uczuł się też nieco spokojniejszym i starał się opanować wzruszenie, co mu się do kilku minut tak dalece udało, że przemówił cichym głosem:

— Jestem na pańskie usługi i myślę, że będę mógł odpowiadać na pytania, które mi pan zada.

Małej pauzy, jaka teraz nastąpiła, użył sędzia na to, aby jeszcze raz rzucić okiem na sprawozdanie policyi, skąd kilka notatek zrobił na papierze ołówkiem.

— Mateuszu! — rzekł potem do pisarza — czyś gotów?

Młody człowiek natychmiast umaczał pióro w atramencie i gotów był do pisania.

— Jak się pan nazywasz?

— Jan Vaubaron.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć i pół.

— Gdzieś się pan urodził?

— W Paryżu.

— Czy jesteś pan żonaty?

— Tak jest, proszę pana.

— Masz dzieci?

— Mam sześćioletnią córeczkę.

— Jakie jest pańskie zatrudnienie?

— Jestem mechanikiem.

— Czy masz pan jakie inne źródła zarobkowania prócz swej zwykłej pracy?

— W tej chwili nie mam żadnych.

— Jak to w tej chwili? Czy się pan po przyszłości czegoś szczególniejszego spodziewasz?

— Wykorzystanie dwu wynalazków przyniesie mi wielkie sumy.

— Czy nie byłeś pan nigdy sądownie badany albo karany?

— Nigdy — rzekł Vaubaron stanowczym głosem — i myślałem, że pierwaj umrę, niż jakikolwiek sąd o bytności mojej wiadomość poweźmie.

Po tych kilku wstępnych pytaniach przerwał sędzia badanie na kilka sekund, zajrzał do sprawozdania i zdawał się nad kilkoma punktami zastanawiać. Nagle potem podniósł głowę, rzucił badawczy wzrok na oskarżonego i zapytał szybko:

— Czy masz pan wiadomość o zbrodniach, których popełnienie panu przypisują i dla których tu się znajdujesz?

Vaubaron zbladł, mimo to przecież odpowiedział śmiało i bez zastanowienia się:

— Nie, mój panie, nie wiem nic o tych zbrodniach. Pan komisarz, który mnie dziś rano z koła mojej rodziny wprowadził, powiedział mi, że jestem

obwiniony o podwójne morderstwo i rabunek. Oto wszystko, co wiem. Taki okropny zarzut odpieram ze sprawiedliwym oburzeniem, bo w tej chwili nawet jeszcze mi nie wiadomo, jak się nazywają owe osoby, któreto niby zamordować miałem.

— Obydwie te osoby są: młoda jeszcze kobieta i wiekiem złamany staruszek.

Głęboka odraza malowała się na twarzy mechanika, gdy rzekł:

— Słabowity starzec i kobieta! I ja ich miałbym zamordować?!

Rzekłszy to, chciał podnieść ręce do ócz, lecz jak przedtem w więzieniu tak i teraz zadzwoniły łańcuszki na jego rękach. Ręce mu opadły na kolana i zalał się łzami.

Tymczasem mówił sędzia dalej:

— Tym starcem jest pański najbliższy sąsiad, baron Viriville, kobieta zaś była u niego w charakterze gospodyni i nazywa się Urszula Renaud. Czy znasz pan barona Viriville?

— Wiadomo mi tylko, że zamieszkuje hotel tuż obok mego pomieszkania, widziałem go też dwa albo trzy razy do powozu wsiadającego.

— Nigdyś pan z nim nie miał nic do czynienia?

— Nigdy w życiu.

— Czy panu nie było wiadomo, że posiada ogromny majątek?

— Słyszałem o tem mówiących, a zresztą baron uchodzi u wszystkich za bardzo majątnego człowieka.

— Czy znałeś pan Urszulę Renaud?

— Wcale nie.

— Nie znałeś nawet z widzenia?

— Tak jest, nawet z widzenia nie znałem.

Po chwili namysłu, nie spuszczać przecież obwinionego z oka, sędzia pytał dalej:

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, w jaki sposób pani Renaud i baron Viriville życie utracili?

— Jakżeżbym to mógł powiedzieć, gdy mi ta rzecz wcale nie jest wiadoma?

— Dobrze, więc powiadomię pana o tem. Gospodynia Renaud została silną trucizną nagle otruta, prawdopodobnie kwasem pruskim, lecz to jeszcze nie jest całkiem pewne. Potem dopiero gdy już tego mordu dokonał, mógł się winowajca udać do pokoju barona, którego zabił, pchnąwszy mu w piersi ostro zakończony przyrząd. Pchnięcie zostało zadane tak pewną ręką, że baron natychmiast żyć przestał.

— To okropnie — wyszeptał Vaubaron.

— Tak jest w istocie, bo ten podwójny mord, jak poszlaki wskazują, został wedle dobrze obmyślanego planu i z najzimniejszą krwią dokonany. Człowiek ten, który go popełnił, zdaje się być potworem, jakiego tylko piekło zrodzić może. Nazwisko tego człowieka zasługuje na pogardę współczesnych i przyszłych pokoleń.

— Za taką zbrodnię — rzekł żywo obwiniony — małąby była kara śmierć na rusztowaniu.

— Czy to jest rzeczywiście pańskie przekonanie.

— Przysięgam na to i raczy pan o tem nie wątpić.



Sędzia wziął teraz do ręki jeden z przedmiotów na pulcie leżących i pokazał go mechanikowi nie dając mu przecież sposobności przypatrzania się bliżej.

Za co to pan masz?

— Za dłutko.

— Czy je pan poznajesz?

— Wiele jest podobnych do siebie.

— Przypatrz że mu się pan uważnie, a szczególnie uważaj na trzonek — mówił sędzia dalej trzymając teraz dłutko mechanikowi przed samymi oczyma — czy pan i teraz nie szczególnego nie spostrzegasz?

Vaubaron nie mógł ukryć zdziwienia i przestachu.

— Zdaje mi się, że to narzędzie nie jest panu zupełnie obce. Są na niem wyrzeźbione dwie litery J i V — jeśli się nie mylę. Jakie jest pańskie imię i nazwisko?

— Jan Vaubaron.

— Są to zatem początkowe litery pańskiego imienia i przezwiska. Czy to narzędzie jest pańska własnością?

— Było moją własnością, temu nie przeczę.

— Jest ono prawie całkiem nowe. Jakiemuż przypadkowi należy przypisać, żeś się go pan pozbył, jeżeliś się go rzeczywiście pozbył kiedykolwiek?

— Nie był to żaden przypadek mój panie, lecz biedą zmuszony sprzedałem to dłutko razem z innymi narzędziami pewnemu tandeciarzowi.

— Tak! sprzedałeś je pan?

— Nie inaczej.

- A kiedyż to było?
- Przedwczoraj.
- Tandeciarzowi pan mówisz?
- Tak jest.
- Jakże się ten tandeciarz nazywa?
- Laridon.
- Gdzie on mieszka?
- Na ulicy Pas-de-la-Mule, w przyziemiu tego samego domu, gdzie i ja mieszkam.

Sędzia wziął blankiet do ręki, a napisawszy kilka słów, zaadresował i skinął na żandarma. Gdy ten przystąpił, wręczył mu papier mówiąc:

— Weź pan dorózkę, poszukaj niejakiego pana Laridona i sprowadź go natychmiast razem z książką, w której sprzedane lub kupione rzeczy zapisuje.

Żandarm oddał wojskowy ukłon i opuścił kancelaryą nie mając robiąc hałas ostrogami i szablą.

Przerażony tym nowym walącym się nań wypadkiem Vaubaron stał się niepewnym, pomięszanym i znajdował się w położeniu człowieka pod wpływem przykrego snu zostającego. Mógł wprawdzie słyszeć, lecz najzwyczajniejszych rzeczy nie był w stanie jasno pojmować.

Tak na przykład nie mógł pojąć jakim sposobem dłutko, które Laridonowi sprzedał na stół sędziego dostało się. Ani mu na myśl nie przyszło że to narzędzie mordercy do spełnienia zbrodni służyć musiało i nie drżał na myśl, że to mordercze żelazo, które przed kilkoma dniami jeszcze jego własnością było — teraz w rękach sprawiedliwości straszną będzie bronią przeciwko niemu.

Urzędnik zajrzał ponownie do sprawozdania policji, potem przeglądał stemplowe papiery, a następnie dalej toczył śledztwo:

— Masz pan długi?

— Tak jest, proszę pana.

— Czy znaczne?

— Tegobym nie powiedział, lecz nawet najmniejszy dług może się stać gniotącym ciężarem, jeżeli stosunki nie dozwolą, zapłacić go w swoim czasie.

— Możesz mi pan powiedzieć, ile mniej więcej dłużny jesteś?

Mechanik pomyślał chwilkę, a potem wymienił zbliżoną sumę.

— Czy podpisywałeś pan także zapisy dłużne?

— Tylko jeden.

— Mam tu zapis na dwa tysiące franków opiewający na rzecz panów Malher et Comp. fabrykantów maszyn, który to zapis z rąk woźnego Baudier wykupiony został. Czy to jest ten zapis, o którym pan mówisz?

— Tak jest.

— Procenty są znaczne i wynoszą dwieście sześćdziesiąt pięć franków.

— W samej rzeczy tak jest.

— Był także nakaz wydany względem aresztowania pana. Czyś pan o tem wiedział?

— Tak, wiedziałem.

— Czy panu wczoraj powiedziano?

— Wczoraj panie sędzio.

— Muszę przyznać, że pańskie położenie było prawdziwie rozpaczliwe, bo więzienie za długi stało

już dla pana otworem, lecz dlaczegoś się pan do ostatniej chwili ociągał z zaplaceniem długu?

— Pierwej było to po prostu niemożliwe.

— Czy nie mogłeś pan tego wczoraj za dnia a przynajmniej wieczorem załatwić.

— Nie, panie.

— O to zapytywała już pana policya i powiedziałaś, żeś pieniądze dopiero w nocy otrzymałeś. Czy pan przy tem obstajesz?

— Zapewne, bo to jest rzeczywistą prawdą.

— Wieleś pan otrzymał?

— Cztery tysiące franków.

— Od kogo?

— Od nieznanomego mi człowieka.

Słowa te wyrzekł Vaubaron drżącym głosem, bo czuł, że to jest najniebezpieczniejszy punkt dla niego. Zdarzenie owej nocy wydało mu się tak dziwnem, że żaden słuchacz nie mógł temu dać wiary. To było jasne.

Sędzia i pisarz spojrzeli na siebie tym samym wzrokiem, jak to dziś rano urzędnicy policyjni uczynili byli.

— Sądzę, że mi wypada wezwać pana w jego własnym interesie, abyś należycie rozważył, zanim dalej pójdziesz. Wierzaj mi pan, że lepiej będzie, jeżeli dotychczasowy sposób obrony, przy którym się wcale utrzymać nie możesz, porzucisz i wyznasz szczerą prawdę, co ci za dobre policzę.

— Ach mój panie — wyszeptał mechanik — widzę, że pan moim słowom nie wierzy, lecz wszystko, co powiedziałem jest prawdą. Nie kłamię.

Przysięgam na to.

Spokojnie oblicze urzędnika stało się jeszcze chłodniejsze, lecz pod pozorem zewnętrznej oziębłości oburzał się wewnątrz taką upartością i bezpożytecznym udawaniem zbrodniarza, który w ten sposób do niego przemawiał. Po chwili rzekł:

— I gdzieżeś się to pan zetknął z tym nieznanym, który panu dał cztery tysiące franków, abyś miał czem długi popłacić?

— Nie szukałem go wcale, bo sam przyszedł do mnie, przyszedł do mego pomieszkania. Zeszła noc była bardzo burzliwa. Czułem się znużonym i zasnąłem na krześle. Uderzenie gromu zbudziło mnie, a gdy oczy otworzyłem, ujrzałem człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałem. W pierwszej chwili myślałem, że jestem zagrożony i gotowałem się do obrony, lecz uspokoił mnie rychło. Na pytanie, kimby był, odpowiedział, że jest posłańcem opatrności, który przychodzi, aby mnie ocalić. Rzekł dalej, że mam długi, że jestem w niebezpieczeństwie i że mnie od udręczeń chce uwolnić. Mówiąc tak, zostawił na stole cztery banknoty po tysiąc franków. Nie mogłem znaleźć słów, aby mu podziękować. Prosiłem go, aby mi wymienił swoje nazwisko, lecz nie chciał tego uczynić i pożegnał mnie. Oto jest rzetelna, naga prawda panie sędzio.

— A czy ten człowiek podobnie zjawisku tak samo także znikł, jak był przyszedł?

— Nie. Otworzyłem mu drzwi i poświeciłem na wschodach.

— Czy się pan nad tem nie zastanawiał, w

jaki sposób ów człowiek dostał się do jego pomieszkania?

— Przeciwnie, czyniłem to, lecz nie mogłem się niczego domyśleć.

— Czy okno było otwarte?

— Tak jest.

— Czy nie domyślasz się, że ów nieznajomy oknem wlaźł, aby mówić z panem?

— To nie podobna, bo aby się dostać z ulicy na balkon, musiałby mieć chyba skrzydła.

— Drabina wystarczyłaby na to.

— Zapewno, lecz zkadżeby ją mógł wziąć w nocy?

Sędzia wziął do ręki guzaty sznur, który leżał na stole, a pokazawszy go Vaubaronowi, rzekł:

— Czy panu to znajome?

— Nie — odpowiedział Vaubaron pytaniem zdziwionym.

— Czyś pan jeszcze nigdy nie widział podobnego sznura?

— Jeszcze nigdy.

— Wiesz pan to całkiem pewnie?

— Najpewniej w świecie.

— A przecież przed kilkoma godzinami sznur ten był do pańskiego balkonu przymocowany i łączył tym sposobem pańskie pomieszkание z dziedzińcem hotelu.

— A! — krzyknął mechanik jak człowiek nagle ze snu zbudzony — w ten więc sposób można się było dostać do mnie!

— Bez wątpienia.

— Zatem ten nieznajomy człowiek — mówił Vaubaron dalej — który mi się jako dobroczyńca przedstawił, był niezawodnie sprawcą podwójnego morderstwa, jakiego w sąsiednim domu dokonano, krwią zbroczone banknoty, które mi dał, były jego ofiarom zrabowane, a ja błogosławiłem ten potwór i dotykałem się owych banknotów. To okropne!

— Czy to jest pański nowy sposób bronięcia się — zapytał urzędnik.

— Nowy sposób bronięcia się? Ani myślę bronić się z powodu zbrodni, której nawet popełnić nie mogłem i której mi pan sam nie przypisujesz. Ten sznur na moim balkonie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem, udowadnia moją niewinność i czego przedtem pojąć nie mogłem, jest teraz jasne jak słońce. Tak, potrzeba wynaleźć tego mordercę kobiety i słabowitego starca. Człowieka tego, którego w nocy widziałem, poznam, gdybym go tylko zobaczył.

Wyrekłszy te słowa z ogniem, mechanik powstrzymał się, jakby był znużony. Był teraz blady, pot wystąpił mu na czoło i patrzył przerażonemi oczyma to na sędziego, to na tegoż pisarza.

Oblicze pierwszego było zimne i obojętne jak zawsze, lecz z twarzy pisarza przemawiała niewiara, bo mniej był nazwyczajony do ukrywania wrażeń.

W końcu Vaubaron wznosił pomimo ciężaru okucia obydwie ręce ku niebu i rzekł:

— Mój Boże! mój Boże! oni mi nie wierzą!

— Ja dopiero wtenczas uwierzę — rzekł sędzia, jeżeli pan podasz środki odnalezienia tego tajemni-

czego, nocnego gościa, którego za winowajcę podajesz. Aż do tego czasu nie możesz pan żądać, abym wierzył tak zamglonej sprawie.

— Ależ mój panie — rzekł mechanik z goryczą — pan wiesz dobrze, że tego dyabła nie znam i nazwać nie mogę. Mogę tylko zapewniać o mojej niewinności i rzec, że nie ja tę zbrodnię popełniłem, ale kto inny.

— Więc pan obstajesz przy twierdzeniu co do osoby nieznanego, na którego barki zwałasz odpowiedzialność za popełnione zbrodnie?

— Tak jest panie.

Podczas gdy pisarz notował poczynione zeznania, rzekł sędzia do samego siebie:

— Przecież to rzecz szczególna, że Pan Bóg niekiedy największym zbrodniarzom takie wykrety na myśl poddaje.

Potem sędzia wziął do ręki czerwone puzderko, dobył dyamentu, który Rodille baronowi zrabował, a pokazawszy Vaubaronowi rzekł:

— Czy znasz pan ten brylant?

— Ujrzałem go po raz pierwszy dziś rano, gdy mi go pokazano.

— Ależ to puzderko znaleziono w pańskim pokoju w jego obecności.

Obwiniony spuścił głowę i milczał.

— Jak pan tę okoliczność wytłumaczysz?

Oskarżony mówił to samo co przedtem komisarzowi policyi, lecz gdy mówił najzupełniejszą prawdę, słowa jego wydały mu się samemu obcemi i nieprawdopodobnemi, przyczem myślał:



— Jak mi mogą uwierzyć, jeśli ja samemu sobie zaledwie wierze.

Sędzia postawiwszy już główne pytania, które mu miały służyć za podstawę do oskarżenia, przeszedł teraz do pytań nie mających już żadnego znaczenia. Vaubaron odpowiadał machinalnie ani myśląc o doniosłości tego lub innego pytania.

Przesłuchanie trwało już ze cztery godziny, gdy w tem na korytarzu dały się słyszeć kroki żandarma, który rychło potem wszedł do kancelaryi razem z tandeciarzem.

Mały garbusek wyglądał przy swym roslym towarzyszku jak pocieszny karzeł.

Tandeciarz miał przed sądem niepospolity respekt i gdy wstąpił do kancelaryi wyglądał jak lis w łapce. Jakkolwiek nadawał sobie pozór obojętności i spokoju, przecież usta jego drżały a błędny, niepewny wzrok świadczył, o wewnętrznem wzruszeniu.

W rękę trzymał starą czapkę, bo żandarm w nadmiarze służbistości nie pozwolił mu nawet suknie zmienić. Pod pachą dźwigał książkę, w której wedle prawa, zapisywał nazwiska osób sprzedających.

Mechanik ujrzawszy tandeciarza, poczuł mimo głębokiego smutku chwilową radość.

— No! w końcu — pomyślał — sąd przecież o mnie inne przekonanie poweźmie, jeśli się pokaże, że przynajmniej jedno, co podałem, jest prawdą. Jeśli zobaczą, że w żadnej rzeczy nie skłamałem, to także co do innych zapewne uwierzą.

Zaledwie drzwi zamknięto, tandeciarz przybrał pokorną postawę i pokłonił się sędziemu i pisarzowi

tak nisko, że omal czołem nie dotknął ziemi. Na pierwszy rzut oka poznał on Vaubarona, lecz ponieważ nie wiedział, co go właściwie do sądu sprowadza, unikał spotkania się z jego oczyma.

— Siadaj pan — rzekł sędzia — uważaj na moje pytania i odpowiadaj zgodnie z prawdą.

Tandeciarz usłuchał spiesźnie, bo nogi mu drżały i zaledwie mógł się na nich utrzymać.

Po pierwszych pytaniach odzyskał trochę odwagi, przestрах po części ustąpił lecz obudziła się natomiast ciekawość co do tego w jakim go celu sprowadzono i względem jakiej rzeczy ma złożyć zeznania.

Niepewność jego nie trwała długo.

— Czy znasz pan tego pana — zapytał sędzia na Vaubarona wskazując.

— Znam go bardzo dobrze, bo mieszka w tym samym domu, co ja.

— Czy kupiłeś pan od niego przedwczoraj jakie rzeczy, między którymi także to dłućko znajdowało się? Zanim pan odpowiesz, to namyśl się dobrze, bo rzecz jest bardzo wielkiej wagi.

Laridon rzekł natychmiast kiwając głową:

— Przedwczoraj nie kupowałem niczego i pan Vaubaron żadnych mi rzeczy nie sprzedał.

Mechanik wydał stłumiony krzyk.

— Jak to? Czyś pan już zapomniał? Nie, to niemożliwe, toby było okropne! Przecież pan musisz sobie przypomnieć, musisz mi dopomódz i złożyć świadectwo, że nie skłamałem i że panu rzeczywiście sprzedałem narzędzia, między którymi także

to dłużko znajdowało się z rzeźbionemi literami, na które pan uwagę zwróciłeś!

— Mój Boże — odpowiedział Laridon — chętnie bym to uczynił, co pan żadasz, bo to każdemu jest przykro widzieć sąsiada w złem położeniu. Nie miałem nigdy przyczyny do żalenia się na pana i jakkolwiek znam pana tylko z daleka, przecież współczuję dla niego, jednakowoż nie mogę zadość uczynić jego żądaniu, bo miejsce, gdzie się obecnie znajduje, zanadto cenię, niż abym się mógł dopuścić bodaj najmniejszego kłamstwa.

Vaubarona porwała wściekłość, w głowie mu szumiało, bo znalazł się w położeniu, w którym najpoczciwszy nawet człowiek popelniłby zabójstwo, gdyby mu broń podano.

— To niegodziwość! krzyczał zwróciwszy się z groźną miną ku tandeciarzowi — człowiek ten wie bardzo dobrze, bo nie mógł zapomnieć. Musi on należeć do moich nieprzyjaciół i chce mnie zgubić, lecz dla czego, tego nie wiem. Milczenie jego świadczy, że tego chce, a to jest tyle, co skrytobójstwo. Dokonaj twego niecnego dzieła i przysięgnij, żem kłamał, lecz pamiętaj, że cię kara nie minie. Przeklinam cię i Bóg cię potępi!

Laridon nigdy się nie troszczył wiele panem Bogiem, ale tem więcej leżała mu na sercu policya i sąd, mimo tego atoli zbladł po tak ostrem przemówieniu mechanika.

— Mój panie! — rzekł sędzia surowo — nie śmiesz obrażać żadnego świadka, a tem mniej wolno ci grozić. Takie postępowanie może tylko pogorszyć

twój i tak smutny los!

Vaubaron opuścił głowę, milczał i tylko w duszy błagał pana Boga, który go opuścił.

— Więc świadek obstaje przy twierdzeniu — rzekł sędzia — że oskarżony tego dłutka wcale mu nie sprzedał?

— Ani przedwczoraj, ani w żaden inny dzień — rzekł kłameca spiesźnie — i jestem gotów zeznanie moje zaprzysiądz.

Vaubaron milczał i zdawał się modlić, gdy tymczasem urzędnik zażądał od tandeciarza książki i przeglądał pilnie. Na stronnicy z datą przedwczorajszego dnia nie było najmniejszego śladu jakiegokolwiek między tandeciarzem a mechanikiem zawartego interesu.

Ta okoliczność rozstrzygnęła rzecz stanowczo, bo w sądzie książka kupiecka ma doniosłość prawnego dowodu. Sędzia nie wątpił teraz, lecz uwolnił tandeciarza zatrzymawszy książkę, która między innymi rzeczami jako dalszy dowód przeciw obwinionemu służyć miała.

Pierwsze posłuchanie skończyło się więc i wystarczało, aby zbrodnię dostatecznie objaśnić i winy mechanika dowieść. Nie mógł on teraz zarzutów odeprzeć bo niezbite fakty przeciwko niemu świadczyły.

Odprowadzono go przeto nazad do więzienia, z którego za kilka godzin wyprowadzono go powtórnie, aby mu pokazać zwłoki barona Viriville i Urszuli Renaud.

## XXXX.

Gdy żandarmi obwiuionego do kaźni odprowadzali, szedł Laridon ulicą w głębokich myślach pograżony.

Nie wątpił on ani chwili o niewinności mechanika, i pewnym był że nikt inny, tylko Rodille zbrodnię popełnił, skradłszy mu poprzednio kupione dłutko, lecz nie mógł go wydać przed sądem, bo wiedział dobrze, iżby Rodille, który w całą jego przeszłość i terażniejszość jak najlepiej był wtajemniczony, zdradę srodze powetował.

Tandeciarz nie miał do mechanika najmniejszej urazy, owszem żałował bardzo, że go koniecznie zgubić musiał, lecz nie mógł inaczej, bo tylko dbał o własną skórę.

Wiemy, że tandeciarz chciał właśnie kupione narzędzia do książki wciągnąć, gdy w tem Rodille wszedł i przeszkodził mu w dokonaniu tego. Gdy potem Rodille oddalił się, zapomniał tandeciarz o tym całym interesie, który z resztą nie był wcale ważny.

Wobec sędziego wyparł się on kupna, a to z dwu powodów.

Najpierw nieporządne prowadzenie książki wyszłoby na jaw i podałoby go w podejrzenie u władzy, a potem dowiedziałby się sędzia koniecznie, gdzie się owe dłutko podziało, bo tandeciarz musiał je albo sprzedać albo mu skradzione zostało.

W każdym razie nastąpiłyby ściśle poszukiwania i nietylko samby się naraził, lecz także od-

krytoby Rodilla. Tego tandeciarz musiał się starać unikać bądź co bądź.

Lecz zostawmy tandeciarza i chodźmy do więzienia, gdzie nas nowe oplakania godne widowisko oczekuje.

— Oto jest pańskie jadlo — rzekł strażnik więzienny do Vaubarona po powrocie do kaźni, i przysunął mu blaszane naczynie tuż przy drzwiach ciasnej kazamaty stojące.

Nieszczęśliwy tych słów wcale nie posłyszał.

Zostawszy sam jeden w kaźni, rzucił się na łoże i chciał rykiem i łkaniem stłumić straszliwą rozpacz, która go rozdzierała.

Ostre, gorące lzy spływały mu po twarzy i utworzyły widoczne ślady na niej. Piers jego wzdymała się, serce jakby pęknąć chciało. Brakło mu tchu, wszystkie nerwy w nim drgały. To wzruszenie trwało może ze dwie godziny, potem osłabł i leżał jak martwy. Złamanym był na duszy i ciele.

Potem okazano mu zwłoki zamordowanych, co jednakowoż żadnego skutku nie miało i mieć nie mogło. Wobec bezdusznych ofiar Vaubarona zapewniał, że jest niewinny, lecz cóż to znaczyć mogło wobec nagromadzonych dowodów?

Śledztwo już było ukończone i sprawozdanie sędziego tak było dziwnie jasne, że trybunał sądowy jednogłośnie powziął uchwałę oskarżenia co do podwójnego mordu i rabunku.

Jakkolwiek Paryż zaledwie co odbył rewolucyą, przecież całe miasto żywo się zajęło tym krwawym dramatem.

Ostateczną rozprawę ogłoszono na czas najbliższego zgromadzenia sędziów przysięgłych. Wielu sławnych adwokatów współubięło się o obronę obwinionego i żądało, aby sąd sam przyznał obrońcę, gdyby obwiniony nie wybrał żadnego.

Gdy w tym względzie zadano Vaubaronowi pytanie, rzekł, że nie zna żadnego adwokata, i że przyjmie każdego, którego mu sąd przyzna.

Owego dnia, w którym co do terminu ostatecznej rozprawy uchwałę powzięto, odwiedził Vaubarona w więzieniu młody człowiek z inteligentnem wejściem. Był to adwokat przez sąd przyznaczony.

— Mój panie — rzekł on do mechanika — przychodzę do pana może nie we wielki talent, lecz w najlepszą wolę zaopatrzonej i bądź pan pewny, że użyję wszystkiego, abyś mi zaufał zupełnie, bo nie znasz mnie wcale. Ze śledztwa wiem, żeś pan wszystkiemu usilnie zaprzeczał, nie mogąc przecieżyć w niczem oskarżenia osłabić. Otwórz mi pan serce i wyznaj prawdę wierząc, że niczego bardziej nie pragnę jak dowieść jego niewinności. Jeżeliś pan jest rzeczywiście niewinny, to użyję całej mojej energii, aby pańską sprawę do zwycięstwa doprowadzić.

Nie było rzeczą możliwą nie ufać temu młodemu człowiekowi, którego przemówienie tak było ujmujące.

Vaubaron uczuł to, i po raz pierwszy od czasu uwiezienia poczęło w nim serce bić spokojniej.

Nieszczęśliwy przecieżyć raz zdybał człowieka, który nie był już z góry o jego winie przekonany, po raz pierwszy spotkał się z istotą współczującą

jego cierpienia i mógł mieć nadzieję oczyścić się z tego kału zbrodni, jakim go obrzucano.

— Niechże będzie niebo błogosławione, które cię zsela zbawco!

W tej chwili uniesienia Vaubaron wyciągnął ręce, aby ująć prawnika i uściskać, lecz jeszcze teraz nowy kolec wpiął się w koronę jego cierpień.

Adwokat cofnął się, aby uniknąć zetknięcia i wyraz odrazy wystąpił na jego oblicze. Zawstydzony Vaubaron opuścił głowę i zapłakał.

— Pan się muie boisz — rzekł potem drżącym głosem — więc także pan myślisz, że ręce moje krwią zbroczone.

— Mylisz się pan — rzekł spiesźnie adwokat — nie wyrobilem sobie co do pana jeszcze żadnego zdania i zapewniam pana raz jeszcze, że najbardziej sobie życzę, abym mógł dowieść jego niewinności. Jeżeli z panem pomówię i będzie rzeczą możliwą uwierzyć w pańską niewinność, to będę pierwszym, który panu rękę poda i przyjaźń zawrze.

— Wątpisz pan przecież zawsze, jednakowoż dzięki i za to. Lepsze to, niż gdybyś o mojej winie był przekonany.

— Zaufaj mi pan zupełnie i powiedz wszystko jak na spowiedzi, będę pana słuchał z uwagą.

— Ufam panu we wszystkim, lecz zanim pan rozpocznie, ulituj się nademną i zdejm ze mnie ciężar, który mnie gniecie i do rozpaczny prowadzi. Czy zechcesz pan to uczynić? Czy zechcesz?

— Dlaczegożby nie, czegoż pan żąda?

— Od dziesięciu dni jestem w więzieniu i nie mam stosunków ze światem. Wydarto mnie umierającej żonie i sześćioletniej córeczce, także słabowitej. Czy raczysz pan pójść do mego pomieszkania i przekonać się, ażali są jeszcze przy życiu?



## XXXXI.

Adwokat pomyślał chwilkę a potem rzekł:

— To, czego pan żadasz, chętnie uczynię i odwiedzę pańską żonę i dziecię.

— Dziękuję panu. Pan jesteś tak dobry! Gdy wszedłeś do mego więzienia, poczułem zaraz, że mi się pociecha zbliżyła. Nie prawda, że pan tam zaraz pójdzie?

— Zaraz nie, lecz dopiero za godzinę, gdy ztąd wyjdę.

— Na cóż ta niepotrzebna zwłoka. O! gdybyś pan wiedział, jak ja cierpię, jak strasznie się obawiam z powodu mej rodziny.

— To nie powinno pana pozbawiać ani męstwa, ani cierpliwości. Chcę naprzód z panem pomówić, a potem pójdę. Pańska żona zada mi niezawodnie niejedno pytanie, na które nie mógłbym dać odpowiedzi. Tylko w tym razie mógłbym jej robić nadzieję i pocieszać ją, gdybyś mi pan sam dał prawo do tego.

— Masz pan słuszność — odpowiedział Vaubaron — i zgadzam się na pańską wolę. Słuchaj mnie pan teraz a może nie jedną rzecz lepiej zrozumiesz, niż ja sam, i potrafiś rozprószyć ciemności mego nieszczęścia.

Rzekłszy to, począł Vaubaron opowiadać co już dawno wiemy.

Adwokat słuchał z jak największą uwagą i nie wiele przerywał, lecz idąc za tokiem opowiadanego zdarzenia poważniał coraz bardziej, a gdy Vaubaron skończył, na twarzy prawnika był jawny wyraz straconej odwagi i niezadowolenia.

Vaubaron miał się za zgubionego.

— Mów pan! — krzyknął wreszcie z siłą rozpaczny — nie prawda, że mnie pan masz za winnego i że mi się nie udało pana inaczej przekonać?

— Przeciwnie, mam pana za niewinnego, a na dowód sam panu teraz rękę podaje.

Vaubaron pochwycił rękę i przycisnął do serca, poczem zapytał:

— A jeżeli przekonałem pana o mojej niewinności to dlaczegoż pan taki smutny i zniechęcony?

— Bo dopiero teraz widzę całą trudność mego zadania i ogromną odpowiedzialność.

— Panie! mam odwagę, jestem mężem, powiedz mi pan przeto szczerze, czy moja obrona wydaje się panu wcale niemożliwą?

— To nie, lecz w każdym razie obrona pańska jest bardzo trudną.

— Jeżeli pan Bóg dopuści, to umrę jako męczennik — rzekł Vaubaron — a poczucie niewinności będzie mnie podtrzymywać — lecz moja żona i dziecię... Co się z temi stanie? To jest, co mnie dręczy i gorsze jest od samej śmierci. Ratuj mnie pan! — wołał Vaubaron — ratuj mnie dla żony i dziecka!

— Bóg dopomoże! — rzekł wzruszony adwokat.

— Teraz panie — rzekł mechanik nieśmiało — gdy dopełniłem, czego żądałeś, czy mogę ci przypomnąć przyrzeczenie?

— Nie zapomniałem wcale i spełnię je, skoro tylko ztąd się wydam.

Potem prawnik opuścił więzienie. Vaubaron pozostał sam i był z łaski Boga podniesiony na duchu. Dziękował niebu za dowody łaskawości, które go w straszliwym położeniu podźwignęły.

Tak przeminęły dwie godziny i nadspodziewanie nie wydały mu się wcale długimi, bo nadzieja ożywiała go w samotności i sprawiła, że chwilowo zapomniał o wszystkim złem, co go spotkało i o terażniejszym położeniu.

W tem obrócił się z chrzęstem klucz w zamku

drzwi się otworzyły i adwokat jawił się w kaźni.

Vaubaron zerwał się z łóżka, na którem spoczywał i pospieszył do gościa, lecz nagle się wstrzymał i począł drżeć. — Mimo zmroku, jaki kazamatę zalegał, spostrzegł zaszepione oblicze młodego człowieka, który widocznie był wzruszony i nie śmiał oczu podnieść. — Vaubaronowi wydało się tak, jak gdyby go żelazna ręka za gardło chwyciła.

— Pan Bóg nie ma dla mnie miłosierdzia — rzekł w końcu — pan przynosisz dla mnie smutną wiadomość.

Adwokat tylko kiwnął głową.

— Zapewnie żona woła mnie, woła mnie walcząc ze śmiercią, a ja jestem więziony!

Prawnik milczał jeszcze ciągle.

Oczy mechanika wystąpiły na wierzch, twarz jego przybrała jakiś straszliwy wyraz a drżące jego usta z trudnością wymówiły zaledwie dosłyszalne słowa:

— Może już umarła! Moja Marta już umarła!

Adwokat zbliżył się do nieszczęśliwego a ująwszy jego zimne ręce rzekł nieopisanie łagodnym głosem:

— Odwagi mój przyjacielu, na miłość Boską!

— Umarła! — powtórzył Vaubaron nie słysząc ani słowa — straciłem ją na zawsze i nigdy już widzieć nie będę mojej Marty, mojej towarzyszki życia i pocieszycielki, a ja ci nie oddałem ostatniego pocałunku, niezamknąłem rękoma ocz twoich! O Boże już jej widzieć nie będę na wieki!

Nie płakał teraz, oczy pozostały suchemi, pierś nie miała tchu a na obliczu pojawiła się bezgraniczna rozpacz.

Gość milczał, bo i cóż mógłby powiedzieć. Wobec tak wielkiego cierpienia, cóż pomogą wszystkie słowa pociechy?

Nagle Vaubaron wstrząsł się cały jak trup zgalwanizowany, podniósł głowę a palające oczy zwrócił na adwokata i rzekł grobowym głosem:

— Zapomniałem o Blance cóż z nią się stało?

Młody człowiek chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł.

— Mów pan, mówże pan przecież! — wołał mechanik — oczekuję najgorszego! Nie prawda, że także moja Blanka umarła.

Drżąc przemówił adwokat:

— Nie, nie umarła... przynajmniej nie ma powodu, aby to przypuścić... lecz niech pan tylko nie rozpacza... mała z pomieszkania zginęła bez śladu.

— Co zginęła? — krzyknął nieszczęśliwy ojciec, łamiąc ręce, rwąc włosy i uderzając rękami skutymi o głowę, tak że krew z nich pocięła.—Wolałbym, aby w grobie spoczęła, niż się ma tulać po Paryżu moje ukochane dziecko żebrząc o kawałek chleba. O! to okropnie! A potem przyszłość! Cóż się z nią stanie! Boże! To jest za wiele. Nie zniosę tego! Proszę przebacz mi lecz już inaczej nie mogę! Marto! Czekał na mnie przychodzę do ciebie i umieram niewinny.

Krzycząc tak w rozpacy wydarł się olbrzymią siłą z rąk adwokata, który go usiłował powstrzymać, pobiegł i uderzył z całą siłą głową o przeciwległy mur.

Dał się słyszeć głuchy, straszliwy łoskot, krew bryzgnęła z rostrzaskanej czaszki i Vaubaron runął trupem na ziemi. Nieszczęsny!

Koniec tomu pierwszego.

